

HENRY KISSINGER
JAK UNIKNĄĆ KOLEJNEJ
WOJNY ŚWIATOWEJ?

NOWA HUTA
WRACA SOCREALIZM

MOCARSTWOWE MRZONKI

**Warszawa i Kijów
ważniejsze od Berlina i Paryża**

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311300

♦ TEATR CAPITOL ♦

PRZEBOJOWE KOMEDIE ♦ GWIAZDORSKIE OBSADY ♦ PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI



ŚWIĘTUJ Z NAMI Walentynki 10-16 LUTEGO 2023



♦ KUP

BILET
2023
TEATR CAPITOL

♦ www.teatrcapitol.pl ♦

Patroni Medialni



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl ea670cf3ef



Paranoja w pełnej krasie

Czy Polska pogrąży się w paranoi? To nie dzieje się od niedawna, od kilkunastu przynajmniej lat Polacy są poddani tego rodzaju obróbce.

Amerykańscy autorzy Robert Robins i Jerrold Post w wydanej kilka lat temu pracy „Paranoja polityczna” wyróżnili siedem elementów charakteryzujących umysł paranoika. Są to m.in. podejrzliwość, mania wielkości, wrogość, lęk przed utratą niezależności, urojenia. I teraz rozejrzyjmy się wokół. Którego polityka wskażemy jako najbardziej podejrzliwego? Widzącego wszędzie spiski? Który o sobie mówi: „Tak naprawdę nie ma na świecie ludzi dużo mądrzejszych niż ja”?

Kto wciąż opowiada o kolejnych bitwach politycznych, które trzeba toczyć – z Brukselą, z Berlinem, ze „światowym lewactwem”, z polską targowicą itd.? I kto wmawia nam, że najdokładniej w historii lotnictwa zbadana katastrofa była zamachem? Albo opowiada o ukrytych siłach atakujących polski lud? Raz są to oficerowie WSI, innym razem sędziowie, jeszcze innym feministki albo nauczyciele... Każdy, kto podniesie głowę.

Jeżeli popatrzymy na życie publiczne z szerszej perspektywy, zorientujemy się, że toczy się tu wewnętrzna wojna i końca jej nie widać. Owszem, zmieniają się

wrogowie, ale On, który mówi o sobie, że jest „samym dobrem”, dzielnie trwa.

„Pierwszą cechą, jaką rzuca się w oczy nawet przy przypadkowym zetknięciu z paranoikiem, jest nie tyle jego przekonanie o spisku czy arogancja, ile generalnie wrogie nastawienie wobec świata – piszą Robins i Post. – Paranoik jest wojowniczy i łatwo się irytuje, nie ma poczucia humoru, jest niezwykle wrażliwy na oznaki lekceważenia, kłótlwy, spięty, nastawiony obronnie. Elementem tej obronnej postawy jest nieustanna gotowość do ataku”.

Zatrute umysły polityków zatrują Polaków. Badania to potwierdzają – jesteśmy coraz bardziej pesymistyczni, skłóceni, niezadowoleni z życia. I bezradni – bo coraz trudniej nam się uwolnić z oblepiającej mazi pomówień, awantur, kręactw. Tak tworzy się chaos. Dla paranoików to naturalne środowisko – bo nikt tak sprawnie jak oni nie potrafi chaosu tłumaczyć.

Jest jeszcze jedna grupa, która kocha chaos. To różnej maści naciągacze i oszuści, którzy za pomocą obietnic i przekrętów wyciągają z państwowej kasy miliony. Oni czują się bezkarni – bogacą się w słusznej sprawie, po linii partii, no i nikt ich nie ściga. Bo gdzie indziej są wrogowie.

Państwo paranoi w pełnej krasie.

BAKOWSKI



PODCAST PRZEGLĄDU:

ROBERT WALENCIAK
I JAKUB DYMEK

i ich cotygodniowy

INNY
PUNKT WIDZENIA

najważniejszych wydarzeń



Znajdziesz nas na Spotify, iTunes, YouTube
i stronach internetowych tygodnika

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

- 8 Mocarstwowe mrzonki**
Warszawa i Kijów ważniejsze
od Berlina i Paryża

KRAJ

- 12 Klauszula (braku) sumienia**
Narzędzie do prześladowań
- 16 Nowa Huta – wraca socrealizm**
Uznana za pomnik historii
- 18 Ucieczka przed PiS**
Emigracja wśród młodych nie maleje
- 21 A to byli przebierańcy**
Bractwo Liderów kuźnią tytułów
- 24 Cena pomocy**
Potencjał bojowy Wojska Polskiego
- 48 SOR – miejsce, które przyciąga ćmy**
Dyżur dla wytrwałych

OPINIE

- 28 Henry Kissinger**
Jak uniknąć kolejnej wojny światowej?

ZAGRANICA

- 30 Odszkodowania:**
niekończąca się opowieść
Korespondencja z USA
- 34 Manewry Blinkena**
Czego oczekuje rząd Izraela

HISTORIA

- 36 Andrzej Walicki: Biali i czerwoni**
Ideologia narodowa powstania styczniowego

SYLWETKI

- 40 Sto lat prof. Krawczuka**
Był niezwykle popularnym popularyzatorem wiedzy

KULTURA

- 43 Szaleni, bezczelni, lekkomyślni**
– rozmowa z Valerią Bruni Tedeschi
- 46 Kulturalia**
- 66 Vermeer w Amsterdamie**

PSYCHOLOGIA

- 54 Depresja – bunt przeciwko neoliberalizmowi**
– rozmowa z Cvetą Dimitrovą

ZDROWIE

- 58 Dobrze to zaplanuj**
Jedzenie na zdrowie

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Robert Walenciak**
Paranoja w pełnej krasie
- 15 Jan Widacki**
O czym szumi Dewajtis
- 27 Andrzej Szahaj**
Patokapitalizm
- 33 Roman Kurkiewicz**
Więcej wilków, żadnych myśliwych,
innych mediów
- 39 Tomasz Jastrun**
Walka z wiatrakami
- 53 Wojciech Kuczok**
Życie jako przeżywanie strat
- 57 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Dziesiątka kier



KLAUZULA (BRAKU) SUMIENIA

Narzędzie do prześladowań

48

KRAJ

SOR – MIEJSCE, KTÓRE PRZYCIĄGA ĆMY

Dyżur dla wytrwałych



54

PSYCHOLOGIA

DEPRESJA – BUNT PRZECIWKO NEOLIBERALIZMOWI – rozmowa z Cvetą Dimitrovą

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK

12

KRAJ



✉ Wybory — najszybsza droga do własnego mieszkania

Niemającym gdzie mieszkać młodym Polakom PRZEGŁĄD (5/2023, s. 6) pokazuje „zaradność” lewicowych postów Biedronia i Śmiszka (właściciele mieszkania i współwłaściciele pięciu innych). Rozumiem



inwestującą w nieruchomości postankę Małgorzatę Niemczyk z PO (10 mieszkań), która nie szła do wyborów pod hasłem sprawiedliwości społecznej. Rozumiem postankę Agnieszkę Soin z PiS (siedem mieszkań i dwa domy), czymże są te metry kwadratowe w porównaniu z oszustwem smoleńskim? Prominentni lewicowcy kamienicznicy to nowa jakość. Są baronowie w rodzaju Czarzastego, Zandberga, są partyjni towarzysze, jest — tak skory do tropienia żdźbeł w oku innych — młodzieżowy „aktyw” z Razem, SLD, Wiosny. Ktoś wybrał Biedronia i Śmiszka, ktoś odwraca wzrok, milczy, żyrując zakłamanie. Rzeczywiście: „Niedługo wybory. Najszybsza droga do własnego mieszkania”.

Bogusław Czarny, Warszawa

f To nie jest kraj dla matek

Co się dziwić, że Polki nie chcą mieć dzieci, skoro „Gazeta Wyborcza” od 30 lat tłumaczy nam, że dzieci są horrendalnie drogie, najważniejsza jest kariera, kolejne pokolenie będzie miało gorzej niż poprzednie, zapewnienie mu przyzwoitych warunków rozwoju (żłobków, przedszkoli, szkół, opieki zdrowotnej, wypoczynku itd.) nie jest obowiązkiem państwa, a w ogóle taniej sprowadzić pracowników z zagranicy, niż hodować ich na miejscu.

Zdzisław Nowak

Niech zapewnią stabilne zatrudnienie z wynagrodzeniem, za które da się żyć, oraz tanie mieszkania, to żadne 500+ nie będzie potrzebne, żeby skłonić ludzi do dzietności.

Michał Czarnowski

Jestem z pokolenia *baby boomers*, to pokolenie dało kolejny wielki wyzł demograficzny, następnego raczej nie będzie. Wyzł powojenny dorastał we względnym ubóstwie, ale nie głodował i nie chodził goły, państwo rozszerzało



prawa kobiet, nie było problemu braku żłobków i przedszkoli, w większości szkół była higienistka, a w co drugiej dentysta. Kobiety masowo więc ruszyły do szkół i do pracy, zyskując własną pozycję zawodową i jaką taką niezależność finansową. Budowało się dużo mieszkań, choć wobec wiekowego zapóźnienia gospodarczego Polski to było za mało, tym bardziej że wieś przenosiła się do miast. Mimo to kobiety rodziły i wychowywały, bo było poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. Dziś zmieniły się priorytety — najpierw stabilność finansowa, wysoki standard materialny, potem potomstwo. Dlatego przesuwają się czas urodzenia pierwszego dziecka, co skutkuje zmniejszeniem liczby urodzeń. To nie jest kraj dla matek, to w ogóle nie jest kraj dla człowieka.

Ewa Wesółowska

ZDJĘCIE TYGODNIA



Dom aukcyjny Christie's wystawił na sprzedaż 266 obiektów, w tym XIX-wieczne obrazy, meble, zegary i srebra ze zbiorów europejskich i amerykańskich. Dla każdego coś dobrego...

Tylko politycy nadymają się, mówiąc o 40 mln Polaków. Fakty według GUS są takie: na koniec września 2022 r. liczba ludności Polski wyniosła **37 mln 979 tys.** I niestety cały czas maleje.

Po sześciu latach misję w Polsce zakończył **abp Salvatore Pennacchio**, nuncjusz papieski. Nie wypadł dobrze w tej roli. Zwłaszcza w sprawie polskich hierarchów ukrywających przestępców seksualnych. Nie współpracował z organami państwa, odmawiał dostępu do akt, o przebiegu spraw nie informował ofiar. Po powrocie do Rzymu będzie rektorem Papieskiej Akademii Kościelnej, szkolącej kadry do dyplomacji.

Według raportu **Transparency International** w światowym rankingu odczuwania korupcji Ukraina znalazła się na **116. miejscu**. Pomiedzy Filipinami i Zambią.

Adam Niedzielski, minister zdrowia (PiS), odwołał **prof. Rafała Niżankowskiego** w trakcie kadencji z funkcji przewodniczącego Rady Przejrzystości przy Agencji Oceny Technologii Medycznych oraz z Rady Akredytacyjnej. Sensownych argumentów brak.

Maciej Świerkocki otrzymał przyznaną przez **Uniwersytet Łódzki Nagrodę Kotarbińskiego** za „Łódź Ulissesa” (Wydawnictwo Officyna), esej o tłumaczeniu „Ulissesa”, słynnej powieści Jamesa Joyce’a, na które Świerkocki poświęcił siedem lat i 18 godzin. Ale warto było.

Jacek Bromski, prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich, uważa, że

działania platformy Netflix związane z wizytą w Polsce jej szefa Reeda Hastingsa są „próbą sabotażu przez streamingowego giganta bardzo dobrych rozwiązań systemowych” i że „do naszego rządu należy decyzja, czy w zyskach będą mieli udział polscy twórcy, czy pozostaną one jedynie w rękach amerykańskiej korporacji”.

15,9 tys. żołnierzy zawodowych i ochotników WOT odeszło z wojska w 2022 r. („Rzeczpospolita”).

Dorota Kania, członkini zarządu grupy Polska Press, której właścicielem jest Orlen, wysłała do dziennikarzy wydawnictwa wytyczne, że mają się ograniczyć, a najlepiej całkowicie powstrzymać od pisania o WOŚP. Zaprotestowali dziennikarze oddziału katowickiego i redaktor naczelny z Łodzi.

Rekordowe **342,2 mln pasażerów** przewiozły w 2022 r. polskie koleje. Pobito w ten sposób wynik z 2019 r., gdy pasażerów było 335,9 mln.

Takiego numeru jeszcze w polityce nie było. Były premier Kazimierz M. nie płacił alimentów byłej żonie Izabeli i został skazany na sześć miesięcy ograniczenia wolności i 20 godzin prac społecznych miesięcznie przez pół roku.

Od 1 stycznia zmieniły się nazwy miejscowości w 225 gminach.

Do licznych paranoi uchwalonych przez obecny Sejm doszło zwolnienie myśliwych z obowiązków badań lekarskich i psychologicznych, które musieli robić co pięć lat.

PRZEBŁYSKI

Pod parasolem abp. Skworca

Czym Ślężacy zawinili, że właśnie do nich trafił abp Wiktor Skworec? 20 lat temu jeszcze jako biskup zaczął urzędować w Tarnowie. I trudno powiedzieć, że były to dla miejscowych dobre czasy, wręcz odwrotnie. W diecezji tarnowskiej grasował wyjątkowy zwyrodnialec. Ks. Stanisław P. skrzywdził co najmniej 100 dzieci. Bezkarnie. Bo abp Skworec przenosił go z parafii do parafii. Nawet na Ukrainę. Mógł więc pod parasolem Skworca gwałcić dzieci. Gdy dewiantem zajęła się prokuratura, to w 2020 r. z powodu przedawnienia umorzyła śledztwo.

A Skworec? Zamiast rozliczenia doczekał się awansu i... mszy dziękczynnej w katowickiej katedrze Chrystusa Króla. „Dziękujemy za światło twojej posługi dla Kościoła w Polsce i na świecie” (przemówił abp Budzik).



W Iraku bez zmian

Tej rocznicy nikt nie obchodzi. A szkoda, bo jest bardzo pouczająca. 8 lutego 1963 r. został aresztowany i skazany na śmierć gen. Abd al-Karim Kasim, premier Iraku. Nie było w tym przypadku. CIA miała długoterminowy program eliminowania przywódców nieprzychylnych amerykańskim planom. A Kasim chciał znacjonalizować przemysł wydobywczy w Iraku. Nie zdążył. A kto po nim z namaszczenia Amerykanów przejął władzę? Saddam Husajn al-Tikriti. Też po latach powieszony, 30 grudnia 2006 r. Choć tak wiernie służył.

Willi i eksperyment prezesa

Posadzony przez prezesa Kaczyńskiego na fotelu ministra spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz okazał się eksperymentem nieudanym. Niemotą, w historii MSZ porównywalną z Anną Fotygą (dziś na żołdzie brukselskim). Czaputowiczowi pamiętamy szczerą odpowiedź na pytanie „Rzeczpospolitej”, czy za granicą ktoś jeszcze lubi Polskę. Pisowski figurant odpowiedział: „Nie przychodzi mi nikt na myśl”. Z takim potencjałem nie mógł w PiS zginąć. Trafił do rady programowej Fundacji Polska Wielki Projekt. Działa tam „na rzecz przestrzegania najwyższych standardów profesjonalnych i etycznych”. To nie żart. Tak jest w statucie fundacji. Ale że będzie to robil Czaputowicz, to już faktycznie żart. Żeby lepiej mu się działało, fundacja dostała pięć baniek od ministra Czarńka. Na zakup willi na Mokotowie. Skromne 412 m kw., 11 pomieszczeń. Jakoś tam się politycy PiS pomieszczą.



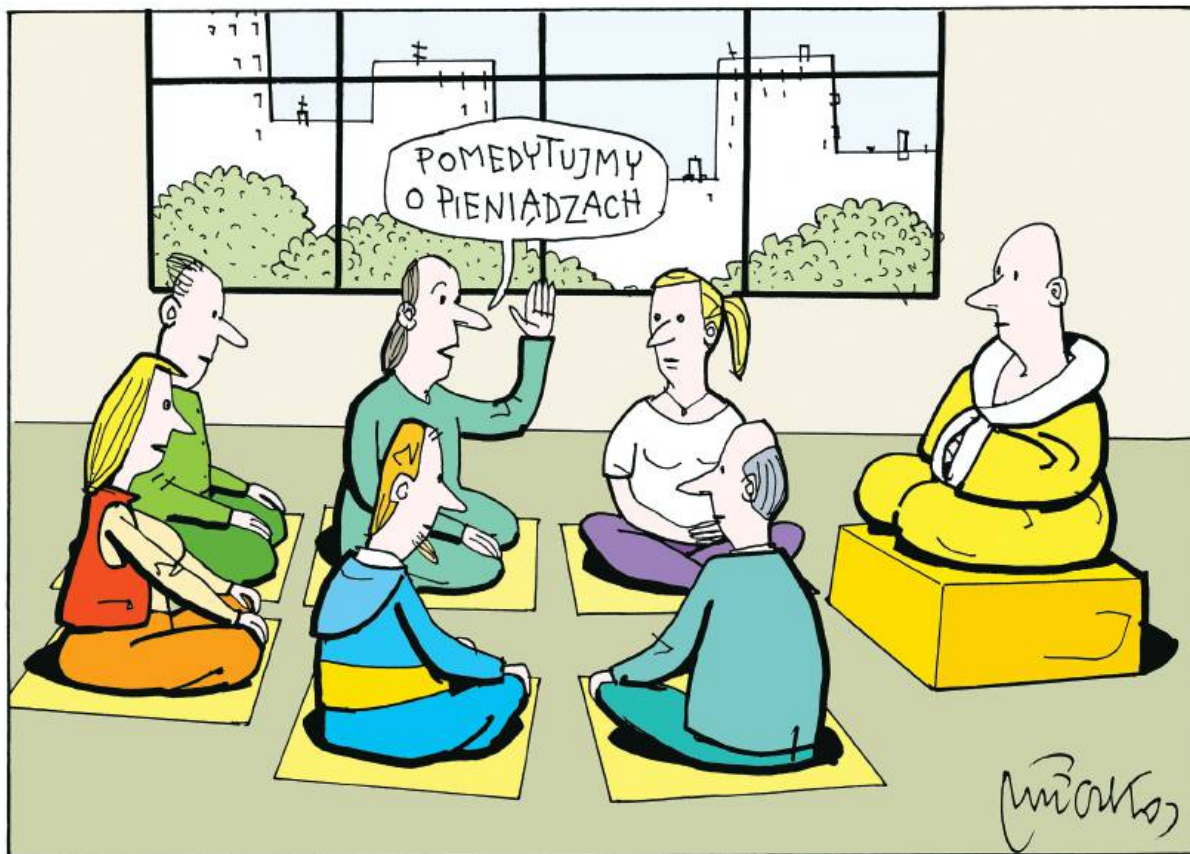
Agata Adamek bez sensu, ale z przytupem

Nastroje na wsi są marne. Strajki rolników. Blokada transportu ukraińskiego zboża. Droga żywność. Jest więc o czym rozmawiać z wicepremierem, ministrem rolnictwa Henrykiem Kowalczykiem.



Niestety, zaproszony do TVN 24 nie był o to pytany. Nieznany ze szczególnej lotności Kowalczyk beznadzie tłumaczył Agacie Adamek („Jeden na jeden”, piątek, godz. 7.30), że nie ma wiedzy o pieniądzach, jakie dostały fundacje, a tylko to interesowało dziennikarkę amerykańskiej stacji.

Zadanie, z jakim Adamek przyszła na rozmowę z Kowalczykiem, wykonała wzorowo. A że maltretowała go bez sensu, to przysporzyła mu sympatii.



PYTANIE TYGODNIA

Jakie formy cenzury istnieją we współczesnej Polsce?

PROF. JANUSZ W. ADAMOWSKI,
*medioznawca, dziekan Wydziału Dziennikarstwa,
Informacji i Bibliologii UW*

Główną formą neocenzury jest głęboko zakodowany lęk wielu autorów przed napisaniem czegoś, co się komuś nie spodoba i spowoduje, że wylecą z pracy. O wiele poważniejszym zagrożeniem jest jednak cenzura wewnętrzna: tworzenie treści w taki sposób, by nie obrazić się reklamodawcy i sponsorzy. Duże koncerny mogą sobie pozwolić na takie ryzyko, gorzej z małymi wydawcami. To, że lokalne gazety dotowane przez samorząd nie krytykują burmistrzów i prezydentów, też jest rodzajem cenzury. No i jest jeszcze cenzura w mediach niesłusznie zwanych publicznymi, w przypadku których to interesy partyjne, a nie interes społeczny, decydują o tym, o czym się nie mówi.

ANDRZEJ SKWORZ,
redaktor naczelny „Press”

Polska mentalność od lat hołduje cenzurze. Najbardziej beceremonialną stosują rząd i partia rękoma swoich aparatczyków, z których zrobili szefów mediów publicznych. Ich celem jest dopilnowanie, by nie pochwalić opozycji, a przede wszystkim nie zganić rządu. W mediach Orlenu cenzor jest zbyt liczny, gdyż szefuje im Dorota Kania, która z zapalem naśladuje czasy resortowe. Wolne od cenzury nie są również niektóre prywatne media (z obu stron), bo postanowiły zmienić tzw. linię programową

na politycznie bezpieczną, by móc się tuczyć na reklamach od spółek skarbu państwa. Ale najgorsza jest autocenzura. To za jej sprawą dziennikarze milczą choćby o dawnym życiu intymnym Jarosława Kaczyńskiego, torturach w Kiejkutach czy ciemnych stronach pobytu wojsk sojuszniczych w Polsce. Autocenzura zamknęła usta polskim mediom, gdy ukraińska antyrakieta zabiła naszych obywateli. Autocenzurujemy się do tego stopnia, że ostatnio głównej nagrody literackiej nie mogła dostać książka o trudnej historii polsko-ukraińskiej. Smutne jest to, że cenzura rządowa może kiedyś ustanie, ale autocenzura nigdy.

DR HELENA CHMIELEWSKA-SZLAJFER,
socjolożka, Akademia Leona Koźmińskiego

Na pewno cenzura ze strony właścicieli mediów. Przykładem są periodyki Polska Press – wiem od dziennikarzy, że wielu z nich zakazano podejmowania określonych tematów. Miękką formą cenzury jest autocenzura, czyli pilnowanie się, żeby np. nie krytykować bloków politycznych czy idei, z którymi się sympatyzuje. Nadal dobrze się mają starsze formy autocenzury, którą obejmowana jest kularowa wiedza na temat autorytetów, co czasami kończy się skandalem. Przykładem może być ujawnienie przez Artura Domosławskiego „niedociągnięć warsztatowych” Ryszarda Kapuścińskiego. Było o nich wiadomo od lat, ale nikt nie ruszał tego tematu, żeby nie strącać z piedestału tak fetowanej postaci.

MOCARSTWOWE MRZONKI

Warszawa i Kijów ważniejsze od Berlina i Paryża

Jakub Dymek

Nowy pogląd szturmem zdobywa świat. Łączy środowiska i postacie tak od siebie odległe jak partyjna TVP i brytyjski lewicowy „Guardian”, konserwatywni amerykańscy analitycy i dziennikarze „New York Timesa”, Radosław Sikorski i były już pisowski ambasador Jakub Kumoch, część świeżo nawróconej na atlantyzm i militarizm młodej lewicy oraz antyeuropejskie tabloidy z Wielkiej Brytanii. To narracja mówiąca, że Niemcy i Francja się skompromitowały, państwa starej Unii Europejskiej nie rozumieją powagi sytuacji, a centrum wpływu na kontynencie przesuwają się zdecydowanie w kierunku północno-wschodnim. Gdzieś między Warszawą, Kijów, Tallin i Helsinki.

Wojna w Ukrainie stworzy nowy ład w Europie i dokona prze wartościowania dotychczasowych porządków – przekonują kolejne analizy i publicystyczne wstępniaki w anglojęzycznych magazynach. Jak? Otóż ton w Europie przyszłości będą nadawać państwa na wschód od linii Odry – a nie jak przez tysiąclecia jej historii te nieco bardziej na zachód i południe. Ukraina ma serce, Polska potężną armię i bohaterskich, pryncypialnych przywódców, Estonia, Łotwa i Litwa też coś na pewno dołożą – i tak rodzi się nowa siła na kontynencie, piszą poważne na co dzień tytuły. Teraz „moralna siła”, jaką zyskały państwa na wschodzie i północy Europy, pozwoli im realnie konkurować o wpływy z dużo większymi gospodarkami i zamożniejszymi państwami, słyszymy.

„Tandem Polski i Ukrainy równoważy sojusz Niemiec i Francji i zmienia układ sił w Europie”, ogłasza już serwis Wszystko Co Najważniejsze, a podobne głosy pojawiają się i poza granicami naszego kraju. Nie są też ograniczone już dawno do pisowskiej propagandy. Przeciwnie, pogląd o nieuchronnej kompromitacji Niemiec i skazanej wręcz na liderowanie nowej, północno-wschodniej europejskiej osi staje się powszechnie powtarzaną obiegową mądrością. Jak dzieje się z wieloma podobnymi intelektualnymi modami, i to przekonanie o zmieniającej się architekturze wpływów w Europie broni się tak długo,

co wojna tylko przyspiesza. Polska dynamicznie rozwija swoją armię, dodaje Erlanger, a dzięki nowym, imponującym zamówieniom zbrojeniowym staje się liczącym się graczem w UE i NATO.

„Zmienia się mapa moralnego przywództwa”, a „państwa Europy Środkowej widzą się jako »bojownicy o wolność i obrońcy europejskich wartości«”, mówi Erlangerowi Jana Puglierin z niemieckiego oddziału European Council on Foreign Relations. W tym momencie warto zwrócić uwagę na kategorię „moralnego przywództwa”, bo będzie ona jeszcze wracać.

Świat podbija nowy pogląd: że centrum wpływu na kontynencie przesuwają się między Warszawą, Kijów, Tallin i Helsinki.

póki nikt nie zadaje zbyt przenikliwych pytań. Co tak naprawdę się zmieni? Kto za to zapłaci? I gdzie przebiega granica między realnym potencjałem (np. Polski) a myśleniem życzeniowym i propagandą sukcesu?

Punkty militarne i punkty moralne

„Polska i państwa bałtyckie przodowały w moralnej argumentacji za pomaganiem Ukrainie i wypełniły pustkę [decyzji], gdy liderów kontynentu, Francję i Niemcy, unieruchomił paraliż”, stwierdza brukselski komentator „New York Timesa” Steven Erlanger. Amerykanin pisze, że to presja państw wschodu i północy kontynentu zmusiła Niemcy do przekazania czołgów Ukrainie, a „władza w Europie przesuwają się na wschód”,

„Narodu, który wygrał walkę o wolność – i bezpieczeństwo innych na kontynencie – dzięki ofierze krwi nie będzie można dłużej trzymać z boku i powtarzać, że jego miejsce jest na peryferiach – dowodzi politolog Andrew Michta w serwisie Politico. – Zwycięska Ukraina zajmie zatem miejsce w Europie samą siłą swojego poświęcenia, a Stany Zjednoczone i wszystkie europejskie państwa, które odegrały kluczową rolę w jej zwycięstwie – w szczególności te ze wschodniej flanki – niezwykle zyskają na znaczeniu”. Michta przekonuje dalej, że centrum wpływów na kontynencie przesuwają się (oczywiście) na północny wschód, a politycy z Warszawy, Rygi czy Kijowa wykazali się w momencie próby zdolnością przywództwa, której zabrakło ich zachodnim kolegom.



Jarosław Kaczyński przekonywał, że państwa naszej części Europy muszą mieć większy wpływ na Unię Europejską. Nz. z Wołodymyrem Zełenskim w Kijowie 15 marca 2022 r.

Michcie wtóruje reprezentujący zazwyczaj nieco bardziej realistyczno-zachowawczą linię myślenia dr Sergey Radchenko z Instytutu Kissingera i Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa. Dziś państwa pomagające Ukrainie – przede wszystkim Polska i kraje bałtyckie – zdobywają podwójną siłę, militarną i moralną. Radchenko idzie nawet dalej i zauważa, że państwa Europy Środkowej i Wschodniej „wykorzystały wojnę w Ukrainie jako dźwignię do objęcia w Europie strategicznego przywództwa”.

Na stronach „Guardiana” Jonathan Eyal ocenia: „Państwa takie jak Polska i kraje bałtyckie zyskały moralny autorytet, ponieważ były dużo trzeźwiejsze i realistyczne w swojej ocenie zagrożenia imperialną Rosją, a także wywierają dużo bardziej bezpośredni i praktyczny wpływ na proces decyzyjny w Europie. Gdy Scholz zwlekał z przekazaniem czołgów Ukrainie, państwa bałtyckie i Polska zdobyły moralną przewagę”.

„Niemiecka widoczna ambiwalencja wobec agresywnej Rosji i związku Berlina z Moskwą pozwoliły Polsce objąć moralne przywództwo w dziedzinie europejskiej obronności”,

dodaje z kolei Diane Francis na stronach internetowych Atlantic Council, think tanku promującego NATO i współpracę USA i Europy. Tę wyliczankę można kontynuować naprawdę długo. Jednak prawie każdy kolejny tekst na ten temat jest tylko kopią jednego i tego samego argumentu. Argumentu, który akurat obserwatorzy polskiej polityki znają dobrze.

Wszyscy mówią Kaczyńskim

Dziś natowskie think tanki, międzynarodowe redakcje i europejskie ośrodki analityczne mówią do nas braćmi Kaczyńskimi. Ci przecież od zawsze uważali, że wielki gospodarczy potencjał Niemiec spoczywa na wąłym kręgosłupie moralnym niemieckiego społeczeństwa, a więc jest to konstrukcja w najlepszym razie chwiejna.

Żelaznym poglądem Jarosława Kaczyńskiego i PiS od zarania było przekonanie, że Niemcy są zbyt silne w Europie, nawet jak na swój olbrzymi potencjał gospodarczy. Polska zaś ma moralne prawo odgrywać w sprawach kontynentu większą rolę, z kolei Niemcy takiego prawa

nie mają, bo II wojna, współpraca z Rosją, strategiczna ślepota, merkantylizm cywilizacji protestanckiej, parady gejowskie i antyamerykańskość... Nierównowagę potencjałów gospodarczych i politycznych powinna niwelować inna matematyka: moralności i dziejowego prawa.

Kaczyński przekonywał, że państwa naszej części Europy muszą mieć większy wpływ na Unię Europejską, i to nawet jeśli nic innego – siła gospodarki, armii czy ludności – nie predysponuje Polaków, Węgrów, Słowaków, Łotyszy, Chorwatów, Rumunów czy Estończyków do odgrywania roli większej niż Niemcy lub Francuzi. W Unii powinna się dokonać redystrybucja władzy i prestiżu na wschód – choćby dlatego, że tylko państwa byłego bloku wschodniego rozumieją zagrożenia, potrzebę obronności i wolne są od zachodnioeuropejskich złudzeń. Dziś sen Kaczyńskiego zdaje się spełniać.

To, co jeszcze kilka lat temu było wysmiewane przez liberalne redakcje jako mrzonki opętanego antyniemiecką obsesją starszego pana, dzisiaj staje się obiegową mądrością, którą wręcz wypada powtarzać w uczonym, dyskutowanym i będącym au courant towarzystwie. Już wiosną 2022 r., ledwie trzy miesiące po inwazji z 24 lutego, amerykański historyk Timothy Snyder, ekonomista Paul Krugman i publicysta „Gazety Polskiej” Adrian Stankowski jednym głosem dowodzili, że Niemcy są współodpowiedzialne za tę wojnę i powinny zostać w jakiś sposób rozliczone lub ukarane. „Nie tylko Rosja musi ponieść w Ukrainie porażkę, po której nie podniesie się przez dziesięciolecia, ale także Francja i Niemcy muszą stracić wpływy w Europie”, przekonywał szwedzko-ukraiński analityk centrum analitycznego CEPA Anders Östlund, lecz równie dobrze mógłby to powiedzieć Jarosław Kaczyński albo inny polityk PiS. Obecnie takie przeświadczenie tylko się wzmocniło – wiadomo, że Niemcy i Francja straciły wpływy, ale jest też jasne, kto miałby ich zastąpić.

Redystrybucja władzy?

Oczywiście Kaczyński miał rację – w połowie swojej diagnozy. Niemcy ▶

► miały (szczególnie za pośrednictwem strefy euro) za duży wpływ w Europie w minionych latach, a obowiązujący w ostatniej dekadzie plan integracji ekonomicznej, energetycznej i finansowej kontynentu dodatkowo i nieproporcjonalnie by je wzmocnił. Widać to było choćby na przykładzie kryzysu greckiego, tylko że wówczas w Polsce obowiązywał inny dogmat – o nieomyślności Niemiec. Słowem, gdyby wszystko dalej szło według zamierzeń Berlina, a wojna by nie wybuchła, to Niemcy byłiby beneficjentem i pokoju, i gazowej współpracy z Rosją, i zielonej transformacji, i planów postcovidowej odbudowy, i rozszerzania strefy euro. Ironia polega na tym, że choć w takim scenariuszu na marginalizację i wieczną peryferyjność skazana byłaby Ukraina,

w niej razem z Polską i wszystkimi pomagającymi jej krajami należne miejsce i wpływy”, sędzę, że są szczerzy. To znaczy: naprawdę w to wierzą. Na pewnym etapie warto jednak będzie rozgraniczyć wojenną propagandę, myślenie życzeniowe i faktyczne diagnozy.

Na razie Ukraina pozostaje państwem, którego 20% terenu jest okupowane. Kijów nie jest w stanie (gdyby nie cykliczne umorzenia) spłacać swojego zadłużenia zagraicznego, kluczowa infrastruktura energetyczna znajduje się pod ostrzałem, w wielu miastach ludzie nie mają prądu ani bieżącej wody, a PKB spadł o 30-40%. To jest wojna. Ukraina – nawet zwycięska – będzie najpierw obiektem olbrzymiej akcji ratunku i odbudowy, a nie państwem

Właśnie dlatego, że Ukraina jest w sytuacji rozpaczliwej, Bruksela czyni ukłony wobec jej oczekiwań. Gdyby sytuacja się odwróciła i po zakończeniu wojny ujawniłby się jakiś rzeczywiście zagrażający Niemcom i Francji polsko-ukraińsko-bałtycki potencjał, UE szybko przeszłaby od języka uprzejmości do surowych wymagań i twardych negocjacji. Ostatecznie polityka to jednak gra sił i interesów, a nie „moralnych przewag”.

Centrum logistyczne czy sztab generalny Europy?

Zaledwie jeden z przywoływanych tu tekstów, materiał Stevena Erlanger z brukselskiego biura „New York Timesa”, przynajmniej zauważa, że nie wszystko jest tak jednoznaczne. Europa nie zajmuje się wyłącznie wojną w Ukrainie, ma do załatwienia co najmniej kilka spraw – a tylko w jednej z nich Polska czy państwa bałtyckie naprawdę przejęły inicjatywę. W dziedzinie zielonej transformacji, regulacji cyfrowych monopolów, globalnej konkurencji z USA i Chinami, zarządzania migracją i zmianami klimatycznymi Polacy, Łotysze czy Rumuni nie wykazują podobnego entuzjazmu. Cytowany w materiale Hans Kundnani dodaje, że „pewność siebie i poczucie moralnej wyższości nie wystarczą, żeby osiągnąć założone przez siebie cele na poziomie Brukseli”.

Autorzy pozostałych publikacji zadowolają się stwierdzeniem, że skoro Polska i kraje bałtyckie zachowały się przyzwoicie po 24 lutego, to naturalnie będą zyskiwać na znaczeniu – a Niemcy i Francuzi będą tracić. Dlaczego Niemcy i Francuzi mają tracić? Bo zachowali się nieprzyzwoicie, więc zyskiwać będą Polska i państwa bałtyckie. Trudno o lepszy przykład logiki kołowej. W żadnym z tekstów nie znalazłem też na razie dowodów na to, że rosnąca rola Polski czy krajów regionu odzwierciedla się w polityce USA – które wciąż, nie wiedząc czemu, za najpoważniejszych graczy na kontynencie uznają Niemców i Francuzów, a nie Polaków czy Estończyków. Skądinąd przekonanie, że gdyby rosyjskie rakiety spadły na Europę, Amerykanie rzuciliby się ratować w pierwszym szeregu

Powszechnie powtarzaną mądrością staje się pogląd o kompromitacji Niemiec.

to akurat Polska nie jest przegranym niemieckiej dominacji w Europie – co widać po statystykach rozwoju naszej gospodarki po 2014 r.

Polska zresztą do dziś – pomimo złorzeczeń i otwartej pogardy wobec sąsiadów lejącej się strumieniem z prorządowych mediów – wyczekuje kolejnych niemieckich inwestycji. Zwłaszcza w dziedzinie zielonej energii i elektromobilności, kolejnych dwóch nielubianych przez nasze władze pomysłów, gospodarcza bliskość Polski i Niemiec zaowocuje w najbliższych latach idącymi w miliardy projektami: budową nowych fabryk i montowni oraz powstawaniem infrastruktury i usług obsługujących zieloną transformację.

Wracając jednak do politycznego osłabiania zachodu kontynentu, Jarosław Kaczyński (oraz autorzy wszystkich wymienionych powyżej tekstów) myli się w innym punkcie. Otóż chyba nigdy i nigdzie w historii nie doszło do przekazania władzy posiadaczom „kapitału moralnego”. Gdy konserwatywnie nastawieni politycy albo europosłowie PiS głoszą, że „na naszych oczach wykuwa się nowa architektura władzy w Europie”, a „zwycięska Ukraina zajmie

dyktującym razem z Polakami i Finami politykę reszcie Europy. Bądźmy choć przez chwilę poważni.

Dzisiaj zdolność Ukrainy do wywierania wpływu na zachodnie stolice wynika nie z jej siły, lecz ze słabości. Liderzy UE czują brzemień odpowiedzialności, nie chcą pozostać obojętni wobec wojny, ale też są podatni na zawstydzanie i moralne szantaże. Różnicę tę dobrze widać po reakcjach Izraela i Turcji na apele Ukrainy i Zełenskiego – przywódcy tych krajów rozgrywają wojnę cynicznie i żaden apel do ich poczucia wstydu, przyzwoitości czy dobrego serca wiele nie zmieni. Inaczej jest w Europie. Doskonale pokazał to niedawny tekst w „Financial Timesie” o obietnicach przyłączenia Ukrainy do Unii. Cytowani przez redakcję politycy pod nazwiskiem mówią, że „należy zrobić wszystko, aby jak najszybciej Ukraina dołączyła do UE” i że „Unia to Ukraina, Ukraina to Unia”. Gdy jednak mikrofony zostają wyłączone, ci sami politycy opowiadają dziennikarzom gazety, że obietnice wobec Kijowa poszły już za daleko i że prędzej czy później trzeba zakończyć ten spektakl, który zaczyna już być krępujący.



Jak po tej wojnie ułożą się stosunki między Warszawą a Berlinem?
Nz. premier Morawiecki i kanclerz Scholz podczas Szczytu Bałkanów Zachodnich. Berlin, 3 listopada 2022 r.

Polskę, Litwę i Estonię, a nie Niemcy, jest fantazją podzielaną dziś na coraz szerszym odcinku politycznego spektrum. A przecież żadne błagania o zbudowanie u nas Fort Trump nie odwróciły dysproporcji rozlokowania amerykańskich żołnierzy w Europie. Amerykańscy autorzy piszący o słabnącej roli Niemiec i rosnącej roli Polski również zazwyczaj nie przedstawiają dowodów na to, jak niby

A ja pamiętam, jak to Polska dzięki Ukrainie miała się stać nowym liderem Europy już przynajmniej trzykrotnie: po pomarańczowej rewolucji, po powstaniu Partnerstwa Wschodniego, po kijowskim Majdanie i rewolucji godności. No i oczywiście po 24 lutego 2022 r. To ciekawe zresztą, jaką rolę – klucza do zachodnich sumień i rozumów – widzą polskie elity w każdym kolejnym

Polityka jest grą sił i interesów, a nie „moralnych przewag”.

polityka Waszyngtonu odzwierciedla tę wielką zmianę – ani czy w ogóle w nią wierzy. Widać raczej, że USA chciałyby zmobilizować Niemcy do większej aktywności, a nie że kibicują ich marginalizacji.

Polska zyskała – zdaje sobie sprawę z tego Radosław Sikorski, co wykląda w ostatnim wywiadzie dla „Krytyki Politycznej” – jako centrum logistyczne. Ale nawet teraz Amerykanie dostarczyli do Polski baterie Patriot wyłącznie po to, by chronić własne samoloty – trudno to uznać za oznakę, że „centrum władzy w Europie przesunęło się na wschód”. Od bycia centrum logistycznym do bycia centrum decyzyjnym naprawdę długa droga. (Co nie znaczy, że nie ma tego potencjału, i trzeba to uczciwie odnotować!).

krzysie i tragedii sąsiada. Za każdym też razem polskie elity – albo z SLD, albo z PO, albo z PiS – przekonują, że dzięki naszemu położeniu i głębokiemu zrozumieniu spraw wschodnich cała Europa i USA prędzej czy później zaczną nas traktować jako regionalnego lidera, kompas moralny i przewodnika po poradzieckiej dżungli. W rzeczywistości nasz potencjał trochę rośnie, czasem spada, ale jest to zależne od polityki, naszych relacji z Brukselą i Berlinem oraz tego, kto aktualnie rządzi w USA. Nie jest to zaś wypadkową europejskich potencjałów moralnych.

Jest jednak jeden zwycięzca tej dynamiki. Rząd PiS. Powiedzmy sobie szczerze, kiedy po raz ostatni można było w czołowych redakcjach Ameryki przeczytać, że Mateusz Morawiecki

i Andrzej Duda są „europejskimi bojownikami o wolność” (*freedom fighters*) i „bronią europejskich wartości”? Dotychczas na tych samych łamach występowali wyłącznie w roli homofobów, antysemitów, rozbijaczy Europy, populistycznej zarazy i może nawet „naśladowców Putina”. W tej chwili zdobią serwisy newsowe światowych agencji i okładki gazet jako liderzy kontynentu – trudno im się dziwić, że mają wojenny haj.

Polska oczywiście nie jest ani tak potężna, jak chciałaby tego władza, ani tak słaba, jak widzi to opozycja. Niestety, cierpimy na chorobę wadliwą odbijającego się od ściany do ściany. W naszej wyobraźni jesteśmy na przemian „drugą Grecją”, pisowską satrapią na skraju finansowego (i moralnego bankructwa), która za chwilę się zwinie, albo czempionem Europy, jej liderem, który razem z Ukrainą i Litwą (oraz Łotwą i Estonią) naprawdę odnowi tradycje I Rzeczypospolitej i będzie nową kontynentalną potęgą. Prawda zaś leży gdzieś pośrodku: jesteśmy (w każdym sensie) centrum logistycznym. Coraz bardziej zamożnym, ambitnym, asertywnym magazynem Amazona w środku kontynentu – a nie jego globalną centralą.

Na razie wojna w Ukrainie wcale nie wstrząsnęła fundamentami ładu na kontynencie i nie pozwoliła narysować mapy władzy i wpływów w Europie na nowo. Raczej w takim samym stopniu umocniła istniejące tendencje i uruchomiła potencjał dla nowych. Dopiero przyszłość – liczona raczej w latach niż w miesiącach – pokaże, czy i gdzie znajdziemy centrum władzy kontynentu.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Klauzula (braku) sumienia

Prawo mające być dowodem wolności przekonań stało się narzędziem do wykluczania i prześladowań

Anna Stachowiak

Po tym, jak podlaskie szpitale odmówiły aborcji zgwałconej 14-latkę z niepełnosprawnością intelektualną, na nowo rozgorzała dyskusja o klauzuli sumienia. Interweniuje rzecznik praw obywatelskich, a minister zdrowia mówi, że to niedopuszczalne. Pora na zmiany.

14-letnią dziewczynkę z Podlasia zgwałcił wuj. Nastolatka wiedziała, że jest w ciąży, nie rozumiała jednak, co to oznacza. Jest obciążona niepełnosprawnością intelektualną. Sprawą siostrzenicy zajęła się jej ciotka, która zwróciła się do szpitala, by przeprowadzić zabieg. Lekarze jednak odmawiali – mimo że istniała przesłanka do legalnej aborcji – powołując się na klauzulę sumienia. Wówczas kobieta zwróciła się do Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, która pomaga w uzyskaniu dostępu do aborcji (legalnej aborcji). Ostatecznie zabieg przeprowadzono w szpitalu w Warszawie.

My tu mamy klauzulę

„Krewna dziewczynki zadzwoniła do nas z prośbą o pomoc w legalnej aborcji, bo szpitale w okolicy ich miejsca zamieszkania odmówiły zabiegu, mówiąc: »My tu przecież mamy klauzulę sumienia«. Nie chcieli w ogóle rozmawiać. Ciocia nastolatki mówiła nam, że potraktowano je w sposób brutalny i nieludzki. Obie bardzo się bały”, wyjaśniała w „Polityce” Krystyna Kacpura, szefowa Federy.

Została zawiadomiona także prokuratura, sprawa jest w toku. Podczas ostatniego posiedzenia Sejmu komentowali ją wszyscy od lewa do prawa, przy czym komentarze z prawej strony były raczej lapidarne.

„Zacznijmy od tego, że są to doniesienia medialne”, napominała Monika Pawłowska (PiS). „Może dojść do aborcji, ale przy szacunku oczywiście dla klauzuli sumienia”, zaznaczał wiceminister sprawiedliwości Michał Woś (Solidarna Polska). Przymus, by lekarz przeprowadzał aborcję, jest jak „zmuszanie muzyłmanina do jedzenia wieprzowiny”, wysilił się na konstatację Marcin Horała (PiS).

Bardziej merytorycznie wypowiedzieli się przedstawiciele resortu zdrowia. „Absolutnie jesteście zbulwersowani tą sprawą. Takie zachowanie jest nieakceptowalne”, skomentował postępowanie lekarzy minister Adam Niedzielski. Dodał, że resort współpracuje z rzecznikiem praw pacjenta. Wiceminister zdrowia Waldemar Kraska podkreślał: „To był gwałt, czyli ingerencja w zdrowie i życie nastolatki. W takiej sytuacji prawo mówi jednoznacznie: aborcja jest

dopuszczalna. Nasi prawnicy będą to analizować”.

RPO chce wyjaśnień, opozycja – zmian w prawie

Minister zdrowia nad dramatem dziewczynki pochylił się po interwencji rzecznika praw obywatelskich Marcina Wiącka. „Sprawa 14-latki wskazuje na istnienie praktycznych trudności w dostępie do aborcji wobec powołania się lekarza na klauzulę sumienia”, uważa rzecznik. Istotne jest też, że w tym przypadku zgodę na aborcję wydał prokurator, zaśła bowiem jedna z dwóch wciąż aktualnych w ustawie aborcyjnej przesłanek – po wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2021 r., który uznał że trzecią, embriopatologiczną, za niezgodną z konstytucją – ciąża pochodziła z czynu zabronionego (gwałtu i kazi-rodztwa). A jednak lekarz odmówił, powołując się na klauzulę sumienia.

KLAUZULA NIE TYLKO W POLSCE

Wyjątkowo wielu lekarzy korzysta z możliwości powołania się na klauzulę sumienia we Włoszech. W tym kraju aborcja na żądanie jest legalna do 90. dnia ciąży, ale w praktyce nie jest o nią łatwo z uwagi na dużą liczbę ginekologów stosujących klauzulę. Włoskie Ministerstwo Zdrowia szacuje, że korzysta z niej nawet 70% lekarzy.

We Francji możliwość korzystania z klauzuli sumienia regulują przepisy Kodeksu zdrowia publicznego, zgodnie z którymi lekarz może powołać się na nią w sytuacji aborcji, sterylizacji (wazektomia i podwiązanie jajników) oraz badań na zarodkach i zarodkowych komórkach macierzystych. W hiszpańskim prawie obowiązuje ustawa z 2010 r. o zdrowiu seksualnym i reprodukcyjnym oraz dobrowolnym przerywaniu ciąży, która w art. 19 reguluje klauzulę sumienia wraz z obostrzeniami. Kwestię klauzuli zajmuje się także Kodeks deontologii lekarskiej z 2011 r.

W Niemczech obowiązuje kilka ustaw, które regulują sposób korzystania z klauzuli sumienia nie tylko przez lekarzy, ale też przez innych pracowników medycznych, m.in. pielęgniarki. Dotyczą one aborcji i zabiegów na embrionach. Podobnie jest w Wielkiej Brytanii – tu regulacje są związane nie z zawodami medycznymi, ale z procedurami i zabiegami. Na przykład art. 4 ustawy z 1967 r. o aborcji przewiduje, że nikt nie może być zobowiązany do uczestniczenia w zabiegach, których dotyczy ustawa, jeśli nie są zgodne z jego przekonaniami i je odrzuca. Ustawa z 1990 r. z kolei, dotycząca zapłodnienia pozaustrojowego, przewiduje możliwość odmowy udziału w procedurach technicznych mających na celu zapłodnienie i ciążę.



RPO jest zdania, że odmowa stanowiała naruszenie prawa pacjentki do uzyskania świadczenia zdrowotnego, dlatego Marcin Wiącek zwrócił się z zapytaniem nie tylko do Ministerstwa Zdrowia, ale i do Narodowego Funduszu Zdrowia. Od resortu chciał się dowiedzieć, czy ten widzi potrzebę zmian legislacyjnych, aby pacjentka mogła uzyskać świadczenia w sytuacji, gdy lekarz odmówi, powołując się na klauzulę sumienia, szefowi NFZ zwrócił zaś uwagę, że sprawa może świadczyć o naruszeniu przez podlaskie szpitale umów z funduszem w zakresie ginekologii i położnictwa.

Opozycja domaga się zmian w prawie i żąda zwołania posiedzenia sejmowej Komisji Zdrowia. „Czy i kto poniesie karę za dręczenie zgwałconej nastolatki?”, pytała w Sejmie posłanka Lewicy Katarzyna Kotula. Aleksandra Gajewska z Koalicji Obywatelskiej dodawała: „Czy sumienie lekarza jest ważniejsze od zdrowia i życia kobiet?”.

Już wcześniej rzecznik zwracał uwagę, że w Polsce brakuje przepisów, które byłyby drugą stroną

klauzuli sumienia i „w sposób jasny by mówiły, że jeżeli lekarz powoła się na klauzulę sumienia, do czego ma pełne prawo, to wówczas państwo gwarantuje, że zabieg będzie wykonany przez innego lekarza czy w innym szpitalu”. Teoretycznie wynika to z ustawy o zawodzie lekarza.

Lekarz odmówić może, ale pomóc musi

Ustawa ta, przyjęta w 1996 r. i nowelizowana w 2022, reguluje kwestię klauzuli sumienia – art. 39 stanowi, że każdy lekarz może powstrzymać się od wykonania świadczeń zdrowotnych niezgodnych z jego sumieniem (z pewnymi zastrzeżeniami). Sytuacja taka jest jednak obwarowana obostrzeniami: lekarz musi uzasadnić odmowę, odnotować ją w dokumentacji medycznej, poinformować przełożonego. Ale przede wszystkim konieczne jest wskazanie pacjentowi realnej możliwości uzyskania danego świadczenia u innego lekarza lub w innym zakładzie opieki zdrowotnej. A to – jak wynika z przebiegu spraw monitorowanych i prowadzonych

przez Federę – w przypadku aborcji dzieje się rzadko.

Zwolennicy klauzuli sumienia podkreślają, że stosowanie jej ma oparcie w prawie międzynarodowym: art. 9 Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności gwarantuje każdemu wolność myśli, sumienia i wyznania, podobnie jak art. 18 Międzynarodowego paktu praw obywatelskich i politycznych. Art. 10 ust. 2 Karty praw podstawowych Unii Europejskiej dopuszcza odmowę działania sprzecznego z własnym sumieniem, z uwzględnieniem przepisów ustaw krajowych regulujących korzystanie z tego prawa. W Polsce kwestię wolności sumienia gwarantują art. 30, 31 i 53 konstytucji.

Z klauzuli sumienia korzystają również lekarze w innych krajach. Tylko pięć spośród państw Unii nie przewiduje takiej możliwości: Szwecja, Islandia, Finlandia, Czechy i Bułgaria. Jednak w Polsce sytuacja jest o tyle skomplikowana, że obowiązuje tu najbardziej restrykcyjne prawo aborcyjne na kontynencie (poza Watykanem i Maltą). Terminacja ▶

► ciąży jest możliwa jedynie w dwóch przypadkach, a i wtedy lekarze wykonują ją niechętnie lub wcale, odsyłając pacjentkę i zasłaniając się klauzulą sumienia. Widać to w danych, które pokazują, że oficjalnie liczba aborcji w Polsce systematycznie maleje. W 2021 r. Ministerstwo Zdrowia zarejestrowało 10 razy mniej aborcji niż w roku 2020. Oficjalnie w 2020 r. w Polsce wykonano 1074 zabiegi, z czego 1053 z powodu wad płodu. W 2021 r. – 107. Organizacje kobiece szacują zaś liczbę aborcji na 100-150 tys.

Podwójne łóżko nie dla wszystkich

Chodzi jednak nie tylko o obowiązujące ustawy, ale też o kolejne pomysły, które regularnie pojawiają się z prawej strony. Była już propozycja ustawy zrównującej aborcję z zabójstwem i penalizującej ją, ale są także inicjatywy wprost zajmujące się klauzulą sumienia. Chociażby wydany przez Ordo Iuris poradnik „Wolność słowa, sumienia i wyznania

w miejscu pracy”, który autorzy nazywają „odpowiedzią na rosnącą liczbę zgłoszeń pracowników, przedsiębiorców, lekarzy, pielęgniarek, położnych, farmaceutów, wykładowców akademickich i wielu innych, zwracających się do Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris o pomoc prawną w sporach prawnych powstających na płaszczyźnie zawodowej”.

W Polsce brakuje przepisów, które byłyby drugą stroną klauzuli sumienia.

Należy założyć, że absolutnie przypadkowo ów poradnik ukazał się w czasie, kiedy do opinii publicznej dotarła informacja o odmówieniu aborcji zgwałconej 14-latce. Jednak te dwa wydarzenia pokazują konieczność zarówno debaty o klauzuli sumienia, jak i zmian w prawie. Teraz bowiem już nie tylko lekarze i farmaceuci mogą się powoływać na swoje

poglądy i sumienie, ale również cukiernicy, restauratorzy i hotelarze. Konieczność wzięcia ich pod szczególną ochronę Ordo Iuris tłumaczy „prześladowaniami” ludzi wierzących, którzy mogą „wprost zakomunikować potencjalnemu usługobiorcy”, że świadczenie mu usługi byłoby sprzeczne z ich sumieniem.

Przykłady? „Cukiernia może odmówić wykonania tortu ślubnego dla pary jedнопłciowej, jeśli z uwagi na wyznawane wartości sprzeciwia się nadaniu przywilejów małżeńskich jedнопłciowym konkubinatom”. Restaurator może odmówić zorganizowania im wesela, a właściciel hotelu (lub recepcjonista) „może odmówić udostępnienia sali w celu zorganizowania wydarzenia promującego postulaty ruchu politycznego LGBT” oraz „wynajmowania pokoi z łóżkami dwuosobowymi dla par, które nie są małżeństwami”.

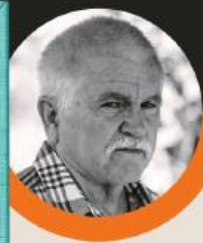
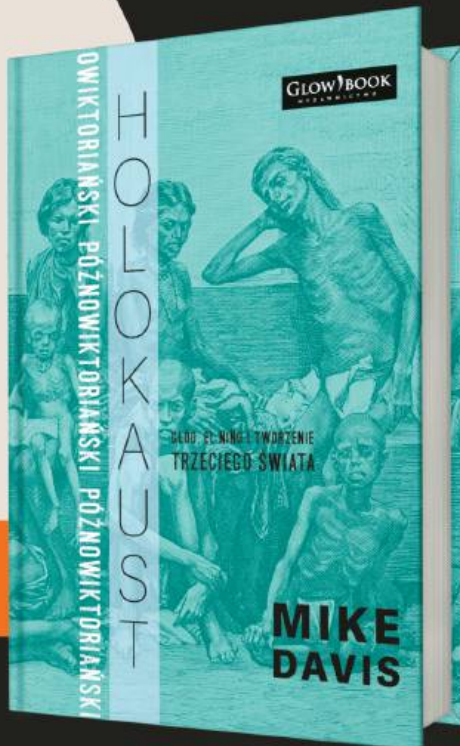
I tak klauzula sumienia, teoretycznie mająca chronić wolność przekonań, staje się po prostu narzędziem do wykluczania. I prześladowań.

Anna Stachowiak

Imponująca rozmachem opowieść o narodzinach obszarów znanych dzisiaj jako Trzeci Świat, wydobywająca na światło dzienne złowieszczy związek między polityką potęg imperialnych a klęskami naturalnymi, który zrodził jedną z najokrutniejszych tragedii w dziejach ludzkości. Porażająca panorama rozciągająca się na Chiny, Indie i Brazylię, w której tragiczne działania rządów kolonialnych zderzają się z gigantycznymi klęskami głodu i suszami. Jak doniosłe konsekwencje mają decyzje podejmowane przez rządy w epoce kryzysu środowiskowego?

**Zamów książkę u nas:
WWW.GLOWBOOK.NET**

Od listopada dostępna w sieci
Empik i dobrych księgarniach.



„Książka **Mike’a Davisa** ma fundamentalne znaczenie w dzisiejszym świecie, to niezwykle pouczająca pozycja, która nie skupia się wyłącznie na jednym problemie”.

Amartya Sen,
„New York Times”

Z Galicji



Jan Widacki

O czym szumi Dewajtis

Ostatnimi dniami ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego książka Emilii Padoł „Rodziewiczówna. Gorąca dusza”.

Z Rodziewiczówną mam pewien kłopot. „Pożary i zgliszcz”, „Czahary”, no i oczywiście „Dewajtis” to były lektury mojego dzieciństwa. Tylko do „Lata leśnych ludzi”, wbrew zachwytom moich druhów z harcerstwa, nie mogłem nabrać przekonania. Wydawało mi się sztuczne i infantylne. W PRL książki Rodziewiczówny wydawano selektywnie i bardzo oszczędnie, na szczęście jedna z ciotek miała jeszcze przedwojenne wydania. No to się zaczytywałem. Z tych książek czerpałem wiedzę o ojczystych stronach znacznej części mojej rodziny. Z ich kart unosił się ów „Polesia czar”... Maria Rodziewicz była dla mnie, wtedy uczniaka, Sienkiewiczem w spódnicy. Nawet nie przypuszczałem, że z tą spódnicą sprawa nie jest taka do końca jasna, co zresztą nie ma znaczenia. Tak czy inaczej, jej kresowe opowieści, podobnie jak te z Trylogii Sienkiewicza, łączyły się u mnie z opowieściami rodzinnymi w jeden piękny, mitologiczny, idealny obraz Kresów. Ziem obcą ręką nam brutalnie zabranych, utraconych chyba jednak na zawsze. Ale kto wie? Przecież „co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy”! W miarę dojrzewania coraz bardziej upewniałem się, że chyba nie odbierzemy, by w wieku dojrzałym dojść do przekonania, że nie tylko nie odbierzemy, ale nawet, gdyby to było możliwe, nie byłoby ani potrzebne, ani sprawiedliwe, ani mądre.

Po roku 1989 wydawnictwa zaczęły masowo wypuszczać książki Rodziewiczówny, nadrabiając to, czego nie chciały lub nie mogły robić wydawnictwa w PRL. Wiele z tych tytułów zobaczyłem wówczas po raz pierwszy. Książki te kupowało i chyba – jak sądzę – czytało pokolenie, które powieściami tej autorki zaczytywało się po raz pierwszy jeszcze przed wojną i które do Rodziewiczówny i jej twórczości miało przedwojenny sentyment. To pokolenie już odeszło. Do przeczytania choć jednej z tych powieści nie udało mi się namówić nikogo z pokolenia moich dzieci. I nie dziwię im się. Nie chodzi tu o egzaltację autorki, jej patos, nieprawdopodobne konstrukcje psychologiczne postaci i uproszczone schematy relacji międzyludzkich. Tym niech się zajmują krytycy i teoretycy literatury. Z całą pewnością, dla kontrastu, opisy przyrody poleskiej należą u Rodziewiczówny do najpiękniejszych bodaj w polskiej literaturze. Ale przede wszystkim jest strasznie anachroniczna w swoich poglądach! Jej idealny

obraz świata patriarchalnego, przekonanie o wyższości Polaków i ich dziejowej misji na białoruskim wschodzie oraz antysemityzm są dziś nie do zniesienia!

Dzięki książce Emilii Padoł poznajemy świat Marii Rodziewicz. Ten świat teraz nazwalibyśmy raczej „bańką”, w której żyła. Jak znaczna część kresowego ziemiaństwa przełomu XIX i XX w. kompletnie nie rozumiała, co się dzieje wokół – że świat nie zatrzymał się w XVIII w., ale idzie dalej. Ona innego świata nie знаła i znać nie chciała. Dwór – ostoja polskości, wysunięta placówka misji cywilizacyjnej, otoczona przez białoruskich chłopów, czapkujących dworowi i lojalnych wobec niego. W zamian dwór w swojej łaskawości czasem kogoś ze wsi a to poratował w biedzie, a to udzielił choremu dziecku lekarstwa. Rodziewiczówna nie widziała, może nie chciała widzieć, że ta wieś poleska, najbiedniejsza w całej Polsce, żyje w nędzy, głoduje na przednówku. Nie widziała, że ta ludność

żyje bez dostępu do lekarza, do szkoły. Nawet, jak zapisał oficer KOP, „korzystanie z komunikacji jest na Polesiu strasznie uciążliwe i męczące, bo drogi kołowe są piaszczyste i silnie wyboiste,

a na gruntach bagiennych i głęboko piaszczystych dylowane”. Podróże często wymagają kombinowanych środków komunikacji: łódką i wozem. Do najbliższej stacji kolejowej jest nieraz kilkadziesiąt kilometrów. Dlatego egzekwowanie przymusu szkolnego było fikcją. Analfabetyzm wśród ludności wiejskiej przekraczał tam 85%! Dostęp do lekarza też był fikcją. O strasznej nędzy Poleszów jeszcze przed wojną pisał Ossendowski.

Przy całej swojej niewątpliwej szlachetności, przy niewątpliwym patriotyzmie, Rodziewiczówna była postacią tragiczną. Wierzyła, że tym, czego miejscowemu ludowi potrzeba najbardziej, jest miłość do Polski, i tę miłość próbowała mu zaszczepić. Czy można się dziwić, że gdy tylko w czasie wojny opuściła swój dwór w Hruszowej, miejscowe chłopstwo rozgrabiło wszystko, co tylko rozgrabić się dało, a dwór spaliło? Emilia Padoł pokazuje niewątpliwie patriotyzm Rodziewiczówny, jej silny charakter, szlachetność. Ale pokazuje przy okazji, że patriotyzmy mogą być różne i nie zawsze dobrze służą ojczyźnie. Sienkiewicz powieściami krzepił serca narodu żyjącego w niewoli, by to pokrzepione serce pomagało przetrwać. Kilkadziesiąt lat później „Sienkiewicz w spódnicy” przez całe międzywojnie nawoływała do cofnięcia koła historii. Uczyła nacjonalizmu, najgorszej, toksycznej postaci patriotyzmu. ■

**Patriotyzmy mogą być różne
i nie zawsze dobrze służą ojczyźnie.**

Leszek Konarski

Władze Krakowa, wspierane przez wybitnych specjalistów zajmujących się ochroną zabytków, przedstawicieli instytucji kultury, radnych i aktywistów miejskich, przez ponad 13 lat walczyły o uznanie Nowej Huty za pomnik historii. I stało się. 3 lutego prezydent Andrzej Duda wręczył prezydentowi Krakowa Jackowi Majchrowskiemu rozporządzenie uznające socrealistyczne dziedzictwo urbanistyczne Nowej Huty za pomnik historii. Nasz tygodnik też ma w tym sukcesie udział, bo od lat upominaliśmy się o zabezpieczenie dla przyszłych pokoleń socjalistycznej tożsamości tej dzielnicy Krakowa. Temu celowi służyła także wydana przez PRZEGŁĄD moja książka „Nowa Huta – wyjście z raju”.

A droga do usankcjonowania prawnej ochrony miasta zbudowanego w czasach PRL nie była łatwa. Do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego wysyłane były dziesiątki pism wskazujących, że Nowa Huta ma szczególne znaczenie dla dziedzictwa kulturalnego i historii naszego kraju, tworzy spójny krajobraz kulturowy z wyjątkową architekturą. Nic nie skutkowało. Nadchodziły odpowiedzi, że we wniosku są braki, należy przesłać dodatkowe dokumenty. Tak przez kilkanaście lat.

Wszyscy wiedzieli, że prawdziwym powodem nierozpatrywania wniosku był strach, że pozytywna decyzja może zostać uznana przez Instytut Pamięci Narodowej za pochwałę systemu totalitarnego, co podlega karze. Cały czas ta dzielnica Krakowa była lansowana jako bastion opozycji, ruchów antykomunistycznych, walki o krzyż i o nowe kościoły. Jakże tam zabytki! Paskudny socrealizm rodem ze Związku Radzieckiego, komunistyczne budownictwo.

Zamazywanie tożsamości

Po 1989 r. zaczęła się bezmyślna, skandaliczna i zaplanowana przez

NOWA HUTA – wraca socrealizm

Po 13 latach starań architektura z czasów PRL została uznana za pomnik historii



Osiedle Centrum C powstało w latach 1954-1958.

władze dewastacja nowohuckich budowli, niszczone attyki na dachach, płaskorzeźby na elewacjach, ozdobne kraty w bramach, gipsowe plafony w lokalach użytkowych.

Pomniki Lenina czy Świerczewskiego zastąpiono nowymi. Jan Paweł II ma w Nowej Hucie już trzy pomniki – przed opactwem Cystersów w Mogile, przed kościołem Arka Pana i przed kościołem na osiedlu Tysiąclecia w Mistrzejowicach. Jerzy Popiełuszko jest na dwóch pomnikach – przed opactwem Cystersów w Mogile i przed kościołem na osiedlu Szklane Domy. Solidarność ma trzy pomniki, na placu Centralnym i dwa na osiedlu Szklane Domy – jeden 25-lecia Solidarności, a drugi poświęcony podziemnym drukarzom z okresu stanu wojennego.

Dwie najważniejsze arterie komunikacyjne przecinające całą

dzielnice to aleja Jana Pawła II i aleja Solidarności. Są też ulice Ignacego Mościckiego, Edwarda Rydza-Śmigłego, gen. Stanisława Maczka. Nie udało się tylko zmienić nazwy alei Przyjaźni na aleję Lecha i Marii Kaczyńskich, bo mieszkańcy wyszli w proteście na ulice. Żaden z tych patronów, łącznie z Lechem Kaczyńskim, nigdy nie był w Nowej Hucie. Nigdy też w Nowej Hucie nie był Ronald Reagan, a plac Centralny nazwano imieniem amerykańskiego prezydenta w podzięce za milion dolarów, które w 1988 r. przesłał strajkującym robotnikom w Hucie im. Lenina. Wystarczy zapytać sprzedawczynię obwarzanków, jak reagują ludzie na widok tablicy z nazwą placu – rechoczą i nie ma to nic wspólnego z oceną byłego prezydenta USA, śmiesz ich uczczenie go w tym miejscu.

Z każdym rokiem do Nowej Huty przyjeżdża coraz więcej zagranicznych turystów, których nie interesują pomniki Solidarności, Jana Pawła II, Jerzego Popiełuszki, wielkie kościoły ani miejsca, w których opozycjoniści walczyli z milicją. Oni chcą oglądać pamiątki po socjalizmie, po czasach PRL, podziwiać socrealistyczną architekturę, zobaczyć, jak miało wyglądać idealne miasto.

Zainteresowanie Japończyków, Chińczyków czy Amerykanów zauważyli właściciele agencji turystycznych. Cudzoziemcy cieszą się z przejażdżki trabantem, bo nigdy czymś takim nie jeździli, chętnie wizytują pokazowe nowohuckie mieszkania z czasów PRL z meblami, kilimami na ścianach, ze smakiem jedzą schabowe z ziemniakami i kapustą w restauracji Stylowa, bo słyszą, że tak dawniej jedli robotnicy, zachwycają się smakiem pierogów ruskich w barze mlecznym Centralny, bo przewodnicy im mówią, że te pierogi są tu lepiące nieprzerwanie od 1956 r., według tej samej receptury. I socrealistycznymi budowlami, inspirowanymi często renesansowymi pałacami, z attykami, zdobieniami na elewacjach, kolumnami, marmurami i podcieniami. Dla nich to niezwykle interesujące miejsce, w którym mogą poczuć ducha socjalizmu. Przy czym nie są zwolennikami komunizmu, ale nie chcą słuchać o obaleniu dawnego ustroju, o strajkach, zadytach na ulicach, walkach z ZOMO, procesjach.

Polski projekt

Nowa Huta nie była żadną córką Magnitogorska, jak rozpowiadają przeciwnicy socrealistycznej architektury. Prof. Stanisław Juchnowicz, który zmarł w 2020 r. w wieku 96 lat, pół roku przed śmiercią błagał, abym napisał, że „to nie żadne sowieckie miasto”. Ani jeden nowohucki budynek mieszkalny czy użyteczności publicznej nie jest kopią czegoś z Magnitogorska. Pierwsze polskie idealne miasto było budowane w stylu socrealizmu, bo tak trzeba było projektować, ale te wszystkie attyki i detale architektoniczne były polskie, zaczerpnięte z budynków

Krakowa czy Zamościa. Można tylko zadać sobie pytanie, dlaczego władza ludowa chciała mieć budynki publiczne, takie jak nowohuckie kino Świt czy Światowid, w stylu renesansowych pałaców. Dzisiaj ten styl przyciąga turystów i zaciekawia znawców architektury.

Miasto zostało zaprojektowane przez przedwojennych architektów i urbanistów, absolwentów znanych polskich i zagranicznych uczelni. W zespole, którym kierował inż. Tadeusz Ptaszycki, byli żołnierze Armii Krajowej, warszawscy powstańcy. Spośród głównych projektantów, takich jak Bolesław Skrzybalski, Janusz Ingarden, Adam Fołtyn, Tadeusz Rembiesa, Janina Lenczewska, Tadeusz Janowski czy Andrzej Uniejewski, nikt nie był członkiem PZPR. Nie korzystali oni z radzieckich planów. Tadeusz Ptaszycki, choć często wiele spraw uzgadniał osobiście z Bolesławem Bierutem, również nigdy nie zapisał się do partii.

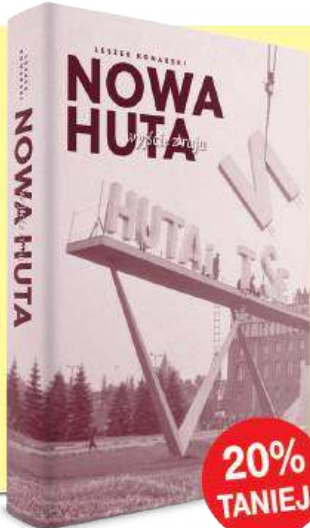
Z garbem przeszłości

Uznanie Nowej Huty za pomnik historii, choć nie ma tego w rządowym rozporządzeniu, jest też dowodem kunsztu budowniczych tego miasta, zwykłych murarzy, zbrojarzy, spawaczy, cieśli. Zbudowane przez nich domy mają się dobrze i przetrwają jeszcze sporo lat.

Pisząc książkę o Nowej Hucie, dużo rozmawiałem z tymi ludźmi w parku Ratuszowym, zwanym przez nich parkiem ZUS, bo gdy tylko

zaświeci słońce, siedzą tu na ławkach i skarżą się, że żyją z garbem socjalistycznej przeszłości. Choć pracowali całe życie bardzo ciężko, tracili zdrowie, dzisiaj nikt o nich nie pamięta. Traktowani są jako ludzie gorszego sortu, a medale dostają ci, którzy komunę obalili. To prawda, że część była członkami PZPR, ale domy budowali nie dla partii, lecz dla siebie. Chcieli szczęśliwie żyć i teraz niektórzy im to wypominają. A oni pracowali i wierzyli, że zbudują miasto wiecznej szczęśliwości, gdzie będzie równość i sprawiedliwość, każdy będzie miał własne mieszkanie i pracę, gdzie nie będzie podziału na biednych i bogatych. Nowa Huta nie była obozem pracy, każdy przyjeżdżał tu dobrowolnie, aby poprawić swoje warunki życiowe, wyjść z biedy. Ze zdziwieniem czytają teraz, że było im bardzo trudno, bo całymi kilometrami musieli chodzić do najbliższego kościoła, że grożono im zwolnieniem z pracy, gdy nie będą się uczyć czytania i pisanie, musieli strajkować, bo źle im płacono, zmuszano do chodzenia na 1-majowe pochody, byli pałowani przez milicję. Wmawia się im, że Nowa Huta to nieustanna walka i męczeństwo, a oni tak nie myśleli.

Uznanie Nowej Huty za pomnik historii to wielki sukces, umożliwienie prawnej ochrony dziedzictwa socjalistycznego i docenienie wysiłku nie tylko urbanistów i architektów, lecz również tych wszystkich, którzy to miasto własnymi rękami zbudowali. ■



Książka Leszka Konarskiego znalazła się wśród 15 finalistek GRAND PRESS – Książka Reporterska Roku 2020!

~~49 zł~~ 39 zł

Zamów książkę na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

20% TANIEJ



Ucieczka przed PiS

Emigracja wśród młodych wcale nie maleje. Przeciwnie, o wyjeździe myśli już 17% badanych

Kornel Wawrzyniak

– Cieszę się z każdego Polaka wracającego z emigracji zarobkowej za rządów PiS. Pierwszy raz od wielu lat mamy więcej wracających z zagranicy niż wyjeżdżających – stwierdził w 2021 r. Radosław Fogiel, poseł Prawa i Sprawiedliwości. Powiełał on niejako narrację uprawianą już w 2019 r. przez europosłankę z ramienia PiS Beatę Szydło, która również opowiadała o tym, że dzięki wspaniałym rządowi jej partii młodzi walą drzwiami i oknami do Polski. Czy politycy kłamali? Kultura osobista nakazywałaby raczej stwierdzić, że wykazali się zdolnością do umiejętnego przeinaczania statystycznych

faktów. Chociaż złośliwi mogliby orzec, że oboje nie wykazali się dostatecznym zrozumieniem dostępnych danych. Mija druga kadencja PiS u władzy i wbrew zapewnieniom polityków młodzi wcale nie wracają. Prawie co piąta osoba myśli dziś o emigracji, a większość z nich jest w wieku 25-34 lata.

Manipulacje danymi

Wróćmy na moment do wypowiedzi Radosława Fogla. Jego stwierdzenie łatwo obalić, ponieważ nikt nie ma instrumentów do monitorowania powrotów i wyjazdów z Polski. Nie było więc jak zebrać tego rodzaju danych. Dodatkowo nikt nie zna właściwych powodów, dla których

emigranci wracają do Polski. Tak na zdrowy rozum nikt ich przecież nie pyta o to przy przekraczaniu granicy. Według Biura Analiz Sejmowych najczęstszymi powodami powrotów są tęsknota za rodziną, która została w kraju, i zakończenie umowy o pracę za granicą. W tym drugim wypadku powroty do domu są najczęściej krótkotrwałe, póki nie podpisze się nowego kontraktu.

Wypowiedź Beaty Szydło miała bardziej specyficzny kontekst. Padła w lutym 2019 r., podczas konwencji programowej partii, czyli przed wyborami parlamentarnymi. – Przypomnijcie sobie państwo, jaki to był czas. Nie było pracy, szczególnie młodzi ludzie mieli problemy, stopa bezrobocia w tej grupie wiekowej to było ponad 20% i ci młodzi ludzie wyjeżdżali, najczęściej za granicę – mówiła była premier o sytuacji młodych na rynku pracy, sugerując, że rządy poprzedników doprowadziły do stanu, który PiS w mijającej kadencji naprostowało. Można śmiało stwierdzić, że była to manipulacja. Dane zebrane przez GUS, w 2019 r. już dostępne, potwierdzały, że w latach 2015-2018 liczba osób, które przebywały za granicą na tzw. pobyt czasowy, czyli spędzały w innym kraju ponad dwa miesiące, cały czas rosła. Analiza kolejnych informacji zebranych przez GUS pokazuje, że tendencja wzrostowa emigracji, która zaczęła się tuż po wejściu Polski do Unii Europejskiej w 2004 r., nie wyhamowała. Mielismy wtedy pierwszą falę emigracji zarobkowych dzięki przyłączeniu do strefy Schengen – 19 lat temu z Polski za chlebem wyjechało 1 mln Polek i Polaków. Zarobki to zresztą cały czas główny powód emigrowania.

W roku 2015, kiedy PiS wróciło do władzy, liczba emigrantów wynosiła prawie 2,4 mln. Oczywiście można, tak jak przedstawiciele obozu rządzącego, twierdzić, że potrzeba było kilku lat, aby posprzątać bałagan po poprzednikach, jednak liczba wyjeżdżających rosła przez kolejne lata rządów Prawa i Sprawiedliwości. Z raportu GUS „Informacja o rozmiarach i kierunkach czasowej emigracji z Polski w latach 2004-2017” wynika, że rząd PiS nie wyhamował w żaden

sposób trendu migracyjnego. Czysto statystycznie rzecz ujmując: w 2016 r. poza granicami kraju przebywało 2,51 mln osób, w 2017 r. 2,54 mln i dopiero w 2018 r. liczba emigrantów się zmniejszyła, bo wynosiła 2,45 mln. Tylko że różnica 100 tys. osób to za mało, aby mówić o tendencjach spadkowych. Następną zmienną, którą trzeba uwzględnić, jest to, że w 2021 r. mieliśmy wiele restrykcji związanych z podróżami i przemieszczaniem się po Europie, wynikających z pandemii COVID-19.

Młodzi emigranci

Firma Gi Group specjalizująca się w pośrednictwie pracy opublikowała w 2022 r. wnioski z badania „Migracje zarobkowe Polaków”, które jasno wskazują, że coraz więcej młodych Polek i Polaków myśli o emigracji zarobkowej – aż 17,8% osób niewykluczonych z rynku pracy, które ukończyły 18 lat, myśli o wyjeździe w celu zarobienia pieniędzy w ciągu najbliższego roku. Co więcej, to właśnie młodzi stanowią największą grupę wśród potencjalnych emigrantów. 56% respondentów w grupie 18-44 lata rozważa wyjazd za pracę do innego państwa. Jak widać z danych zebranych przez Gi Group, kolejne lata rządów PiS wcale nie zachęcają młodych do pozostawiania w kraju. Odsetek rozważających emigrację zarobkową utrzymuje się od 2020 r. na stałym poziomie. I choć jeszcze w 2021 r. 81,2% respondentów twierdziło, że nie chce wyjeżdżać z Polski, rok później osób pewnych, że zostaną w kraju, było zauważalnie mniej, bo 67,6%.

Polski emigrant zarobkowy to już nie tylko pracownik fizyczny, ale też inwestor prowadzący własny start-up albo inżynier.

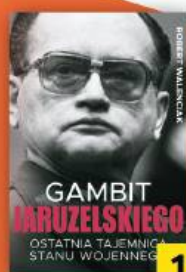
Jak wspominaliśmy wyżej, to pieniądze i lepszy standard życia za granicą są głównym powodem emigracji. Statystyczny emigrant zarobkowy to mężczyzna w wieku 24-34 lata z wykształceniem podstawowym lub zawodowym, który najczęściej pracuje w sektorze usług. Taka osoba pochodzi ze wsi na wschodzie Polski, a sytuacja finansowa w jej gospodarstwie domowym utrzymuje się na średnim poziomie. Najczęstszym kierunkiem emigracji Polaków są kraje europejskie. I nawet jeśli TVP uporczywie chce nam udowodnić w kolejnych wydaniach „Wiadomości”, że Niemcy zazdroszczą nam wszystkiego, ten właśnie kraj jest pierwszym wyborem dla emigrantów zarobkowych – chęć wyjechania tam deklaruje co trzeci potencjalny emigrant. Na drugim miejscu jest Holandia, a na trzecim Wielka Brytania. Według Narodowego Banku Polskiego tylko w pierwszym kwartale 2020 r. emigranci przysłali swoim bliskim ok. 4 mld zł.

ZABIERZ E-BOOKI NA FERIE!

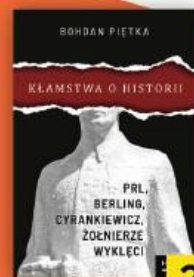
TOP E-BOOKÓW PRZEGLĄDU 2022

Prezentujemy 10 e-booków, które najchętniej kupowaliście w 2022 r. w naszym sklepie. Jeśli któregoś jeszcze nie macie w kolekcji, zapraszamy do zakupu.

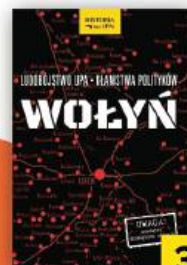
**DO WYBORU AŻ 40 TYTUŁÓW,
WSZYSTKIE ZA 9,90 ZŁ!**



1



2



3



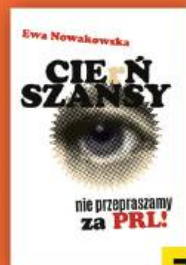
4



5



6



7



8



9



10

sklep.tygodnikprzeglad.pl

► Pandemia COVID-19 zmieniła rynek pracy. Dlatego warto wspomnieć o emigrantach, którzy zarabiają w Polsce, ale dzięki możliwości pracy zdalnej wyprowadzają się do takich krajów jak Grecja czy Hiszpania, bo nie chcą mieszkać w ojczyźnie, chociażby ze względu na pogodę lub sytuację polityczną. Jest to oczywiście wąska grupa osób, której nie można nazwać emigrantami zarobkowymi, ponieważ zdalnie pracują w Polsce. – Młodzi szukają miejsc,

ma również klimat, jaki PiS stworzyło wokół zarobków w ochronie zdrowia. Partia rządząca wszczyniała nagonkę na medyków, próbując zredukować postulaty Białego Miasteczka 2.0 do finansów i opowiadając o 60-80 tys. zł zarabianych w miesiąc. Minister Niedzielski podczas pandemii zaproponował zresztą lekarzom całe 19 zł podwyżki brutto, czym i tak przebił swojego poprzednika, Łukasza Szumowskiego, który lekarzom klaskał. A w takich krajach

którą ktoś podpalił. Osoba obok rzuciła się do ucieczki, a jakiś facet krzyknął za nią: Tak, uciekaj, inaczej cię zabiję! – relacjonował Bazyli, uczestnik sławetnego Marszu Równości w Białymstoku.

Przemocy systemowej wobec osób LGBT doświadczyli przede wszystkim uczestnicy tzw. tęczowej nocy w 2020 r. Policja spacyfikowała protest w obronie aktywistki Margot. 48 osób zostało zatrzymanych. Rok po protestach sądy rozstrzygnęły, że w prawie wszystkich przypadkach aresztowania były bezzasadne. Przyznano odszkodowania. Po feralnej nocy przez kilka miesięcy głośno było w mediach o fali emigrujących z Polski osób LGBT. Według badań stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza przedstawiciele środowiska LGBT stanowią w Polsce 5-10% społeczeństwa. To daje przynajmniej 2 mln obywateli.

Z kraju zaczną wreszcie uciekać także kobiety, które planują potomstwo i chcą urodzić zdrowe dzieci. PiS przy udziale fanatyków religijnych przeprowadziło zamach na prawa reprodukcyjne Polek. Wystarczyły dwa lata od wyroku Trybunału Konstytucyjnego mgr Przyłębskiej, aby się o tym przekonać. Według

Mamy najmniejszy odsetek lekarzy na pacjenta w Europie, a część z nich deklaruje, że chce wyjechać.

w których mają lepsze perspektywy na przyszłość, mogą podróżować i obcować z wieloma kulturami, nadal łącząc to wszystko z pracą. Coraz częściej wyjeżdżają dalej niż do krajów sąsiadujących z Polską – podkreśla Katarzyna Kilanowska z agencji pracy Konektia.

Wyjeżdżają również osoby z wyższym wykształceniem. Większość deklaruje, że woli pracować poniżej kompetencji, ale za lepsze niż w Polsce stawki. Liczy się też wyższy standard życia. W tej grupie duże znaczenie ma polityka socjalna państwa i poczucie stabilności w życiu, którego Polska zdaje się im nie dawać. Część osób ucieka przed Polskim Ładem, który bardzo skomplikował prowadzenie własnej firmy.

Polski emigrant zarobkowy to już nie tylko pracownik fizyczny, ale także inwestor prowadzący własny start-up, inżynier czy lekarz. Według danych z raportu „E-migracja. Polska diaspora technologiczna” dla specjalistów od nowych technologii motywacją do wyjazdu jest głównie inna kultura pracy – mniejszy stres i miejsce na życie prywatne. Słowem, inżynierowie uciekają przed polską „kulturą zapierdolu”.

Nowy powód do emigracji

Przedstawiciele zawodów medycznych też mówią dość. Nie chodzi tylko o nieumiejętne zarządzanie systemem ochrony zdrowia przez kolejne ekipy polityczne, wpływ

jak Austria czy Irlandia ściąganie wyspecjalizowanych imigrantów do pracy w ochronie zdrowia stanowi już jeden z głównych punktów polityki migracyjnej, bo brakuje im specjalistów. „Rynek Zdrowia” informował, że tylko w pierwszej połowie 2022 r. do Naczelnej Izby Lekarskiej wpłynęło 445 wniosków o wydanie zaświadczenia o postawie etycznej lekarza, które jest potrzebne do uznania kwalifikacji na terenie Unii Europejskiej. To niemal tyle samo, ile w całym 2021 r. (486 wniosków).

PiS przeprowadziło zamach na prawa reprodukcyjne Polek, z kraju zaczną więc uciekać kobiety, które planują potomstwo i chcą urodzić zdrowe dzieci.

Tymczasem mamy najmniejszy odsetek lekarzy na pacjenta w Europie (2,38 na 1 tys. pacjentów), a część z nich deklaruje, że chce wyjechać.

Rządy PiS oznaczają też dla wielu osób postawienie praw i swobód obywatelskich pod znakiem zapytania. A w takim kraju strach żyć. Nagonka na osoby LGBT trwa w najlepsze, bo to świetne narzędzie polityczne do zbierania głosów przed każdymi wyborami. W ostatnich latach w kraju przyjmowano kolejne uchwały o strefach wolnych od LGBT i zakazywano Marszów Równości. Jednocześnie nakręcano dzięki telewizji spiralę nienawiści. – Przede mną płonęła tęczowa flaga,

GUS w 2022 r. przyszło na świat najmniej dzieci od czasu II wojny światowej. Klimat wokół aborcji i badań prenatalnych stał się tak absurdalny, że ginekolodzy powołują się na klauzulę sumienia na zapas, żeby nie mieć kłopotów. Jeśli to się nie zmieni, wkrótce Polki, które będą mogły sobie na to pozwolić, wyemigrują i urodzą dzieci z innym już obywatelstwem. I być może te dzieci, kiedy dorosną, rzeczywiście podziękują PiS za to, że rodzice wyemigrowali do bardziej cywilizowanej części Europy.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

A to byli przebierańcy

Jak zostać księciem, hrabią albo generałem

Marek Czarkowski

Za mundurem panny sznurem – głosi przedwojenna maksyma. Obecne władze, i rządowe, i samorządowe, również z radością witają na trybunach i honorowych miejscach osoby w mundurach, obwieszane brzęczącymi orderami. Kłopot w tym, że nie zawsze odróżnią prawdziwego generała od przebierańcy.

Z galerią medali na piersi

W maju 2018 r. poseł Tomasz Rzymkowski, niegdyś Kukiz'15, obecnie Prawo i Sprawiedliwość, skierował do ministrów obrony narodowej oraz spraw wewnętrznych i administracji interpelację w sprawie używania przez członków organizacji społecznych mundurów wojskowych z dystynkcjami generalskimi i oficerskimi Wojska Polskiego. Z jego zapytań wynikało, że przedstawiciele co najmniej dwóch legalnie działających stowarzyszeń pojawiają się w miejscach publicznych, podczas uroczystości patriotycznych, w – jak pisał Rzymkowski – „strojach przypominających mundury wojskowe z dystynkcjami generalskimi i oficerskimi Wojska Polskiego”. I są przez uczestników tych uroczystości, w tym przedstawicieli władz publicznych, uznawani za generałów oraz wyższych oficerów Wojska Polskiego, a w konsekwencji honorowani stosownie do podawanych przez nich stopni wojskowych, które de facto są wewnętrznymi stopniami organizacyjnymi.

Posel podał nazwy owych organizacji – to Bractwo Liderów oraz Stowarzyszenie WiN – Wolność i Niezawisłość Zrzeszenia Oficerów i Żołnierzy Oddziałów Partyzanckich pod Ostatnim Kryptonimem Polska Organizacja Postępowa Komenda



15 sierpnia 2018 r. na uroczystości z okazji Święta Wojska Polskiego Bolesław Wolanin, członek Stowarzyszenia Konfraterni Mazowieckiej Odznaki św. Floriana MAZOVIA, wręczył odznaczenie św. Floriana burmistrzowi Sanoka Tadeuszowi Piórze.

Główna lat 1945-1986. I domagał się podjęcia kroków przez kompetentne organy. Rzymkowski alarmował, że według sygnałów, które do niego dotarły, osoby zwracające uwagę na fakt, iż stopnie generalskie nie zostały przedstawicielom tych organizacji nadane przez prezydenta RP, spotkały się z poważnymi nieprzyjemnościami. Członkowie Bractwa Liderów kierowali doniesienia o popełnieniu przestępstwa zniesławienia do prokuratury i na policję oraz pisali skargi do pracodawców.

Można pomyśleć, że ta historia to żart, rodzaj niewinnego happeningu. Otóż nic bardziej mylnego. W naszym kraju wolno paradować po ulicach w dowolnym mundurze, z wyjątkiem współczesnych mundurów Wojska Polskiego i policji. Choćby w stroju generała NKWD lub Obergruppenführera SS. A jeśli

ktos zapyta, możemy powiedzieć, że kręcimy film albo należymy do grupy rekonstrukcyjnej. Dlatego obaj indagowani przez posła Rzymkowskiego ministrowie w uprzejmej formie posłali parlamentarzystę na drzewo. A problem pozostał.

Książąt i generałów ci u nas w bród

Rzeczpospolita szlachecka nie lubiła tytułów książęcych, a panowie bracia starannie pielęgowali mit o równości, zgodnie z maksymą „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”. Radziwiłłowie, Potoccy, Lubomirscy czy Zamojscy, jeśli posługiwali się tytułami książęcymi lub hrabiowskimi, to były one kupowane lub darowane, zazwyczaj przez urzędujących w Wiedniu Habsburgów. Legalnie tytułem książęcym mogli się ▶

► posługiwać Czartoryscy, gdyż wywodził swój ród od wielkiego księcia litewskiego Gedymina.

Za to nasi przodkowie wysoko cenili urzędy. Stąd w narodowej literaturze mnogość takich postaci jak sędzia Soplica, stolnik Horeszko, Wojski, Podstolina czy chorąży orszański Andrzej Kmicic lub pułkownik Michał Wołodyjowski. Dwie funkcje publiczne: wojewody i starosty, przetrwały do dziś od XV w.

Po roku 1989 wśród niektórych Polaków pojawiło się zapotrzebowanie na tytuły szlacheckie. Łukę postanowił wypełnić lider Polskiego Ruchu Monarchistycznego – Jego Królewska Wysokość Leszek Antoni Wielki Książę Wierchowski, z Łaski Boga i Woli Narodu Regent Polski i Polskiego Ruchu Monarchistycznego, Wielki Książę Ukrainy-Rusi, Książę Imperium Rosji, Emir Tatałów, Kawaler Orderu Regencji na Wielkiej Wstędze z Gwiazdą, Wielki Mistrz Zakonu Rycerzy Polskiej Korony, Wielki Mistrz Kapituły Orderu św. Stanisława etc. etc*. Książę Wierchowski jest także właścicielem wydawnictwa i literatem – autorem m.in. poetyckiego dramatu paradokumentalnego, współczesnej epopei „Millenium”, pięcioksięgu fraszek – zbiorów „Manifest erotyczny”, „Dziwne stany świadomości”, „Imionnik zakochanych”, „Erotyczne

Ryszard Murza Murat herbu Murat. W składzie kapituły głównej zasiada m.in. trzech generałów Bractwa Liderów. Wśród nich szczególną uwagę zwracają profesor Międzynarodowej Akademii Nauk w San Marino gen. bryg. BL prof. zw. dr hab. inż. Jerzy Lechowski herbu Szczęście oraz wiceadmirał BL Ryszard Woliński, który swój tytuł, wraz z prawem noszenia munduru, otrzymał w maju 2020 r.

Wielki Mistrz Bractwa Liderów ma prawo nadawania dziedzicznych tytułów, w tym księcia, margrabiego, hrabiego, wicehrabiego i barona.

Na stronie internetowej bractwo informuje, że posiada aż 107 komandorii (czyli oddziałów), nie tylko w Polsce, ale też w Wietnamie, Wielkiej Brytanii, Szwecji, a nawet Kongo! Na czele 17 stoją generałowie. Tatarsko-polską komandorią dowodzi gen. bryg. BL Jerzy Dźirdzis Murza Książę Szahuniewicz herbu Akszak. Komandorią polsko-turecką – gen. bryg. BL Arda Książę Yurdatapan herbu Kotromanić. Pierwszą afrykańską komandorią – Bulela Tony Kamanga (Kongo Kinsza). A pierwszą komandorią skierniewicką – kontradmirał BL Bogdan Hrabia Puczyński herbu Puc. Jak stanowi art. 30 statutu Bractwa Liderów,

Za pośrednictwem internetu bractwo sprzedaje metalowe znaczki, herby, fotoalbumy z uroczystości patriotycznych, szable oficerskie wzór 1921/22 czy książkę autorstwa ppłk dr Antoniny Danuty Hrabiny Komorowskiej herbu Korczak „Atak na głowę Państwa Polskiego, mający na celu poniżenie Narodu Polskiego” (ISBN: 978-83-954983-0-5). Na 32 stronach hrabina Komorowska

dowodzi, że osoba o żydowskim pochodzeniu rozpowszechniała w sieci „brednie o tym, jakoby Prezydent RP Bronisław Komorowski nie jest prawdziwym Komorowskim, lecz Szczynukowiczem i powinien używać nazwiska Szczynukowicz ewentualnie Komorowski vel Szczynukowicz”. „Według tych bredni – pisze pani ppłk dr Antonina Danuta Komorowska – w 1920 r. bolszewicy mieli zamordować prawdziwego Komorowskiego, zaś jeden z nich o nazwisku Szczynukowicz (rzekomy dziadek Bronisława Komorowskiego) miał wejść w rolę syna zamordowanego i przejąć jego nazwisko, majątek i rodzinę”.

Art. 36 pkt 3 statutu Bractwa Liderów mówi, że „nazwy i oznaczenia stopni organizacyjnych Bractwa wzorowane są na historycznych stopniach obowiązujących w Wojsku Polskim w okresie 1918-1939”. A ponieważ statut został zatwierdzony, paradowanie w trakcie imprez patriotycznych w generalskich mundurach organizacyjnych ze Złotym Krzyżem Zasługi dla Kawalerów Orderu Wojennego VIRTUTI MILITARI oraz Złotym Krzyżem Zasługi dla Kawalerów Orderu Wojennego KRZYŻ GRUNWALDU na piersi jest jak najbardziej legalne. Poseł Rzymkowski w jednej z interpelacji wspomina, że przedstawiciele Bractwa Liderów brali udział w uroczystościach odbywających się np. w województwie lubelskim w Konopnicy, Bełżycach, Łaziskach, Wąwolnicy, Kazimierzu Dolnym, Lublinie i Radzynie Podlaskim.

Zasłużeni członkowie Polskiego Ruchu Monarchistycznego mogli otrzymać Order Regencji na Wielkiej Wstędze z Gwiazdą czy Złoty Krzyż im. Leszka W. Ks. Wierchowskiego.

przymiarki”, „Sztuka pieszczot”. Bez powodzenia starał się o fotel prezydenta i senatora. Zasłużeni członkowie ruchu otrzymywali z jego rąk tytuły hrabiów i baronów oraz order, takie jak Order Regencji na Wielkiej Wstędze z Gwiazdą, Order Króla Bolesława Chrobrego czy Złoty Krzyż im. Leszka W. Ks. Wierchowskiego.

O wiele dalej poszło wspomniane przez posła Rzymkowskiego Bractwo Liderów – szlacheckie stowarzyszenie o charakterze patriotycznym i międzynarodowym. Na jego czele stoi Wielki Mistrz Bractwa, Generał Dywizji Bractwa Liderów

Wielki Mistrz ma prawo nadawania dziedzicznych tytułów, w tym księcia, margrabiego, hrabiego, wicehrabiego i barona.

Niedopatrzaniem byłoby nie wspomnieć o odznaczeniach organizacyjnych Bractwa Liderów. Znajdujemy wśród nich Złoty Krzyż Zasługi dla Kawalerów Orderu Wojennego VIRTUTI MILITARI, Złoty Krzyż Zasługi dla Kawalerów Orderu Wojennego KRZYŻ GRUNWALDU, Kresy Wschodnie w ogniu: Krzyż Pamięci Ofiar Banderowskiego Ludobójstwa, a nawet Krzyż z częścią obudowy grobu bł. ks. Jerzego Popiełuszki.

W efekcie konia z rzędem temu, kto odpowie na pytanie, ilu mamy w kraju generałów, wiceadmiratów, książąt, hrabiów i baronów. Zdumienie budzi milczenie różnych towarzystw heraldycznych i genealogicznych, które obojętnie przyglądają się tej produkcji nowej szlachty.

Być może przywykły do tego, że co jakiś czas wkraczają na scenę takie postacie jak Karin Sobieski zu Schwarzenberg – Księżna, Pretendentka do Tronu Polskiego, Suweren Arystokratycznego Zakonu Rycerstwa Złotego Graala, która uważa się za potomkinię króla Jana III Sobieskiego.

Bryczesy i oficerki

W Polsce nie brakuje stowarzyszeń nawiązujących do organizacji działających przed II wojną światową lub po niej. Jedno z nich to wspomniane w interpelacjach posła Rzymkowskiego Stowarzyszenie WiN – Wolność i Niezawisłość Zrzeszenia Oficerów i Żołnierzy Oddziałów Partyzanckich pod Ostatnim Kryptonimem Polska Organizacja Postępowa Komenda Główna. Znalazłem w sieci informację o skierowanej w 2020 r. do Zarządu Województwa Śląskiego ofercie realizacji zadania publicznego, czyli imprezy patriotycznej pod nazwą Tropem Wilczym. Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych Gliwice 2020. Dokument podpisał Zastępca Komendanta WiN Inspektorat Śląski ppor. Tomasz Piasecki wraz z Elżbietą Kogowską-Piasecką, koordynatorką Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym”. Starano się o skromniutkie dofinansowanie w wysokości 5 tys. zł.

O ile o ppor. Piaseckim niewiele wiadomo, o tyle Elżbieta Kogowska-Piasecka jest lokalnym śląskim politykiem. Na jej koncie na Facebooku znajdziemy wiele zdjęć z politykami Prawa i Sprawiedliwości, nawet z premierem Mateuszem Morawieckim. Dotacja w wysokości 5 tys. zł to malutka kropelka, niegodna wspomnienia, zwłaszcza na tle ostatnich dotacji rozdawanych przez ministra Czarnka.

Co innego organizacje patriotyczne i niepodległościowe, mające

charakter zwarty, zorganizowany i umundurowany. Robert Bąkiewicz jeszcze nie przebrał Straży Narodowej w czarne koszule, bryczesy i oficerki, ale można powiedzieć o niej, że stanowi zwartą grupę. Dlatego może liczyć na daleko idącą i wymierną przychylność władz.

Jednak ta zasada nie obejmuje wszystkich umundurowanych narodowców. Jednym z wyjątków jest aktor Wojciech Olszański vel Aleksander Jabłonowski „Jaszczur”. To lider najbardziej radykalnej prawicowej organizacji Kamracto Rodaków. Jego znakiem rozpoznawczym stał się stylizowany na przedwojenny mundur kawalerzysty. W wysokich oficerkach, bryczesach, z furażerką na głowie, „Jaszczur” wdarł się przebojem na ultraprawicową internetową podlasko-lubelską scenę narodową. Jeśli w przeszłości w Telewizji Trwam śpiewał hymny na cześć ojca dyrektora:

*Miejmy nadzieję, nie tę lichą marną
Co rdzeń spróchniały w wątlą kwiat ubiera
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera
Lecz tę niezłomną co czyni porusza.
Jak święte dzieło ojca Tadeusza*

to dziś prezentuje się jako antyklerykał, nacjonalista i sympatyk Putina.

Większość narodowców uważa go za postać, która szkodzi ich ruchowi. 1 listopada 2022 r. Olszański został zatrzymany do odbycia kary pół roku więzienia za nawoływanie do zabójstwa.

W mediach pojawiły się głosy, że być może w ten sposób zostanie powstrzymany błyskawiczny wzrost liczby członków i sympatyków ruchu kamrackiego. Prawicowi politycy poważnie obawiają się, że jeśli Kamraci z umundurowanym Olszańskim vel Jabłonowskim wystartowaliby w tegorocznych wyborach, mogliby odebrać im sporo głosów.

Być może czas zrobić porządek z miłośnikami wszelkich uzurpacji i wzorem Waleriana Nekandy Trepki, autora *Liber generationis plebeorum* z lat 1626-1639 (Księgi rodów plebejuszy), popularnie nazywanej *Liber Chamorum* (Księgą chamów), opublikować wykaz „szlachty” pieczętującej się tak egzotycznymi herbami jak Miśta, Nguyen czy Chałupka. Do tego spis generałów, admirałów, kontradmirałów, pułkowników itp.

Marek Czarkowski

* W nazwach tytułów, odznaczeń itp. pisownia oryginalna.

Pomóż swoim mediom!



STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ



prosi o wsparcie i pomoc dla naszych seniorów.

Aby wesprzeć działalność naszej organizacji poprzez przekazanie na konto SDRP 1,5% podatku dochodowego - należy wpisać w PIT-36 lub PIT-37 w sekcji „wniosek o przekazanie 1,5% podatku na rzecz Organizacji Pożytku Publicznego” następujące dane:

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Zarząd Główny - NR KRS: 0000043110

Za każdy gest dobrej woli serdecznie dziękujemy.

Marcin Ogdowski

W najnowszym amerykańskim pakiecie pomocy wojskowej dla Ukrainy – o wartości ponad 2 mld dol. – znajduje się amunicja GLSDB. To nic innego jak lotnicze bomby, wyposażone w silniki rakietowe i nawigację satelitarną, dostosowane do wyrzeliwania z naziemnych wyrzutni HIMARS. Pociski GLSDB przenoszą 93-kilogramowe głowice odtłumkowo-burzące i są piekielnie precyzyjne – odchylenie od celu wynosi maksymalnie metr. Nad stosowaną dotychczas przez Ukraińców amunicją do himarsów mają zasadniczą przewagę – ich zasięg wynosi nie 80, ale 150 km.

Himarsy pojawiły się na ukraińskim froncie późną wiosną ub.r. i w kilka tygodni poturbowały rosyjską logistykę, co zmusiło agresorów do cofnięcia zaplecza na odległość 100 km. To z kolei przełożyło się na narastającą niewydolność zaopatrzenia, co było jednym z ważniejszych powodów jesiennej serii rosyjskich klęsk. Ponieważ pociski GLSDB polecą dalej, Rosjanie stają przed widmem kompletnego paraliżu logistyki.

W ciągu ostatnich 13 miesięcy ze służby odeszło ponad 13 tys. żołnierzy – ekwiwalent dywizji! Trzy razy więcej, niż wynosi średnia za taki okres z minionych lat.

Moskwa przeklina więc Waszyngton, a jej propagandyści pluja sobie w brodę, bo poświęcili mnóstwo czasu na ostrzeżenie Zachodu przed wysyłaniem samolotów bojowych do Ukrainy. USA niespecjalnie groźbami się przejęły, ale myśliwców na razie Ukraińcom odmawiają. Ślą za to, niejako w zastępstwie, amunicją GLSDB, która wykona większość zadań przewidzianych dla lotnictwa. I robi to znacznie taniej, bez względu na warunki pogodowe, bez ryzyka utraty wartego majątek samolotu i cennego pilota.

To nie jest worek bez dna

Gdy patrzymy z boku, zachodnia pomoc wydaje się spóźniona, niedostateczna i chaotyczna. Trudno

Cena pomocy

Wojna w Ukrainie wprost przekłada się na potencjał bojowy Wojska Polskiego

zaprzeczyć, że donatorzy zawalili sprawę, jeśli idzie o terminarz dostaw. Gdyby to, co trafiło do Ukrainy przez ostatnie 11 miesięcy, znalazło się tam przed 24 lutego ub.r., Rosjanie ponieśliby dotkliwsze straty, a ich zdobycze byłyby mniejsze. I wojna mogłaby już się zakończyć. A kto wie, może w ogóle by nie wybuchła. No ale teraz to już jałowe gdybanie. Zachodni przywódcy musieli najpierw przekonać się o woli oporu Ukraińców, siłę ukraińskich wojsk i słabościach armii Putina. Zmierzyć się z wyzwaniem pacyfizmu i egoizmów własnych społeczeństw. „Pożenić” chęć pomocy z możliwościami budżetów i przemysłu. Zanim zostało uruchomione większe wsparcie, szacowano też opłacalność wojny

liczbę maszyn. Jakość zachodniej broni – znacznie wyższa od rosyjskich i radzieckich odpowiedników – poza windowaniem ceny sprawia, że sprzętu jest relatywnie mało, a proces produkcyjny skomplikowany i długi. Tymczasem worek z kasą przeznaczoną na pomoc dla Ukrainy nie jest bez dna. W przypadku USA – największego darczyńcy – mówimy o 45 mld dol. na bieżący rok fiskalny. Trudno powiedzieć, jak duża będzie to suma w przyszłym roku, a decyzje w istotnej mierze zależą od postaw podatników/wyborców. Dowództwo ukraińskich sił powietrznych szacuje potrzeby sprzętowe na 200 maszyn klasy F-16. Taka pomoc pochłonęłaby 20 mld dol., a mowa o samych „efach” z pakietem uzbrojenia na kilka misji. Gdzie reszta armii i jej potrzeby? Co z czołgami, które wprawdzie są dziesięć razy tańsze, ale potrzeba ich od trzech do pięciu razy więcej niż samolotów? Co z artylerią, amunicją strzelecką, paliwem, wyposażeniem indywidualnym żołnierzy?

Kilkadziesiąt niemieckich leopardów czy amerykańskich abramsów nie zmieni sytuacji na froncie, pozwoli co najwyżej na lokalne sukcesy. Istotne wzmocnienie to 100 czy 200 czołgów. Z takim komponentem można poprowadzić operację ofensywną o wymiarze regionalnym (jak wrześniowy kontratak w Charkowszczyźnie). Ale dopiero 400-500 czołgów tej klasy pozwoli Ukraińcom na zadanie siłom inwazyjnym potencjalnie nokautującego ciosu. Przy czym 400-500 maszyn w linii oznacza wielokrotnione dostawy, sprzęt bowiem się zużywa, psuje, jest niszczone.

Wojenne ekosystemy

Jest jeszcze jedno ważne ale. Najeżdźcy, mimo imponujących

z Rosją (w szczególności dotyczyło to Niemców). Ale nad wielkością i efektywnością wsparcia czuwal wojskowi. Eksperti, którzy w ramach warunków wyznaczanych przez polityków dbali i wciąż dbają, by kolejne pakiety jak najbardziej odpowiadały potrzebom i możliwościom ukraińskiej armii.

Zaczął się od posyłania wyrzutni przeciwpancernych, dziś na tapecie są zachodnie czołgi. Proukraińska większość opinii publicznej coraz mocniej naciska na przekazanie samolotów. To tyleż racjonalne, co ignorujące twarde uwarunkowania ekonomiczne i logistyczne. Nie istnieje bowiem „sklep z F-16” (ani innym wojskowym sprzętem), w którym na szybko i po dobrej cenie można zamówić dowolną

wojennych doświadczeń, nie radzą sobie ze współpracą różnych rodzajów wojsk. O ile rosyjska artyleria potrafi działać w sposób w miarę skoordynowany z piechotą (zmechanizowaną), o tyle zgrywanie działań lądowych i lotniczych kompletnie leży. Rosyjskiego lotnictwa frontowego w zasadzie nie ma, i to od początku inwazji, piechurzy nie mogą zatem spoglądać w górę z przekonaniem, że „lotcziki” wywalczyły bezpieczne niebo. Kolejne szturmowe nie są

Cóż, jedni poszli, drudzy nie – na linii frontu (tam, gdzie działania nie mają statycznego charakteru) nadal raczej standardem niż wyjątkiem są czołgi operujące przy niedostatecznym wsparciu wozów bojowych i piechoty.

Koordinacja działań, uzyskanie maksymalnego efektu synergii to podstawa zachodniej sztuki wojennej. Tak szkoli się ludzi, tak projektuje i wykorzystuje broń. Tworzenie wojennych ekosystemów to proces

leopardy w towarzystwie wozów bojowych Marder i Abramsy w parze z Bradleyami (amerykańską odmianą bojowych wozów piechoty). Operujące w terenie przygotowanym przez dalekonośną artylerię lufową (np. nasze kraby) i raketową (himarsy), a także przez lotnictwo i jego precyzyjne uderzenia w cele stanowiące zagrożenie. To wszystko spięte w sieć, wymieniające dane w czasie rzeczywistym, dałoby Ukraincom miażdżącą przewagę jakościową.

Dowództwo ukraińskich sił powietrznych szacuje potrzeby sprzętowe na 200 maszyn klasy F-16. Taka pomoc pochłonęłaby 20 mld dol.



poprzedzane precyzyjnymi uderzeniami samolotów i śmigłowców – ataki z za linii frontu, wyrzucanymi na oślep rakietami lecącymi następnie torem balistycznym, to z perspektywy taktyki lotniczej „śmiech na sali”. Dużo huk, mało efektów.

Równie nieefektywne są rosyjskie wojska pancerne – nawet najlepszy czołg, gdy pozbawiony jest osłony, staje się łatwym celem. Zdawać by się mogło, że po doświadczeniach z pierwszych tygodni wojny – kiedy Ukraińcy urządzali spektakularne polowania na wrogie tanki – Rosjanie poszli po rozum do głowy.

coraz bardziej efektywny. Niegdyś ułomne, bo oparte na zawodnej łączności radiowej, dziś – za sprawą satelitów i internetu – pozwalają na bieżącą wymianę danych między poszczególnymi komponentami, z połączonymi z jakością wykonania broni, jej precyzją i kulturą techniczną użytkowników daje to zachodnim armiom przewagę nad przeciwnikiem.

Pojedynczy leopard czy Abrams zniszczy kilka rosyjskich czołgów, nim padnie ich ofiarą. Lepsza armata, amunicja i pancerz „zrobią robotę”. Ale większą robotę zrobią

Coś się szykuje

Zbudowanie takiego potencjału wymaga pieniędzy i czasu – zasobów, których wspierający Ukrainę ani ona sama nie mają w nadmiarze. Bo Rosjanie nie siedzą z założonymi rękoma. Ich artyleria strzela dziesięć razy mniej niż latem zeszłego roku – zapasy wyczerpane, armatnie lufy się zużyły. Lecz to nie jest cała prawda o przyczynach spadku dynamiki rosyjskich działań. Wynika on również z tego, że Moskwa przygotowuje się do kolejnej ofensywy. W tym celu chomikuje amunicję i inne niezbędne ▶

► rezerwy (co skądinąd dowodzi słabości i niewydolności rosyjskiej armii i przemysłu). Nie zamierzam wróżyć, skąd ta ofensywa wyjdzie i kiedy. Że jest nieuchronna i nieodległa, twierdzą nie tylko ukraińskie, ale i zachodnie służby specjalne oraz rzesze niezależnych analityków. Wtórąją im ukraińscy żołnierze, wśród których powszechne jest przekonanie, że „coś się szykuje”.

wyekwipowanie brygady zmechanizowanej. To kolejny hojny gest Polski, wpisujący się w politykę dozbrajania ukraińskiej armii, rozumianej jako inwestycja. Większość Polaków podziela opinię, że łamanie kręgosłupa siłom zbrojnym Rosji służy bezpieczeństwu Rzeczypospolitej.

Niemal równie powszechna jest niewiedza na temat kosztów tej inwestycji, ponoszonych przez Wojsko

kilku tysięcy godzin i uprawnieniami instruktora?

Uziemienie wyższych rangą oficerów lotnictwa to jeden z elementów dziwacznej polityki kadrowej w WP. Do tego typowe dla całych sił zbrojnych awanse biernych, miernych, ale wiernych, w wojskach lądowych tworzenie kolejnego związku taktycznego, gdy nie skończył się jeszcze proces formowania 18. Dywizji Zmechanizowanej, który i tak wydrenował kadry z innych jednostek. Przykłady można mnożyć, większość nie nadaje się do publicznej dyskusji.

Nie dość, że „nie ma komu robić”, to często nie ma czym. Przekazaliśmy Ukrainie większość zapasów amunicji artyleryjskiej, niemal pozbyliśmy się nowoczesnej artylerii samobieżnej i istotnej części obrony przeciwlotniczej. Wydaliliśmy ponad połowę sprawnych czołgów, których potencjał bojowy nie był za wysoki, lecz trzeba pamiętać, że wojsko musi się szkolić – choćby dla podtrzymania nawyków. My tymczasem funkcjonujemy w realiach, w których przekazana broń nie jest wymieniana w relacji 1:1 na nową.

Ta wymiana nastąpi, ale będzie rozłożona w czasie. I kosztowna, bo bierzemy zachodni, drogi sprzęt. I o ile świadomość wydatków jakoś funkcjonuje w społecznym obiegu, o tyle niewielu Polaków zdaje sobie sprawę, w jak licznych obszarach delegowaliśmy obowiązki obronne na sojuszników. Obronę przeciwlotniczą realizują w naszym imieniu Niemcy i Amerykanie. To stan przejściowy, na kilka lat, który – z uwzględnieniem wymogu niejawności pewnych spraw – musi być przedmiotem publicznej dyskusji. W jej ramach władze powinny zapewnić Polaków, że nic im nie grozi. Nie sloganami o „silnym, zwartym i gotowym” wojsku – bo to kłamstwo – ale podkreślaniami wagi, trwałości i skali sojuszniczego wsparcia. Inaczej otworzy się przestrzeń dla grającej na egzystencjalnych lękach Polaków (pro)rosyjskiej narracji. Zwłaszcza tej zakamuflowanej, wspierającej Rosję nie otwarcie, lecz pod płaszczykiem troski o polskie sprawy.

Marcin Ogdowski

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Przekazaliśmy Ukrainie większość zapasów amunicji artyleryjskiej, niemal pozbyliśmy się nowoczesnej artylerii samobieżnej i istotnej części obrony przeciwlotniczej.

Dlatego nadal kluczowe znaczenie ma broń radzieckiej proweniencji – „na dziś” ukraińscy pancernicy więcej pożytku będą mieli z czeskich i polskich T-72/PT-91 niż z leopardów czy abramsów. Wprowadzenie do walki właśnie pozyskanych zachodnich wozów zajmie długie tygodnie, może miesiące, bo to sprzęt zupełnie inny od używanego dotąd przez Ukraińców. A sprawnych łuf obrotowych potrzebują na już. W styczniu rząd RP zapowiedział przekazanie (poza 14 leopardami) 60 poradzieckich czołgów, z których połowa to twarde, rodzima modernizacja T-72. W pakiecie znalazły się bojowe wozy piechoty i inny sprzęt pozwalający na

Polskie. Wojsko, które obecnie jest poważnie osłabione. Kondycja naszej armii to suma kilku procesów, które – chciał pech – zbiegły się w czasie: wsparcia dla Ukrainy, polityki MON, zmian kulturowych przekładających się na motywację żołnierzy.

Zacznę od tych ostatnich. W armii coraz mniej się służy, wojsko stało się zakładem pracy, poddanym regułom rynkowej atrakcyjności. Jeśli suma profitów nie współgra z wysiłkiem włożonym w ich pozyskanie/utrzymanie – wojskowi przedwcześnie zdejmują mundur. Od 1 stycznia 2022 r. do końca stycznia br. ze służby odeszło ponad 13 tys. żołnierzy (ekwiwalent dywizji!) – trzy razy więcej, niż wynosi średnia za taki okres z minionych lat. MON chwali się wzrostem stanów osobowych, twierdząc, że w 2015 r. służyło zaledwie 95 tys. wojskowych, a dziś ponad 160 tys., ale porównuje nieporównywalne, do tych 160 tys. wlicza np. żołnierzy WOT. Co więcej, odchodzi najbardziej doświadczona kadra, której zastąpienie to długoletni proces. Minister Błaszczak szermuje argumentem, że w najbliższych miesiącach pozyskamy tysiące żołnierzy dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej, tylko co ma taki „szwej” do wojskowego pilota z nalotem

Z głębokim żalem żegnamy
naszego kolegę

Andrzeja Puzio

wiceprzewodniczącego Unii Pracy,
radnego miasta Wrocławia,
społecznika i człowieka oddanego ideom,
które reprezentował.

**Będzie nam Ciebie brakowało.
Cześć Twojej pamięci!**

Waldemar Witkowski, przewodniczący UP
Elżbieta Zakrzewska, przewodnicząca Rady Krajowej UP
Grzegorz Niski, sekretarz generalny UP



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Patokapitalizm

Czytam ostatnio dużo o tzw. patodeveloperce. Przepis na nią okazuje się prosty: buduj, gdzie chcesz i co chcesz, a potem miej w nosie państwo – i tak nic ci nie zrobi. Bądź bezczelny, bo bezczelność popłaca. Prawo jest dla frajerów. Dobro wspólne to fikcja, liczy się tylko szmal. Zastanawiam się, czy sprawa nie ma szerszego tła. Jest nim dzisiejszy kapitalizm jako taki. W moim przekonaniu ma on cechy patodeveloperki. Ta ostatnia jest jedynie jego najwyraźniejszym znakiem. I mam wrażenie, że patokapitalizm to nie tylko kapitalizm w polskim, peryferyjnym wydaniu. To cecha dzisiejszego kapitalizmu jako takiego. Jego istotą jest brak skrupułów. Bezwzględność. Brak poszanowania dla prawa. Oszukiwanie kogo się da. Traktowanie państwa jako głównego wroga. Postrzeganie wszelkich regulacji jako zamachu na wolność (słowo wytrych ostatnich dziesięcioleci).

Popatrzmy choćby na giełdę jako naczelną instytucję kapitalizmu. Kiedyś była ona odbiciem realnych procesów zachodzących w gospodarce. Dziś jest jedną wielką piramidą finansową, która rządzi się zasadą: kto pierwszy wyznaczy trend na tyle silny, aby poszli za nim inni, wygrywa. Reszta skazana jest na porażkę. W momencie, w którym kapitalizm industrialny zamienił się w kapitalizm spekulacyjny, giełda oderwała się od rzeczywistości. Kiedyś traktowano ją jako wskaźnik wartości poszczególnych przedsiębiorstw. Inwestowano w akcje z nadzieją na zyski po wielu latach. Teraz jest raczej kasynem. Inwestuje się na chwilę z nadzieją na szybkie zyski. Kupuje się akcje i zaraz je sprzedaje. Nikt rozsądny nie trzyma ich już latami. Większość operacji prowadzą komputery, a szybkość transakcji kupna czy sprzedaży decyduje o sukcesie. Dlatego próbuje się fizycznie umieścić owe komputery jak najbliżej giełdy, ponieważ czasami o sukcesie/porażce decydują dosłownie ułamki sekund. Giełdą rządzą wielkie fundusze. Wszystko to nie ma nic wspólnego z kapitalistycznym mitem giełdy, na której inwestują drobni inwestorzy, mający szansę wzbogacić się dzięki umiejętności oceny rzeczywistej wartości poszczególnych akcji, których wycena ściśle wiąże się z realną gospodarką. Dzisiaj stanowią oni raczej „mięso armatnie”, grono „jeleni”, bezlitośnie kiwanych przez wielkie fundusze naiwniaków, tkwiących myślami w świecie, którego już dawno nie ma. W ten sposób bogactwo płynie od biednych do bogatych, co jest zresztą generalną cechą patokapitalizmu. I stanowi dokładną odwrotność mitu o „skapywaniu bogactwa

z góry na dół”. To raczej gromadzenie go przez wysysanie z dołu do góry.

Także inny mit kapitalizmu leży w gruzach. Ten o przyprawie, który podnosi wszystkie łódki. Ilustruje on rozpowszechnione przekonanie, że w momencie ożywienia gospodarczego wszystkim się poprawia. Generalnie zatem wzrost jest dobry, bo jego pozytywne skutki dotyczą wszystkich. Czyżby? Doświadczenia ostatnich kilkunastu lat pokazują raczej, że owoce wzrostu są przechwytywane przez stosunkowo nielicznych. Reszta pozostaje tam, gdzie jest, albo wręcz traci. Słowem, wciąż bogacą się bogacze, średniacy nie zmieniają swojej pozycji, nawet się obsuwają, a najbiedniejsi jeszcze biednieją.

Czy zawsze tak było? Nie. Kapitalizm zorganizowany czy regulowany, który dominował w świecie Zachodu przez kilkadziesiąt lat po II wojnie światowej, prowadził do faktycznej poprawy losu szerokich kręgów społecznych. Wiązało się to ściśle z dominującym modelem społeczno-ekonomicznym, którego istotnym elementem było państwo opiekuńcze, a ważną rolę polityczną odgrywały

Kiedyś giełda była odbiciem realnych procesów zachodzących w gospodarce. Dziś jest jedną wielką piramidą finansową.

partie, wtedy jeszcze autentycznie, a nie jedynie z nazwy socjaldemokratyczne. Sytuacja znacznie się pogorszyła wraz z ekspansją ekonomicznej doktryny neoliberalizmu połączoną z objęciem rządów przez Ronalda Reagana w USA oraz Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii. Kapitalizm regulowany został zastąpiony przez kapitalizm „spuszczony ze smyczy” (dziki), państwo opiekuńcze przez państwo obojętne i bezlitosne. Szerokie przyzwolenie na uczynienie skuteczności jedynym kryterium sukcesu w życiu ekonomicznym i nie tylko zaowocowało swoistym nihilizmem moralnym. Puściły wszelkie hamulce.

Niestety, duży udział w tym fatalnym obrocie rzeczy miała zachodnia lewica, która całkowicie się pogubiła i ochoczo przystąpiła do demontażu państwa socjalnego oraz wprowadzania w życie ideałów neoliberalnych. Trzech modelowych dla tego podejścia polityków: Bill Clinton w USA, Tony Blair w Wielkiej Brytanii i Gerhard Schröder w Niemczech, zrobiło więcej dla neoliberalnej rewolty niż niejeden polityk klasycznie prawicowy. Dzisiejsza słabość lewicy jest z pewnością pochodną jej ówczesnej zdrady. A jak było w Polsce? Niech Szanowny Czytelnik sam sobie na to pytanie odpowie. ■

Jak uniknąć kolejnej wojny światowej?

Ukraina, po raz pierwszy we współczesnej historii, stała się głównym państwem Europy Środkowej

Henry Kissinger

Prezentowanie czytelnikom PRZEGŁADU sylwetki Henry'ego Kissingera byłoby impertynencją. Gościł on na tych łamach 10 października 2022 r. (nr 42/2022), udzielając interesującego wywiadu znanemu brytyjskiemu historykowi Andrew Robertowski.

Kissinger dwukrotnie ostatnimi czasy skupił na sobie uwagę światowych mediów. Za każdym razem przy okazji zdalnych wystąpień w Davos. Rok temu w odniesieniu do konfliktu w Ukrainie opowiadał się za powrotem do stanu sprzed 24 lutego 2022 r. Podtrzymywał też koncepcję Ukrainy jako państwa neutralnego. Obecnie odrzucił już pogląd o neutralizacji Ukrainy. Opowiada się za jej formalnym związaniem z NATO. Można zresztą się zastanawiać, czy de facto nie stała się ona już członkiem NATO.

17 grudnia 2022 r. ukazał się w „The Spectator” artykuł Kissingera nawołujący do obrania ścieżki dyplomatycznej w celu zakończenia obecnej wojny i uniknięcia niebezpieczeństwa rozpętania wojny światowej. Poniżej prezentujemy fragmenty tego tekstu.

(...) [W trakcie I wojny światowej] narody Europy, nie mając dostatecznej świadomości, jak dalece technologia spotęgowała siłę rażenia ich armii, przystąpiły do dzieła wzajemnego, bezprecedensowego niszczenia się. W sierpniu 1916 r., po dwóch latach wojny i milionach ofiar, strony walczące na froncie zachodnim (Wielka Brytania, Francja i Niemcy) zaczęły badać perspektywy zakończenia rzezi. Główni rywale na Wschodzie – Austria i Rosja – zaczęli myśleć podobnie. Ponieważ jednak

żaden kompromis nie mógł usprawiedliwić już poniesionych ofiar, a dodatkowo nikt nie chciał uchodzić za słabego, przywódcy wahali się, czy zainicjować formalny proces pokojowy. Poszukiwali w związku z tym amerykańskiej mediacji. Rozmowy sondujące, przeprowadzone przez osobistego wysłannika prezydenta Woodrowa Wilsona, płk. Edwarda House’a, dowiodły, że pokój oparty na zmodyfikowanym status quo był w zasięgu ręki. Jednak Wilson, choć skłonny do podjęcia mediacji, przeciągnął sprawę do zakończenia wyborów prezydenckich w listopadzie. Do tego czasu brytyjska ofensywa nad Sommą i niemiecka ofensywa pod Verdun przyniosły kolejne 2 mln ofiar. Mówiąc słowami zaczerpniętymi z książki Philipa Zelikowa (wydana w 2021 r. „The Road Less Traveled. The Secret Battle to End the Great War, 1916-1917”, Droga mniej uczęszczana. Sekretna batalia o zakończenie Wielkiej Wojny, 1916-1917 – przyp. P.K.), dyplomacja stała się drogą mniej uczęszczaną. Wielka Wojna trwała jeszcze dwa lata i pochłonęła kolejne miliony ofiar, nieodwracalnie naruszając ustaloną równowagę Europy. Niemcy i Rosja dostały się w szpony rewolucji, państwo austro-węgierskie zniknęło z mapy. Francja się wykrwawiła. Wielka Brytania, aby zwyciężyć, poświęciła znaczną część swojego młodego pokolenia i zasobów gospodarczych. Traktat wersalski, który zakończył wojnę, okazał się bardziej kruchy od struktury, którą zastąpił.

Czy dzisiejszy świat znalazł się w podobnym punkcie zwrotnym w związku z Ukrainą, jako że zima spowodowała wstrzymanie tam

operacji wojskowych na wielką skalę? Wielokrotnie wyrażałem poparcie dla sojusznicznych wysiłków militarnych w celu udaremnienia agresji Rosji na Ukrainę. Ale nadchodzi czas, aby wykorzystać strategiczne zmiany, które już zaszły, i zintegrować je z nową strukturą, pozwalającą osiągnąć pokój na drodze negocjacji. Ukraina po raz pierwszy we współczesnej historii stała się głównym państwem Europy Środkowej. Wspomagana przez sojuszników i inspirowana przez swojego prezydenta Wołodymyra Zełenskigo, stawiała czoła rosyjskim siłom konwencjonalnym, których cień krążył nad Europą od II wojny światowej. Jednocześnie system międzynarodowy – w tym Chiny – sprzeciwia się rosyjskim groźbom lub użyciu przez Rosję broni nuklearnej.

Wszystko to zakwestionowało pierwotne zastrzeżenia dotyczące członkostwa Ukrainy w NATO. Ukraina ma jedną z największych i najskuteczniejszych armii lądowych w Europie, wyposażoną przez Amerykę i jej sojuszników. Proces pokojowy powinien związać ją z NATO w takiej czy innej formie. Alternatywa w postaci neutralności kraju straciła sens, zwłaszcza po przystąpieniu do Sojuszu Finlandii i Szwecji (które formalnie jeszcze nie nastąpiło – przyp. P.K.). (...)

Jeśli przywrócenia przedwojennej (sprzed 24 lutego 2022 r. – przyp. P.K.) linii demarkacyjnej pomiędzy Ukrainą a Rosją nie da się osiągnąć na drodze walki lub negocjacji, można rozważyć odwołanie się do zasady samostanowienia. Referenda nadzorowane przez społeczność międzynarodową (...) mogłyby

zostać przeprowadzone na szczególnie podzielonych terytoriach, które na przestrzeni wieków wielokrotnie przechodziły z rąk do rąk. Cel procesu pokojowego byłby dwójaki: potwierdzenie wolności Ukrainy i zdefiniowanie nowej międzynarodowej struktury, zwłaszcza dla Europy Środkowej i Wschodniej. Miejsce w niej powinna znaleźć także Rosja. Według niektórych pożądane byłoby uczynienie jej bezsilną w wyniku tej

obejmujące 11 stref czasowych, w sporną próżnię. Jej konkurujące ze sobą narody mogłyby zdecydować się na rozstrzygnięcie sporów przemocą. Inne kraje mogłyby próbować siłowo dochodzić swoich roszczeń. Wszystkie te niebezpieczeństwa zostałyby spotęgowane przez obecność tysięcy ładunków atomowych, które czynią Rosję jedną z dwóch największych potęg nuklearnych na świecie.

się w zupełnie nowej dla siebie sytuacji. W jaki sposób przywódcy mogą sprawować kontrolę, kiedy to komputery zaczną formułować strategiczne zalecenia tak dalece, że będzie to ograniczać wpływ człowieka i stanowić dla niego zagrożenie? Jak może ostać się cywilizacja pośród takiego wiru sprzecznych informacji, punktów widzenia i niszczycielskich możliwości? Nie istnieje jeszcze żadna teoria objaśniająca ten nadchodzący świat (...). Przewyciężenie rozdźwięku między zaawansowaną technologią a strategiami kontrolowania jej, czy nawet zrozumienie w pełni jego implikacji, jest dziś równie

istotnym problemem jak zmiany klimatyczne, potrzebni są więc przywódcy znający zarówno technologię, jak i historię.

W dążeniu do pokoju i ładu w grę wchodzi dwa elementy, które czasami są traktowane jako sprzeczne. Z jednej strony zapewnienie bezpieczeństwa, a z drugiej wykazanie się zdolnością do pojednania. Jeśli nie uda nam się równocześnie jedno i drugie, nie urzeczywistnimy żadnego z nich. (...).

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

Ukraina ma jedną z największych i najsilniejszych armii lądowych w Europie, wyposażoną przez Amerykę i jej sojuszników.

wojny. Nie zgadzam się z takim stanowiskiem. Przy całej swojej skłonności do przemocy Rosja wносиła decydujący wkład w globalną równowagę przez ponad 500 lat. Nie należy umniejszać jej historycznej roli. Porażki militarne Rosji nie ograniczyły jej globalnych możliwości uderzenia nuklearnego, co pozwala jej na eskalowanie konfliktu w Ukrainie. Nawet jeśli możliwości te zostałyby osłabione, rozpad Rosji lub zniszczenie jej zdolności do prowadzenia polityki mogłyby zmienić jej terytorium,

Światowi przywódcy (...) powinni także zastanowić się nad wpływem na ten konflikt i na długofalową strategię rodzącej się zaawansowanej technologii i sztucznej inteligencji. Broń autonomiczna już istnieje, zdolna do definiowania, oceniania i namierzania wskazywanych przez nią samą zagrożeń, a tym samym do rozpoczęcia własnej wojny. Gdy dzieląca nas od tego linia zostanie przekroczona, high-tech stanie się standardową bronią, komputery głównymi wykonawcami strategii, a świat znajdzie

KSIAŻKI



Szalom! Judaika w zbiorach Muzeum Niepodległości w Warszawie
red. Tadeusz Skoczek
Warszawa 2022

Katalog towarzyszący tej wystawie w Muzeum Niepodległości w Warszawie prezentuje pamiątki, które łączą się z historią Żydów polskich, szczególnie w latach II wojny światowej. Przedstawiono tu eksponaty związane z gettem łódzkim, głównie banknoty i monety. A także medale upamiętniające powstanie w getcie warszawskim.

Piotr W. Fuglewicz
Cokoły przechodnie
Życiorysy z pogranicza
Sonia Draga, Katowice 2022

Ponad 20 portretów ludzi z górnośląskiego pogranicza, ukazanych na tle skomplikowanych i nierzadko tragicznych dziejów regionu. Autor, urodzony w Siemianowicach Śląskich, z wykształcenia informatyk,



z zamiłowaniem i potrzeby serca działacz społeczny, skupia się na tych mniej znanych życiorysach, na osobach już niesłusznie zapomnianych, takich jak Wilhelm Wagner, wybitny lekarz, twórca nowatorskiej techniki chirurgicznej, czy gliwiczanie Oscar Tropelwitz, któremu zawdzięczamy plastry samoprzylepne czy biały krem Nivea.



Aleksander Dziurzyński
Kamienie
Poznań 2022

„Intencją tego dziennika początkowo było ratowanie własnej pamięci. Z czasem zaczyna się w nim przewijać wątek obrony własnej, polskiej tożsamości wobec naporu niemieckiego i niemieckiego porządku moralnego”, pisze w przedmowie autor i dodaje, że „Kamienie” to jednak przede wszystkim fakty i refleksje nad rzeczywistością przyrodniczą, społeczną i polityczną w Polsce.

Odszkodowania: niekończąca się opowieść

San Francisco rozważy, czy wypłacić czarnoskórym mieszkańcom po 5 mln dol. rekompensaty za systemową dyskryminację

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Specjalna komisja, nazwana African American Reparations Advisory Committee, w skrócie AARAC (Komisja Doradcza ds. Odszkodowań dla Afroamerykanów), przez ponad dwa lata zbierała materiały i szykowała rekomendacje, które w połowie stycznia 2023 r. zostały przedstawione radzie miejskiej w San Francisco. Komisja przyjrzała się dokumentom dowodzącym, że w ciągu ostatnich 80 lat władze miasta uprawiały politykę dyskryminowania Afroamerykanów w niemal wszystkich sferach życia. Mimo ustaw antyrasistowskich i zakazu praktyk segregacyjnych „cicha segregacja” dokonywała się zwłaszcza poprzez regulację rynku wynajmu i kupna nieruchomości, tak by prowadziło to do tworzenia całkowicie czarnych dzielnic, dużo biedniejszych i celowo niedoinwestowanych. Aż do roku 2008 (sic!) praktykowano np. *redlining* (od zakreślania na czerwono na planach okolic ubogich i zamieszkałych przez mniejszości etniczne), polegający na tym, że agenci nieruchomości przedstawiali białym klientom pewne osiedla i ulice jako nieatrakcyjne. Był to jednocześnie sygnał, że decydując się na taką nieruchomość, klient może nie dostać pożyczki gwarantowanej przez rząd. Afroamerykanie w San Francisco byli też systemowo wykluczani z partycypacji w szeroko pojętym życiu kulturalnym i politycznym. To dlatego, że reprezentacja czarnoskórych urzędników, komisarzy i radnych na

wszystkich szczeblach administracji pozostawała niedostateczna.

By kwalifikować się do jednorazowej wypłaty w wysokości 5 mln dol., a w wybranych przypadkach także do zniesienia długów, trzeba będzie udowodnić, że urodziło się w San Francisco bądź sprowadziło do miasta między 1940 a 1996 r. i mieszkało tam przez co najmniej 13 lat. Decyzję o tym, czy wprowadzić w życie rekomendacje AARAC, rada miasta ma ogłosić w czerwcu.

Długi lont

Idea odszkodowań dla Afroamerykanów nie jest niczym nowym. Pierwsza próba wypłaty nastąpiła już w roku 1865 (rok zakończenia wojny secesyjnej). Gen. William Sherman wydał wówczas rozkaz, by ziemie i dobra skonfiskowane konfederatom w Georgii i Karolinie Południowej rozdzielić między wyzwolonych niewolników, po 40 akrów i jednego muła na głowę. Gwoli ścisłości – przedsięwzięcie upadło. Po uchwaleniu w 1965 r. Ustawy o prawach obywatelskich ruch domagający się zadośćuczynienia przybrał na sile, ale dopiero w 1989 r. w Kongresie pojawił się projekt ustawy autorstwa czarnoskórego polityka z Michigan, Johna Conyersa. Do głosowania nigdy nie doszło, choć Conyers wracał do ustawy rokrocznie, aż do śmierci w 2019 r.

Na pierwszą ustawę odszkodowawczą z prawdziwego zdarzenia trzeba było czekać do marca 2021 r. Przegłosowano ją w Evanston w stanie Illinois. Pieniądze dla potomków

tamtejszych niewolników są co prawda dużo skromniejsze niż w San Francisco – to „tylko” 25 tys. dol. na głowę – ale miłowy krok bezsprzecznie został wykonany.

Działania San Francisco są o tyle nowatorskie, że Kalifornia dołączyła do unii w roku 1850 jako tzw. wolny stan. Absurdem byłoby więc szukać w niej potomków niewolników, których, przynajmniej ustawowo, nigdy tam nie było. Miasto miało jednak na początku XX w. sławę bastionu Ku Kluxu Klanu, było areną rasistowskich ataków na mienie i życie ludności niebiałej (w Kalifornii rasizm od początku dotyczył również Latynosów i Azjatów), a w latach 1886-1947 otwarcie praktykowało wiele praw rasistowskich, sankcjonujących ustawową segregację i dyskryminację ludności kolorowej. Powołanie do życia komisji odszkodowawczej, bez względu na to, jak potoczą się losy jej rekomendacji, to sygnał dla reszty kraju, że Ameryka winna jest zadośćuczynienie wszystkim, którzy ze względu na kolor skóry byli przez system odsuwani od szans i możliwości dostępnych białym.

Niektórzy już posłuchali, i to na samym Kapitolu. Miejsce Johna Conyersa zajęła tam w zeszłym roku czarnoskóra kongresmenka Sheila Jackson Lee z Teksasu, a jej wniosek o ustawę powołującą do życia federalną komisję ds. odszkodowań poparło prawie 200 kongresmenów. Ustawę promuje też Biały Dom; niestety, wiadomo, że w najbliższych dwóch latach, dopóki izba niższa pozostaje pod kontrolą republikanów, nie ma szans, że wróci ona



na wokandę. Poza Waszyngtonem ruchy na rzecz utworzenia komisji rozpoczęły się w kilkunastu stanowych legislaturach, m.in. w Kalifornii, New Jersey i Nowym Jorku oraz w radach miejskich Saint Louis (stan Missouri), Bostonu (Massachusetts), Wilmington (Delaware) i Providence (Rhode Island).

Źródło zła

Nie ma wątpliwości, że spuścizna po okresie niewolnictwa to największy i najbardziej palący społeczny problem, z którym światowy lider demokracji boryka się do dzisiaj. Inne to bieda, bezdomność, marne wskaźniki zdrowia, w tym zatrważająco wielka jak na kraj wysokorozwinięty umieralność niemowląt i matek przy porodzie, także dysfunkcyjność organów bezpieczeństwa (stosowanie nieuzasadnionej przemocy przez policję), wreszcie narkomania i przestępczość. Wszystkie te zjawiska bardziej dotykają Afroamerykanów i osoby kolorowe niż białych. Dawne Południe, gdzie niewolnicy stanowili swego czasu nawet przeszło połowę populacji (w roku 1860 55% w Missisipi i 57% w Karolinie Południowej) i które do dziś jest domem dla największego odsetka ludności kolorowej w USA, pozostaje najbiedniejsze,

najślabiej rozwinięte, z najbardziej kulejącą edukacją i infrastrukturą. Przez dziesięciolecia narracja na temat tego, dlaczego ludność kolorowa, zwłaszcza Afroamerykanie, ciągnie się na szarym końcu społecznego marszu po sukces, wspierała się teorią osobistych wyborów. Tłumaczenie to świetnie się wpisywało w osadzoną w amerykańskiej kulturze i obyczajowości doktrynę o nadrzędnej roli w życiu człowieka

Dwie trzecie społeczeństwa jest przeciwne odszkodowaniom.

talentu, determinacji i pracowitości. W takim ujęciu winna porażki zawsze jest osoba nią doświadczona. Biedniejsi, gorzej wykształceni, mniej mobilni i częściej niż biali korzystający z pomocy socjalnej Afroamerykanie już dawno dorobili się etykiety „roszczeniowych leniuchów i darmozjadów”. Również – ludzie o mniejszej niż biali inteligencji. Stereotyp ten pokutuje do dziś.

Potrzeba było prezydentury Trumpa i jego mowy wykluczenia inspirowanej białych nacjonalistów i rasistów, by na fali protestu wytworzył się klimat, w którym w rozmowach o dziejowej niesprawiedliwości i kondycji współczesnych Afroamerykanów fakty zaczęły przeważać nad

stereotypami. W mediach zaczęły się pojawiać raporty popularyzujące wiedzę na temat zależności między „kolorową biedą” a systemem akumulacji majątku w USA. W kraju „równych szans dla wszystkich” dominującą metodą „bogacenia się” pozostaje dla klasy średniej i niższej, czyli 90% społeczeństwa, inwestycja we własny dom lub mieszkanie. Nieruchomość z czasem podlega aprecjacji i w ten sposób statystycy państwo Smith stają się bogatsi, a potem przekazują to bogactwo w spadku dzieciom. Inwestycję zwykle finansują za pomocą kredytu.

Popatrzmy na statystyki. Udział Afroamerykanów w rynku mieszkaniowym wynosi nieco ponad 40%. W przypadku populacji białej jest to 76%, jeśli chodzi o Azjatów i Latynosów – ponad 60%. Dlaczego? Bo Afroamerykanów na własny dom nie stać. Dlaczego? Oto wyniki badań ekonomistów z Uniwersytetu Kalifornii w Berkeley z 2019 r. Odsetek odmów udzielenia kredytu hipotecznego w grupie Afroamerykanów, nawet przy porównywalnej do klientów białych zdolności kredytowej, do dziś sięga aż 20%. W grupie klientów białych to raptem 7%. Brak zaplecza finansowego w postaci majątku już znajdującego się w rodzinie utrudnia zaś następnemu pokoleniu uzbieranie sumy na wpłatę zadatku.

Podobnie rzecz wygląda z edukacją. W kraju, gdzie koszt edukacji zawsze był poważną barierą, bieda w rodzinie ma bezpośrednie przełożenie na perspektywy edukacyjne i zawodowe kolejnych pokoleń.

Przepaść majątkowa, o której mówimy, jest ogromna. Przeciętny majątek białego gospodarstwa domowego w USA wynosi obecnie 983 400 dol., podczas gdy gospodarstwa czarne – 142 500 dol. Jak napisał William Darity, ekonomista z Uniwersytetu Duke’a w Karolinie Północnej: „Czarni nie są w stanie zlikwidować przepaści majątkowej dzielącej rasy tylko poprzez zmianę własnego zachowania, przyjmując postawę większej osobistej ▶

- odpowiedzialności czy opanowując sposoby zarządzania portfolio finansowym, jeśli strukturalne źródła nierówności rasowej pozostają niezmiennione”.

Historia i dyskurs publiczny

Niebywałego szumu narobiła latem 2019 r. redaktorka „New York Timesa” Nikole Hannah-Jones, publikując esej „Nowy początek”, w którym ogłosiła, że faktyczny wkład pracy niewolników w budowanie (nieodpłatnie!) Ameryki należy liczyć nie od 1776 r. – daty powstania USA – lecz już od roku 1619 r., gdy na amerykański ląd dotarli pierwsi niewolnicy. W chwili ogłoszenia Deklaracji niepodległości niewolnicy stanowili 20% ówczesnej populacji kolonii, biali obywatele nowego państwa startowali więc ze świetnej pozycji ekonomicznej. Więcej – sama wojna niepodległościowa też była przez kolonistów prowadzona w obronie instytucji niewolnictwa. Chwycono za broń, gdy stało się jasne, że abolicja w brytyjskim imperium jest tylko kwestią czasu. Rozślawiony przez protesty po śmierci George’a Floyda ruch Black Lives Matter, a także powszechne zainteresowanie krytyczną teorią

rasy czerpią inspirację właśnie z prac Hannah-Jones i na nowo przez nią odsłanianych – bo przecież nie nowych – faktów z historii USA.

Co na to sami Amerykanie? Powodów do świętowania nie ma, bo dwie trzecie społeczeństwa jest odszkodowaniom przeciwne. Gdy zawęzimy próbę do obywateli białych, wskaźnik ten urasta do 82%. Tatishe Nteta, politolog specjalizujący się w stosunkach rasowych z Uniwersytetu Massachusetts w Amherst, wymienia trzy argumenty najczęściej padające z ust przeciwników rekompensat. Pierwsza: nie należą się one potomkom niewolników, bo powinni być wypłacane ludziom oświeści poszkodowanym. Druga: nie ma możliwości wycenienia skutków niewolnictwa. I trzecia, popularna zwłaszcza wśród osób o poglądach konserwatywnych: darmowe pieniądze rozleniwiają ludzi i demotywują.

Na same gesty przeprosin potomkowie niewolników i ofiary rasizmu na pewno się nie zgodzą.

Osoby zaangażowane w działania na rzecz odszkodowań uważają, że problem był i jest źle formułowany. Dominuje w nim kwestia finansowa, mimo że to jedynie część procesu. W minionym roku premierę miał dokument na ten temat, „The Big Payback” (Wielka zemsta/zapłata). Erikę Alexander i Whitney Dow do nakręcenia filmu zainspirowała kruczata radnej z Evanston, Robin Rue Simmons, która stoi za sukcesem tamtejszego projektu odszkodowawczego. Reżyserki próbują odpowiedzieć na pytanie, po co i komu w Ameryce odszkodowania są potrzebne. „Potrzebne są nam wszystkim, żebyśmy w końcu mogli zaleczyć nasze rany i pójść dalej. Jeśli kogoś skrzywdzimy lub zachowamy się niemoralnie, to oczywista rzecz, że poczucie winy żąda nas od środka. Poczujemy się lepiej, dopiero gdy przeprosimy, nawet jeśli te przeprosiny nie zostaną przyjęte. Już sama próba naprawy zła jest transformatywna”, wyjaśnia Whitney Dow. A Erika Alexander dodaje: „Rekompensaty są bardziej potrzebne białym niż czarnym. Biała supremacja jest chorobą i musimy

ją w końcu zatrzymać. Odszkodowania dotkną samego rdzenia toksyczności, która nas truje jako naród”.

Ale jest coś jeszcze. Nawet gorący zwolennicy sprawiedliwości dziejowej milkną, gdy na stół wjeżdżają konkretne wyceny. Przeciętny Amerykanin, bez względu na kolor skóry, żyje dziś w poczuciu, że jest przez system – w rozumieniu rynku pracy, polityków, bankierów itp. – oszukiwany. Choć wydajność pracy wzrosła w ostatnim półwieczu o ponad 60%, płace realne tylko o 17,5%, podczas gdy ceny dóbr i usług poszybowały w górę – o 132%! Milenials i zetki, zadłużeni już na starcie w dorosłość (dług studencki), nie mają złudzeń, że nie będą żyć na takim poziomie jak ich rodzice i dziadkowie. Tymczasem William Darity szacuje, że odszkodowania będą kosztować Amerykę 10-12 bln dol., czyli ok. 800 tys. dol. dla każdego odbiorcy. Thomas Craemer, ekspert

ds. polityki publicznej na Uniwersytecie Connecticut, uważa, że bliżej 19 bln dol. Nie brakuje głosów, że zobowiązanie finansowe tego rządu będzie dla amerykańskiej gospodarki, zadłużonej w chwili obecnej już na 28 bln dol., po prostu katastrofą.

Michael Tanner z konserwatywnego think tanku Cato Institute przekonuje, że są inne sposoby zażyczenia za krzywdy wynikające z historii rasizmu: przeprosiny, granty, akcja afirmatywna. Dopóki progresywiści „nie odpowiedzą na trudne pytania, nie powinni udawać, że pieniądze są jednym z tych sposobów”. Progresywiści odpowiedzi na pytania w tej chwili nie mają. Na same zaś gesty przeprosin okraszone symbolicznymi kwotami potomkowie niewolników i ofiary rasizmu na pewno się nie zgodzą. W dzisiejszym klimacie politycznym, gdy zwycięstwo zawsze wisi na włosku, raczej nie ma co się łudzić, że politycy odważą się zignorować głos wyborców. Wygląda więc na to, że najbardziej adekwatnym opisem sytuacji są słowa: impas trwa.

Eliza Sarnacka-Mahoney



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Badacze polskiej odległej przeszłości, czyli lat 80. minionego wieku, znają hasło z murów: „Telewizja kłamie”. Ale przecież jest tak, że jak tamta kłamała, tak ta kłamie jeszcze bardziej, a właściwie wszystkie media kłamią nieustannie. Formuła niekontrolowanej prywatności, brak standardów i możliwości ich weryfikowania stawiają nas, odbiorców, społeczeństwo, na przegranej pozycji. Świat mediów sam z siebie (podobnie jak większość lub wszystkie inne władzopochodne środowiska – medyczne, edukacyjne, policyjne, sądownicze, biznesowe) nie lubi być autokrytyczny, nie traci czasu na namysł nad sobą, nad tym, co stanowi tu cel, jakie są reguły, jakie konsekwencje ma takie, a nie inne uprawianie tej formy zarabiania. Kiedy przed paroma laty przetłumaczono niewielką, ale klasyczną książeczkę jednego z najwybitniejszych współczesnych socjologów, Pierre’a Bourdieu, „O telewizji. Panowanie dziennikarstwa”, to w mediach nie przetoczyła się żadna istotna albo jakakolwiek debata nad jej treścią. Media i ich wyrobownicy zajęci byli nieprzerywalnym procesem produkcji informacji zbędnych,

myśliwych. Zaatakowany okazuje się objedzonym trupem z nieustaloną przyczyną śmierci; zagryziony pies wcześniej z grupą puszczonego luzem pobratymców pogonił wilków kilka i... się przeliczył. Ale groza się utrwała, bzdury wyssane z palca krążą z mocą perpetuum mobile. Tysiąca bzdur i kłamstw, manipulacji i przeinaczeń nie da się wyjaśnić, sprostować. Jeden tytuł przynosi więcej szkody niż setki uczciwych tekstów i książek pożytku. I się kręci. Jeśli nie umiemy uczciwie opisać zachowań 2 tys. wilków, to jak możemy oczekiwać, że doniesienia o 38 mln zamieszkujących tu ludzi oparte są na innych zasadach?

W przeciwieństwie do niepotwierdzonych ataków czy przypadków śmierci człowieka w wyniku szarży wilczej, mamy dość sporo danych o ofiarach (ludzkich) aktywności największego wroga wilka i źródła większości fałszywych alarmów na ich temat – myśliwych, strzelających do innych myśliwych lub innych ludzi. Mamy też oficjalny, choć jeszcze nie urzędowy, powszechnie obowiązujący tekst wymówki myśliwych (nie mogą się doczekać, kiedy ten zapis wejdzie do konstytucji), którzy

Więcej wilków, żadnych myśliwych, innych mediów

powtarzalnych, durnych, nieznaczących – taśma musi się przesuwać. Gazety żyły kiedyś jeden dzień, dzisiaj informacja obumiera po sekundach, cyfrowy lewiatan wyrzuca z siebie towar na okrągło, 24 godziny na dobę, 365 dni w roku.

Analiza Bourdieu dotyczyła ogromnej władzy dzierżonej przez media z racji samego ich istnienia w takiej jak obecne formie, pod nieustanną presją rynku i polityczności (czyli de facto przeliczalności na pieniądze dla właścicieli mediów lub ich politycznych mocodawców). Jak w XIX w. wyzyskiwani robotnicy czytali albo dowiadywali się o Marksie i jego opisie przemocy kapitału, której podlegali, tak dzisiaj mediaworkerzy żadnych swoich Marksów, Bourdieu czy Postmanów nie czytają ani tym bardziej nie przemyśliwiają. Bo po co? Za to im nie płacą, nikt od nich tego nie oczekuje, praca jak praca, trzeba produkować więcej i taniej. Koniec zagadki. Ale nie o białoleniu o mediach miało być, tylko o wilkach.

Wilków w Polsce jest wciąż niewiele, ale żywiąc się mediami, odnosi się wrażenie, że czyhają na wszystko, co się rusza, w tym ludzi, zza każdego jeszcze niewyciętego drzewa, a co dopiero w lesie. Falami przetaczają się tytuły mrozące krew w żyłach: wilki zaatakowały... zagryzły... zjadły – psa, człowieka, owcę, krowę, dziecko, matkę, dopiszcie sobie, co tam chcecie. Potem w tekście nie ma żadnych faktów, same przypuszczenia, legendy, bajania

postrzelili lub zastrzelili człowieka. Brzmi on: „Myślałem, że to dzik”. Widziałem dziką, zabiłem człowieka. Otóż z tych powracających za każdym razem wyjaśnień wynika, że polscy myśliwi znają jeden gatunek zwierzęcia, ale równocześnie myślą go z ludźmi, psami domowymi, ostatnio z zubrem (sąd nie dał się nabrać i skazał myśliwego, który zastrzelonemu zubrowi obciął głowę na handel), czyli nie wiedzą nawet, jak on wygląda. I tu wkracza wielka polityka narodowej zgody w Sejmie, kolejny sukces ponadpartyjnej formacji politycznej – polskich myśliwych, którzy w pozornie poprawiającej absurdu biurokracji ustawie przemycają zwolnienie myśliwych z obowiązkowych okresowych (co pięć lat) badań zdrowotnych (wzrok i psychika). W rękach 130 tys. polskich myśliwych znajduje się dwie trzecie broni posiadanej legalnie w kraju, czyli 200 tys. Co tu badać? Przecież to atak na tradycję i powagę tej morderczej zabawy. Alkoholizm myśliwych? A co tu drażnić temat?

PIS i PSL nie mają żadnych wątpliwości – kasta mordujących zwierzęta ma być pozbawiona kontroli na podstawowym poziomie. Mają strzelby, sztucery – niech walą gdzie i jak popadnie. Dla dobra Polski. Wilk co prawda jest gatunkiem chronionym, ale nie przesadzajmy – to diabły wcielone i na dodatek takie podobne do dzika. Od stuleci każdy proboszcz (szczególnie jak jest w kołowieckim) wam to powie, a media opiszą. ■

Manewry Blinkena

Amerykańska administracja ma dla Izraelczyków i Palestyńczyków tylko wytarte slogany

Jakub Katulski

Wizyta sekretarza stanu USA Antony'ego Blinkena w Izraelu przypadła na bardzo trudny moment dla koalicji Beniamina Netanjahu. W kraju trwają protesty przeciwko zaproponowanej przez ministra sprawiedliwości Jariwa Lewina reformie sądownictwa, która ma zmienić sposób wyboru sędziów Sądu Najwyższego i umożliwić rządowi odrzucanie ich wyroków.

W piątek, 27 stycznia, w Nowej Jaakow doszło do zamachu terrorystycznego, w którym zginęło siedem osób udających się do synagogi. Następnego dnia w Jerozolimie z ręki palestyńskiego 13-latka zginęły kolejne dwie osoby. Izraelska policja i wojsko prowadzą w ostatnich tygodniach akcję przeciw palestyńskim organizacjom na Zachodnim Brzegu, w której od początku roku do wizyty Blinkena zginęło 35 Palestyńczyków, przede wszystkim bojowników, ale także cywilów.

26 stycznia wojsko przeprowadziło operację w Dżaninie. Niektórzy dziennikarze, np. Oliver Holmes z brytyjskiego „Guardiana”, określili ją jako wyjątkowo zacieklą. W odwecie Hamas ostrzelał południe Izraela, Autonomia Palestyńska zaś ogłosiła zawieszenie współpracy dotyczącej bezpieczeństwa z rządem Netanjahu.

Spokoju nie zapewnia również sytuacja w Iranie, gdzie 28 stycznia w fabryce amunicji w Isfahanie doszło do eksplozji po ataku trzech dronów. Dwa z nich miały zostać zestrzelone, trzeci eksplodował. Tej samej nocy wybuchł pożar w rafinerii naftowej w Tebrizie i w fabryce oleju silnikowego w mieście Azarszahr. Obecnie trudno jednoznacznie określić, czy te wypadki były ze sobą powiązane. „Wall Street Journal” i Agencja Reutera, powołując się na

anonimowych amerykańskich urzędników, przekazały, że za atakami miały stać izraelskie służby. Netanjahu, udzielając 31 stycznia wywiadu Jake'owi Tapperowi z CNN, przyznał, że jego kraj działa, by „zapobiec rozwojowi pewnych irańskich broni”, choć nie potwierdził, by to on – lub podlegli mu wojskowi czy ministrowie – wydał rozkaz przeprowadzenia operacji w Isfahanie. Po kilku dniach irańskie media rządowe winą za ataki obarczyły kurdyjskich separatystów, co jest wersją o tyle wygodną, że wcale nie wyklucza udziału Izraela, ale nie zmusza do akcji odwetowej.

Interes Waszyngtonu

W Izraelu Blinken musiał balansować między tym, czego oczekuje od niego rząd Netanjahu, a tradycyjnymi amerykańskimi deklaracjami o wyznawanych przez Waszyngton wartościach. Dla administracji USA kluczowe wydają się dzisiaj dwie sprawy: powstrzymanie ekspansji Iranu, który zacieśnia współpracę z Moskwą, i niedopuszczenie do aneksji Zachodniego Brzegu Jordanu przez Izrael, która obaliliby promowaną przez Stany Zjednoczone ideę rozwiązania dwupaństwowego. W tę mało kto już dzisiaj wierzy. A czy wierzy sam Waszyngton? Na to pytanie trudno jednoznacznie odpowiedzieć, lecz fakt, że żaden z ostatnich prezydentów USA nie naciskał na Izrael w tej kwestii, ograniczając się do retorycznego wspierania pokoju na Bliskim Wschodzie, każe przypuszczać, że Amerykanie mogą przede wszystkim chcieć utrzymać status quo.

Blinken spotkał się też z palestyńskim prezydentem Mahmudem Abbasem, po czym na Twitterze zapewnił, że „Izraelczycy i Palestyńczycy równo zasługują na wolność, bezpieczeństwo i dobrobyt”, i ponownie

przypomniat o przywiązaniu Waszyngtonu do idei rozwiązania dwupaństwowego oraz wsparciu dla narodu palestyńskiego. Na koniec swojej podróży dodał jeszcze, że była ona produktywna, a Stany Zjednoczone będą wspierać obie strony konfliktu i ich starania o deeskalację napięć. Próżno jednak szukać proponowanych rozwiązań, choćby miały być tak kontrowersyjne jak odrzucony przez Palestyńczyków plan Donalda Trumpa ze stycznia 2020 r., nazwany „Pokój dla dobrobytu”, który zakładał utworzenie palestyńskich enklaw połączonych siecią mostów i tuneli, otoczonych przez Izrael. Przedstawiciele administracji Bidena podczas kolejnych spotkań z izraelskimi i palestyńskimi politykami wygłaszają jedynie te same wytarte slogany, za którymi nie idą realne działania.

O tym, że koncepcja dwupaństwa ma dzisiaj na Bliskim Wschodzie umiarkowane znaczenie, mogą świadczyć słowa samego Netanjahu, który nie tylko mówił w kampanii wyborczej, że porozumienia z Oslo zostały zneutralizowane, ale też podkreślił w rozmowie z Tapperem, że priorytetem dla jego rządu jest normalizacja relacji z innymi państwami arabskimi. Dopiero w dalszej kolejności, gdy „rozwiązany zostanie konflikt izraelsko-arabski”, zwróci się do Palestyńczyków i wypracuje pokój. Wprost powiedział jednak, że nie jest zainteresowany oddaniem Palestyńczykom pełnej suwerenności, zachowując dla Izraela monopol na bezpieczeństwo. Wizja pokoju proponowana przez Netanjahu zakłada więc, że Ramallah miałoby się zgodzić na kapitulację.

Miliardy dla Izraela, miliony dla Palestyńczyków

Z drugiej strony trzeba przyznać, że Netanjahu nie zdecydował się



Nie wygląda na to, by między Anthonyem Blinkenem a Benjaminem Netanjahu była szczególna chemia. Jerozolima, 30 stycznia 2023 r.

ureczywistnić swoich licznych zapowiedzi włączenia żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu Jordanu do właściwego Izraela, co ucieszyłoby nacjonalistycznych wyborców. Ta decyzja jest wciąż odsuwana w czasie, najpewniej dlatego, że nie byłoby to dobrze widziane w Waszyngtonie. W końcu USA przyznają Tel Awiwowi kwoty o wiele większe, niż dostaje Ramallah. W grudniu 2022 r. prezydent Biden podpisał ustawę, wedle której z federalnego budżetu trafi do Izraela na wsparcie jego polityki bezpieczeństwa 3,3 mld dol., natomiast 500 mln przeznaczone będzie na uzupełnienie zapasów pocisków dla systemu przeciwrakietowego Żelazna Kopuła. Dodatkowe pieniądze pójdą na programy współpracy w dziedzinie cyberbezpieczeństwa, rolnictwa czy energetyki. Amerykańskie prawo zabrania bezpośredniego finansowania Autonomii Palestyńskiej, ale i na to znalaziono rozwiązanie, poprzez przekazanie 225 mln dol. na projekty humanitarne w Gazie i na Zachodnim Brzegu, 75 mln UNRWA (Agencji Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie) i 42 mln

na izraelsko-palestyńską współpracę w dziedzinie bezpieczeństwa.

Te kwoty błędną przy wsparciu, którego od początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę Amerykanie udzielają Kijowowi. Według niemieckiego Instytutu Gospodarki Światowej w Kilonii na pomoc humanitarną, finansową i wojskową Waszyngton wyasygnował prawie 48 mld dol., a 15 lutego pojawią się nowe wyliczenia, na podstawie których analitycy podadzą zaktualizowane kwoty.

Jednym z przejawów wspierania Ukrainy jest wykorzystywanie amerykańskich magazynów amunicji w Izraelu, z których Kijów miał otrzymać 300 tys. pocisków artyleryjskich. Izraelscy politycy nie mogli się sprzeciwić takim działaniom, jednak zaczęli się obawiać, że transport amunicji do Ukrainy zaszkodzi izraelskim relacjom z Moskwą. Tel Awiw bowiem od początku wojny ostrożnie podchodzi do tego konfliktu, nie chcąc denerwować Władimira Putina, od którego zależna jest swoboda operacyjna izraelskich wojsk w Syrii. Priorytetem strategicznym Izraela jest tam ograniczanie aktywności Iranu i proirańskich milicji,

które mają zagrażać państwu żydowskiemu, a tego nie da się zrobić bez wiedzy i cichego przyzwolenia Moskwy.

Tel Awiw nie igra z Moskwą

Dla zachodnich sojuszników Tel Awiwu, zwłaszcza dla NATO, kwestia obrony przed Iranem może być zrozumiała. W końcu była wiodącym tematem rozmów prezydenta Icchaka Herzoga z Jensem Stoltenbergiem i innymi przywódcami Sojuszu podczas jego wizyty w Brukseli 26 stycznia. Herzog miał naciskać na państwa NATO, by przeciwdziałały rozwojowi irańskiego programu nuklearnego m.in. poprzez sankcje. W zamian usłyszał pochwałę izraelskiej pomocy humanitarnej dla Kijowa i sugestie dalszego wspierania Ukraińców. Konkretnych żądań nie przedstawiono publicznie, lecz nie jest tajemnicą, że Zachód od roku naciska na Izrael, by przekazał także wsparcie militarne, a prezydent Zełenski wielokrotnie prosił o udostępnienie mu systemu Żelazna Kopuła. Z kolei Waszyngton zwrócił się w ostatnich dniach o przekazanie wiekowego już systemu przeciwlotniczego Hawk składowanego w magazynach. Baterie zakupione w latach 60. sprawdziły się w czasie wojny sześciodniowej i wojny Jom Kipur, ale dzisiaj nie są już wykorzystywane. Mimo to Izraelczycy nie zgodzili się na ich transfer.

Nie wygląda na to, by Tel Awiw miał w najbliższej przyszłości zmienić swoją strategię zwracania się ku Zachodowi i Moskwie jednocześnie, tym bardziej że Stany Zjednoczone i Europa nie są skore do tego, by wywierć poważniejsze naciski na rząd Netanjahu. A Bibi, podobnie jak przed nim Lapid i Bennett, jest zbyt zajęty własnymi reformami i konsolidacją władzy, by Ukraińcy rzeczywiście mogli liczyć na jego wsparcie. W tej materii chyba już nic się nie zmieni, pozostaną jedynie te same puste frazesy o „wspólnych wartościach” i „silnych więzach”, do których przyzwyczaili nas konferencje izraelskich polityków z ich partnerami z Europy i Ameryki.

Andrzej Walicki

Kłeska Mikołajowskiej Rosji w wojnie krymskiej zaowocowała polityczną „odwilżą”, połączoną z wciąganiem czynników społecznych w proces przygotowywania reformy włościańskiej oraz innych „wielkich reform” Aleksandra II. Sprzyjało to planom polskich organiczników. W kręgach radykalnych rodziło się jednak pytanie, czy nie można by pójść dalej, czy nie należałoby zaangażować się w polityczną mobilizację społeczeństwa w celu wywarcia presji na władze rosyjskie i stworzenia klimatu intelektualno-moralnego sprzyjającego podjęciu walki zbrojnej. (...) W roku 1860 Królestwo Polskie zaczęło więc wchodzić w okres wrzenia rewolucyjnego, co pociągnęło za sobą recydywę postaw „romantycznych”.

Grupa młodzieży z warszawskiej Akademii Medycznej nawiązała kontakt z gen. Ludwikiem Mierosławskim i zaczęła otrzymywać od niego instrukcje rewolucyjne.

W 30. rocznicę powstania listopadowego zorganizowano w Warszawie pierwszą manifestację polityczną. Na ulicy zabrzmiała pieśń „Boże, coś Polskę”, skomponowana niegdyś na cześć „wskrzesiciela Polski”, Aleksandra I, ale ze zmienionym refrenem: „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie”. Wrażenie było potężne. (...)

Rozpoczął się okres tzw. rewolucji moralnej, czyli wojny nerwów, która – pomimo ustępstw zaborcy – doprowadziła w końcu do wybuchu powstania.

Głównymi aktorami tego dramatu byli:

- obóz „czerwonych”, czyli spiskowcy świadomie dążący do rozwiązania rewolucyjnego;
- obóz „białych” reprezentujący szlachtę ziemiańską, zamożne mieszczaństwo i umiarkowaną część inteligencji, czyli ludzie w zasadzie przeciwni powstaniu, ale ulegający moralnemu szantażowi patriotycznych radykałów;
- wielki książę Konstanty Mikołajewicz, od maja 1862 r. namiestnik Królestwa z rangą wicekróla,

Biali i czerwoni

Nieprzewidzianym rezultatem powstania styczniowego było umocnienie hasła „Polak katolik”



Maksymilian Gierymski, Patrol powstańczy, 1873.

uosabiający maksimum dobrej woli Rosji wobec Polski

– i wreszcie margrabia Aleksander Wielopolski, naczelnik rządu cywilnego, kierujący się zasadą, że dla Polaków uczynić można wiele, ale nic wraz z nimi. Ten ostatni był indywidualnością największą i zapewne najbardziej tragiczną. Dążąc do faktycznego odbudowania autonomicznego Królestwa Kongresowego z 1815 r., uzyskał od Rosji bardzo wiele: osobną komisję rządową wyznań i oświecenia, reformę szkolnictwa, przywrócenie uniwersytetu warszawskiego pod nazwą Szkoły Głównej, przywrócenie samorządu lokalnego i rady stanu, emancypację Żydów, w których widzieć chciał polski stan trzeci, a także obietnicę opuszczenia Królestwa przez wszystkich urzędników rosyjskich. Swą twardą polityką walki o interesy narodowe bez dbania o popularność

osobistą (która, jak sądził, mogłaby mu wręcz zaszkodzić) i bez czynienia taktycznych choćby ustępstw na rzecz opinii publicznej zantagonizował on społeczeństwo i przyczynił się do wybuchu powstania, czyli zniszczenia własnego dzieła. (...)

Podstawą „rewolucji moralnej” była oczywiście

romantyczna wiara w potęgę czynnika moralnego,

przed którą musi ustąpić siła materialna. Przypomnijmy, że Mickiewicz towiańczyk projektował wyzwanie cara Rosji na „pojedynkę duchowy” i pokonanie go wyższością polskiego tonu. Słowacki zaś w rewolucyjnym roku 1848 próbował przekonać Komitet Narodowy w Poznaniu, że nie muszą troszczyć się o uzbrojenie, Prusacy bowiem ugną się przed zademonstrowaną im siłą ducha.

Organizatorzy warszawskich manifestacji nie byli mistykami, a więc nie posuwali się do takich skrajności, mimo to przekonani byli, że mobilizacja moralna zwielokrotni siły narodu i zachwieje panowaniem rosyjskim. (...)

Za niezwykle ważny czynnik moralnej mobilizacji narodu uznawano uczucia religijne, do których można było apelować w kościołach – choć napotykało to początkowo pewien opór abp. Antoniego Fijałkowskiego. Na zrost patriotyzmu z religijnością godzili się również ludzie o światopoglądzie świeckim, w życiu osobistym odnoszący się do religii z dużym dystansem. Wykorzystywano też mesjanistyczne wątki literatury romantycznej jako religijne usankcjonowanie aspiracji narodowych.

Masowy charakter manifestacji religijno-patriotycznych sprawił jednak, że łatwo przesiąkły one duchem tradycyjnej katolickiej dewocji, bardzo dalekiej od aspiracji duchowych Wielkiej Emigracji. (...)

W zastosowaniu praktycznym „rewolucja moralna” polegała na mobilizowaniu patriotyzmu metodami zorganizowanej, zbiorowej presji. Była to presja zarówno pozytywna, poprzez ekscytowanie narodowych emocji, jak i negatywna, intymidacyjna, grożąca nieposłusznym jednostkom szeregiem kar: od ostracyzmu towarzyskiego do patriotycznej anatemy i wykluczenia z narodowej wspólnoty. Metody „pozytywne” miały charakter teatralny, widowiskowy: śpiewy w kościołach i na ulicach, żałoba narodowa, noszenie przesadnie wielkich konfederatek z piórami, czamar i kontuszy, a nawet demonstracje kostiumowe. Urzędnicy rosyjscy postrzegali to jako „karnawał wenecki”, „dom wariatów”. (...)

Mniej romantyczne i całkiem niezgodne z etyką chrześcijańską było uniemożliwianie ugody z zaborcą przez akty terroru, których gorącym zwolennikiem był w kierownictwie „czerwonych” Ignacy Chmieliński. Trzeba wszakże podkreślić, że wywoływały one w społeczeństwie reakcje mieszane, często zdecydowanie negatywne. Zamach na wielkiego księcia Konstantego – nazajutrz po jego przyjeździe, 3 lipca 1862 r. – wywołał

oburzenie, co umożliwiło mu wyrażenie sympatii do Polaków i zaangażowanie w politykę polsko-rosyjskiego pojednania.

„Negatywne”

metody wymuszania patriotycznej jedności

polegały na szermowaniu argumentem narodowych imponderabiliów (vel narodowego honoru) oraz powoływaniu się na wolę większości, której zachowania i życzenia miały być traktowane jako obowiązujące wszystkich prawo. (...)

Dowodem efektywności „rewolucji moralnej” w wymuszaniu konformizmu wobec „woli narodu” była postawa obozu „białych”. Wedle klasycznej analizy Stanisława Koźmiana brakowało im odwagi cywilnej; w gruncie rzeczy uznawali rację wielkiego księcia i Wielopolskiego, ale „na odwagę stanięcia po ich stronie zdobyć się nie mogli”. Rozumieli, że „rewolucja moralna” w imię narodowych absolutów zagradza drogę pragmatycznym negocjacjom elit i z góry wyklucza rozwiązania kompromisowe, nie śmieli jednak zdystansować się od niej. (...)

Warto dodać, że w obozie „czerwonych” decyzja o powstaniu nie była wynikiem racjonalnej kalkulacji politycznej. Hurraoptymistyczne lekceważenie materialnych warunków zwycięstwa („Poszli nasi w bój bez broni”) często łączyło się z przeświadczeniem (wyrażanym wprost przez Mierosławskiego), że walka konieczna jest niezależnie od jej wyniku, jako demonstracja polskiej woli istnienia. (...)

Niezmiernie ważnym aspektem ideologii narodowej powstania styczniowego była koncepcja narodowego obszaru. Zgodnie z tradycją podtrzymywaną przez Wielką Emigrację za polityczny aksjomat uważano granice przedzoborowe – przynajmniej na wschodzie. W odróżnieniu od wielkich romantyków rzadko jednak uzasadniano ten postulat rozważaniami historiozoficznymi, określającymi naród przez pojęcie ogólnoludzkiej misji, najczęściej stano po prostu na gruncie historycznego legitymizmu. (...)

Gen. Ludwik Mierosławski, uważany początkowo za naturalnego przywódcę powstania, skłonny był uważać wypędzenie Rosjan z Litwy i Rusi za ważniejsze od pokonania ich w Królestwie. (...) Bardzo znamienne jest, że to właśnie uniemożliwiło kompromis polsko-rosyjski, którego szczerze pragnął wielki książę Konstanty. Zdając sobie sprawę z niepopularności Wielopolskiego, próbował on porozumieć się z „białymi”, uzyskać od nich sugestie, co może zrobić dla usatysfakcjonowania Polaków i rozładowania sytuacji rewolucyjnej w Królestwie. Na spotkaniu z Zamoyskim 2 września 1862 r. usłyszał jednak, że mógłby to osiągnąć tylko przez

przyłączenie do Królestwa ziem litewsko-ruskich

i zespolenie ich pod własną władzą. Wielki książę uznał, że żądanie takie wysuwać może tylko niebezpieczny wariat. (...)

W odróżnieniu od Zamoyskiego Wielopolski dobrze rozumiał, że żądanie przyłączenia do Królestwa „ziem zabranych” (czyli – z rosyjskiego punktu widzenia – „guberni zachodnich”) było dla Rosji całkowicie nie do przyjęcia. (...)

Dla „czerwonych” przestroga przed optymizmem co do odbudowania Polski w granicach przedzoborowych powinny były stać się doświadczenia spiskowej organizacji studenckiej w Kijowie. Organizacja ta, zbudowana wedle systemu trójkowego i nazwana z tego powodu Związkiem Trojnickim, powstała już w roku 1857, w środowisku młodzieży „chłopomańskiej”, czyli stawiającej sobie za cel społeczną emancypację chłopów. Na przełomie 1860 i 1861 r. polscy chłopomani zaczęli solidaryzować się z ruchem narodowym w Królestwie, a nawet proponować wystąpienie do Petersburga deputacji z prośbą o wprowadzenie na Uniwersytecie Kijowskim wykładów w języku polskim. Napotkało to wszakże stanowczy opór demokratów ukraińskich, którzy wystąpili na znak protestu ze wspólnej organizacji i założyli własną pod nazwą Hromada. (...)

► Manifest powstańczy – w odróżnieniu od manifestu powstania krakowskiego – nie traktował jako Polaków całej ludności przedrozbiorowego państwa. Wzywał do walki trzy narody dawnej Rzeczypospolitej: Polaków, Litwinów i Rusinów. Na sztandarze powstania Biały Orzeł dzielił miejsce z litewską Pogonią i ruskim Archaniołem; w komunikacji powstańców, ustnej i pisemnej, z ludnością ziem litewsko-ruskich używano języków miejscowych, łącznie z białoruskim. Za cel powstania ogłoszono

wskrzeszenie dawnej Rzeczypospolitej w postaci swobodnej federacji

trzech narodów: polskiego, litewsko-białoruskiego i ukraińskiego. (...)

Ogólnie biorąc, z punktu widzenia pozyskiwania ludności ziem litewsko-ruskich dla polskości bilans powstania trudno uznać za pomyślny.

Nacjonaliści rosyjscy odnotowywali z satysfakcją, że procesy powolnej, nieuświadamianej polonizacji ludności białoruskiej zostały przez powstanie zahamowane i odwrócone. W perspektywie bardziej długofalowej jeszcze gorszy okazał się końcowy efekt powstania styczniowego na Litwie – właśnie dlatego m.in., że ludność etnicznie litewska złożyła mu dużą ofiarę krwi, która okazała się dla niej bezowocną i ściągnęła na nią ciężkie represje caratu. Przywódcy kielkującego ruchu narodowego na Litwie ukształtowali swą świadomość w przekonaniu, że Polacy którzy raz z rządu wykorzystali Litwinów do walki w swoim własnym, a nie litewskim interesie. Wynikał stąd oczywiście wniosek, że odrodzenie narodowe Litwy wymaga zerwania politycznej solidarności z Polakami, pogrzebania tradycji unii lubelskiej, tak drogiej sercu polskich powstańców 1863 r.

Należy do tego dodać, że ważnym, choć nieprzewidywanym rezultatem powstania było również przesunięcie patriotyzmu polskiego w stronę mocniejszego akcentowania kulturowych i wyznaniowych wyznaczników narodowej

tożsamości Polaków. Innymi słowy, był to krok w kierunku modelu „Polaka katolika”.

Sprzyjały temu atmosfera „rewolucji moralnej”, przesyciona religijnością katolicką i wątkami romantyczno-mesjanistycznymi, udział w powstaniu licznych księży, a także polityka i kampania propagandowa caratu, identyfikująca polskość w „guberniach zachodnich” z katolicyzmem. Rację miał Tadeusz Łepkowski, twierdząc, że powstanie styczniowe było najbardziej katolickim powstaniem polskim: insurekcja kościuszkowska była bowiem w pewnym stopniu antyklerykalna, a powstanie listopadowe cechowała religijna obojętność.

Z punktu widzenia dziejów świadomości narodowej w Polsce proklamowana przez powstanie styczniowe koncepcja federalna była w gruncie rzeczy sposobem godzenia historycznego legitymizmu i przywiązania do dawnej Rzeczypospolitej z wyrażonym już zdawaniem sobie sprawy, że najmocniejszym, najtrwalszym składnikiem tożsamości bezpieczeństwa narodu polskiego stała się kultura narodowa, w tym zwłaszcza polskojęzyczna literatura oraz religia katolicka. Sensem opcji federalnej było więc nie tylko uznanie (wymuszone często i połowiczne) prawa Litwinów i Rusinów do samookreślenia oraz narodowej odrębności w ramach wspólnego państwa. Było nim także

dążenie do umocnienia etniczno-kulturowej tożsamości Polaków,

do wyraźnego odróżniania ich od etnicznie niepolskiej ludności ziem litewsko-ruskich.

Spróbujmy podsumować.

Ideologia narodowa powstania styczniowego była pod wieloma względami bardzo anachroniczna. Cechował ją patriotyzm intensywnie emocjonalny, pojmowany jako wierność narodowym imponderabilom i „głosowi ludu”, odrzucający z romantyczną pogardą racjonalne kalkulacje polityczne, rozmiłowany w symbolicznych gestach, kolosalnie wyolbrzymiający rolę mobilizacji moralnej i moralnej krucjaty przeciw zaborcy.

Był on skorelowany z archaicznie wspólnotowym pojmowaniem narodu, nieuznającym prawomocności różnic w interpretacji narodowych pryncypiów i narodowych interesów, żądającym moralno-politycznej jedności i starającym się wymusić ją zorganizowanymi formami zbiorowej presji. Koncepcja ta bez trudu uzasadniała sprzeciw narodu wobec władzy i w tym sensie można ją nazwać antyautorytarną; zarazem jednak miała charakter kolektywistyczny i antyliberalny, traktowała bowiem pluralizm opinii jako moralne zło, a niezależność jednostki jako wyłamywanie się z ram należnego narodowi posłuszeństwa, prowadzące prostą drogą do renegactwa. Bardzo głęboko kłóciła się więc z myślami Norwida, że naród to nie sekta ani plemię i że należy nauczyć się, jak „różnić się pięknie”.

W kwestii społecznej powstanie styczniowe głosiło idee z całą pewnością postępowe, oferowało bowiem chłopom korzystne zasady uwłaszczenia i wzywało ich do walki o podmiotowość polityczną. Jednocześnie jednak ideologia narodowa powstania miała cechy zarówno w treści, jak i w stylu tak swoiście szlacheckie, a czasem nawet „staryszlacheckie”, (...) że nie mogła stać się programem demokratycznej modernizacji. Jeśli zaś było tak nawet w wypadku lewicy „czerwonych”, szczerze zaangażowanej w walkę o społeczną emancypację chłopów, to cóż dopiero mówić o „białych”, którzy uzasadniali swój akces do powstania nadzieją na interwencję z zewnątrz i nie ustawiali w wysiłkach przekonania zachodnich rządów, że ruch, w którym uczestniczą, nie ma nic wspólnego z rewolucją społeczną. Zrozumiała jest więc pewna dwoistość w interpretacji powstania przez zachodnich socjalistów, uważanych wówczas za awangardę postępu. (...)

Andrzej Walicki był historykiem idei, członkiem rzeczywistym PAN i emerytowanym profesorem Uniwersytetu Notre Dame w Indianie w USA

Obszerne fragmenty tekstu „Ideologia narodowa powstania styczniowego”, wydrukowanego w PRZEGŁADZIE nr 3 i 4/2003.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Walka z wiatrakami

Na początku ukraińskiej wojny Donald Trump, będąc w bojowym i krótkotrwałym nastroju, mówił: „Powinniśmy wykorzystać nasze samoloty, umieścić na nich chińską flagę i tak bombardować Rosję, żeby się zesrała. Będzie, że Chiny to zrobiły, więc oni będą walczyć ze sobą, a my będziemy siedzieć i patrzeć”. I pomyśleć: ten geniusz strategiczny i polityczny był prezydentem Stanów Zjednoczonych. Teraz mówi, że dostarczanie czołgów Ukrainie jest błędem. „Najpierw przyjadą czołgi, potem bomby atomowe – napisał były prezydent. – Zakończcie tę szaloną wojnę teraz. Tak łatwo to zrobić! Ja bym ją zakończył”. Bez wątplenia jakoś by się dogadał z Putinem, sporo ich łączy. Mamy do czynienia z wyjątkowym i niemoralnym idiotą, który był prezydentem Stanów Zjednoczonych i znowu może nim być. Trump był idolem PiS, jak przegrał wybory, w PiS zapanowała żaloba. Drugi przyjaciel PiS, Viktor Orbán, porównał właśnie Ukrainę do Afganistanu i nazwał ją ziemią niczyją.

Dziennikarze Polska Press w całym kraju dostali wytyczne, z których wynika, że powinni ograniczyć się, a najlepiej całkowicie powstrzymać od pisania o Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy. Polskę Press, jak wiadomo, wykupił Orlen, czyli PiS. Właśnie po to, by sterować prowincjonalną prasą. Już od lat na stacjach benzynowych Orlenu jest egzekwowany nakaz, by piśmiskie gazety były na wierzchu, a liberalne pod spodem. Proszę to sprawdzić. Walka PiS z Owsakiem i z Orkiestrą to walka samobójcza. Nie tylko dlatego, że Orkiestra ma taką skalę i powszechne uznanie, ale też dlatego, że ta akcja jest do szpiku kości moralna i obrosła piękną tradycją.

Wiadomość, że zmarł Aleksander Krawczuk, historyk starożytności i pisarz, obdarzony niebywałą wiedzą i pamięcią. Miał sto lat. Robiłem z nim wywiad, nie do wiary, bodaj w roku 1975. A ostatni raz rozmawiałem przez telefon nie tak dawno. Już słyszałem od jego żony, że ma zaniki pamięci, można by napisać, że taka wielka wiedza odeszła na zawsze. Nieprawda, zostały po nim znakomite książki. Kilka lat po stanie wojennym został ministrem kultury, nie potrafiłem na niego za to się gniewać. A byłem wtedy w tych sprawach bardzo zasadniczy. Teraz mi się trochę zmieniło widzenie tamtych lat.

Jako esteta nie mam entuzjastycznego stosunku do farm wiatrowych i wiatraków, psują krajobraz. Ale ta estetyczna wada wiatraków, a nawet fakt, że ludziom przy domach będzie trochę szumieć – to wszystko jest niwelowane przez pożytki. Walczymy o przetrwanie świata. I to czasami będzie boleć. Wiatraki sprawdziły się w kilkunastu krajach, w Niemczech już produkują większość energii elektrycznej. A poza tym Polska zobowiązała się wobec Unii, że będzie je budować, to jeden z kamieni milowych. Kilka lat temu uchwalono w Polsce ustawę, że wiatrak musi stać w odległości co najmniej 2 km od zabudowań. Bo tego żądała polska wieś, więc wyborcy PiS. Okazało się, że te 2 km to wystarczająca odległość, by zniszczyć biznes wiatrakowy. I przestaliśmy stawiać wiatraki. Teraz, po latach, PiS pod naciskiem Unii i ekspertów, chociaż ekspertów PiS za bardzo nie słucha, uchwaliło, że ta odległość może wynosić 500 m. Zdawało się, że problem jest rozwiązany. Ale czołowy intelektualista PiS Marek Suski na byle jakiej karteczce ręcznie pisze poprawkę i wrzuca ją w ostatniej chwili pod obrady komisji. I zostaje przegłosowana. Poprawka mówi, że odległość musi wynosić co najmniej 700 m. Niby niewielka zmiana, ale eksperci

twierdzą, że to katastrofa, że za daleko, a energetyki nie da się planować na chłopski rozum. I o ten chłopski rozum właśnie chodzi. Polska wieś nie chce wiatraków, bo szumią i szkodzą

na mózg, kury przestają znosić jajka, a krowy dawać mleko. PiS policzyło, że straci sporo głosów z powodu tych wiatraków. Stąd te 700 m jako kompromis. Ale tu przecież chodzi o przetrwanie świata. A na dodatek o pieniądze od Unii. Problem w tym, że zmiany klimatyczne to dla wiejskiego elektoratu PiS mroczny, tajny spisek.

Ciekawa refleksja w świetnej książce Kacpra Pobłockiego „Chamstwo” o chłopach, o polskim ludzie w dawnych czasach, które rzutują na dzień dzisiejszy: „Dziś definiujemy siebie poprzez autentyczność. Staramy się tak dopasować naszą obecność w przestrzeni publicznej, aby wyrażała wewnętrzne, prywatne »ja«. W świecie przed przekroczeniem progu współczesności nikt w ten sposób nie myślał. Nikt nie chciał być »sobą«. Wszyscy byli zamaskowani”. Nadal teraz nosimy maski, ale zarazem prawie wszyscy staramy się być sobą, często nie wiedząc do końca, co to takiego.

Sto lat prof. Krawczuka

Był niezwykłym popularyzatorem wiedzy o antyku, pośłem, ministrem, czarującym telewizyjnym gawędziarzem

Leszek Konarski

Na cmentarzu Rakowickim w Krakowie pożegnaliśmy w miniony piątek, 3 lutego, prof. Aleksandra Krawczuka, nestora polskich historyków, wielkiego znawcę starożytności, byłego ministra kultury. Każda jego książka: „Poczet cesarzy rzymskich”, „Poczet cesarzy bizantyjskich”, „Pan i jego filozof” czy „Cesarz August”, była wydarzeniem na rynku księgarskim. Miliony widzów z zapartym tchem oglądały cykl telewizyjnych filmów „Antyczny świat profesora Krawczuka”. Historię Grecji czy Rzymu opowiadał w sposób barwny, żywy, prosty, zrozumiały i prawdziwy. Żył sto lat i siedem miesięcy.

Pożegnaliśmy też przyjaciela PRZEGLĄDU. Nasz tygodnik profesor czytał od lat. Znał świetnie Jerzego



Prof. Krawczuk skarżył się, że czytelnicy zadają mu jedno i to samo pytanie: co trzeba robić, aby żyć tak długo i być tak sprawnym jak on.

Domańskiego, Jana Widackiego, Bronisława Łagowskiego, Andrzeja Romanowskiego i Roberta Walenciaka. Był i dla mnie wielkim autorytetem. Gdy wzburzony wpadałem do jego domu i mówiłem, że znowu przeczytałem jakiś idiotyczny artykuł na temat interpretacji najnowszej historii Polski lub odkrycia przez IPN kolejnego nowego bohatera, kazał mi usiąść, proponował koniaczek, bo to dobre na serce, i spokojnie mówił, że nawet tysiąc dobrze opłacanych przez rząd historyków nie zmieni dziejów Polski, prędzej lub później przemówią fakty i dokumenty.

W ubiegłym roku, z okazji ukończenia przez prof. Krawczuka stu lat, 7 czerwca miasto Kraków urządziło

mu w pałacu Krzysztofory, siedzibie Muzeum Krakowa, huczne urodziny, w których także uczestniczyłem. W głównym holu otwarta została wystawa „Aleksander Krawczuk, Sto lat...” z wieloma zdjęciami i pamiątkami z prywatnych zbiorów profesora, jego książkami, odnaczeniami, maskotkami, maszyną do pisania. W Sali Miedzianej o jubileacie mówili prezydent Krakowa Jacek Majchrowski, krakowscy profesorowie i dr Michał Niezabitowski – dyrektor Muzeum Krakowa, jego były student. Odbędzie się również premiera filmu „Kto wiedzy szuka, czyta Krawczuka” w reżyserii Ewy Świąś-Kucybały. A potem był bankiet, dużo dobrego wina, potrawy zimne i ciepłe, desery.

Brakowało tylko... samego Krawczuka, który zaniemógł. Było już za późno, aby urodziny odwołać, bo takie uroczystości planowane są dużo wcześniej, więc toasty z życzeniami zdrowia były wznoszone zaocznie. W Krakowie wszystko jest możliwe, nawet urodziny bez jubilatą.

Spacerkiem po Krakowie

Aleksander Krawczuk jak nikt inny związany był uczuciowo z Krakowem. Urodził się w kamienicy na Rynku Głównym, w której dzisiaj znajduje się restauracja Wierzynek. Cały czas udawał, że gdyby stolica Polski nadal była w Krakowie, to w Polsce byłoby dużo lepiej. Na lewo i na prawo sypał anegdotami i wszystkie dotyczyły Krakowa, nawet te zasłyszane w Warszawie przerabiał na krakowskie.

Codziennie rano wychodził ze swojego domu przy ulicy Antonia Stawarza, niedaleko kopca

Krakusa, i szedł do centrum miasta, aby sprawdzić, czy wszystkie zabytki są na swoim miejscu. O godz. 10 spotykał się z profesorami w hotelu Grand przy Sławkowskiej i te spotkania, na których dowiadywał się, co słychać w mieście, w polityce, na uczelniach, nazywał „kawiarnianą akademią nauk”. O godz. 11 był już w kawiarni księgarni Matras na Rynku Głównym, gdzie miał zarezerwowany dla siebie stolik. Chwilę po wejściu profesora zjawiał się kelner z kieliszkiem dobrego koniaku „od szefa”, na serce. Wkrótce dosiadali się czytelnicy, nie tylko jego książek, młodzi autorzy, z każdym chętnie rozmawiał. Potem długo w tej księgarni przeglądał wszystkie nowości, a koło południa robił to samo w składzie takich książek na Grodzkiej 50. Ku przeżaleniu żony Barbary niemal codziennie przynosił do domu nowe książki, których nie był w stanie przeczytać, i mówił, że nie ma sprawy, na każdą z nich przyjdzie odpowiedni czas.

Kilka razy towarzyszyłem prof. Krawczukowi w jego wędrówkach po krakowskich księgarniach i antykwariatach, podziwiając jego orientację na temat tego, na której półce może być coś ciekawego. Sporo książek kupiłem za jego namową i, co ciekawe, nigdy nie zaproponował mi żadnej książki historycznej. Najczęściej radził kupić coś z dziedziny filozofii, obyczajów, medycyny. Gdy sam nabył podręcznik do nauki języka chińskiego, wyjaśnił, że język chiński jest mu potrzebny wyłącznie do ćwiczenia pamięci.

Recepty na sto lat

Prof. Krawczuk skarżył się, że czytelnicy jego książek, zamiast pytać o cesarzy rzymskich, zburzenie Kartaginy czy Koryntu, bez przerwy zadają mu jedno i to samo pytanie, co trzeba robić, aby żyć tak długo i być tak sprawnym jak on. Wtedy przypatrywał się osobie zadającej pytanie i oceniał jej wiek, w czasie publicznych spotkań zaś sprawdzał, czy na sali nie ma małaolatów, i recytował: „Moją niezawodną receptą na długowieczność są trzy czynniki: alkohol, książki i seks. Alkohol – bo pobudza krążenie, książki utrzymują szare

komórki w jako takiej formie, a seks to dar bogów, dla przyjemności”.

Natomiast dla znajomych miał trochę inne lekarstwa. Wybitny krakowski poeta Józef Baran, gdy się dowiedział, że prof. Krawczuk zmarł, dożywszy niemal 101 lat, tak napisał na swojej stronie w internecie: „Kiedyś pytałem go, jaka jest recepta na długie życie. Twierdził, że umiejętność cieszenia się z sukcesu innych, niezazdrośczenie im (bagatela!), pogodny, życzliwy stosunek do ludzi, jako rodzaj otwartości, dalej – dobre geny, szczęśliwe zbiegi okoliczności historii i przypadków (że nie spada Ci na głowę dachówka albo bomba). Kolejna recepta – mieć świadomość, że już wszystko, co jest – było w starożytnej Grecji czy Rzymie, czyli utrzymywać dystans do własnych przeżyć, do własnego życia. Pan Aleksander ten dystans miał, był właścicielem skarbu nieocenionego, czyli poczucia humoru, nie tylko na temat bliźnich, własnej żony, ale i siebie. Raz obwieścił, że zakupił dla żony jej upragnione futro... a właściwie książkę o futrach. Spotykaliśmy się w księgarni Matras, gdzie codziennie bywał. Tytułował mnie zawsze Panem Poetą”.

Nie będę ukrywał, że też o to samo pytałem. Wtedy profesor podszedł ze mną do jednego z regałó

w Matrasie i zaproponował mi kupno książki „Bez pośpiechu” Carla Honorégo, kanadyjskiego dziennikarza mieszkającego w Londynie, jednego z twórców ruchu Slow. Po jej przeczytaniu będę wiedział, że receptą na długie życie jest zachowanie spokoju i pamiętanie o łacińskiej zasadzie *festina lente*, śpiesz się powoli.

Bezpartyjny lewicowiec

W latach 1986-1989 prof. Aleksander Krawczuk był ministrem kultury i sztuki w rządach Zbigniewa Messnera i Mieczysława Rakowskiego, potem od 1991 do 1997 r. sprawował mandat posła w I i II kadencji Sejmu z ramienia SdRP. Całe życie był człowiekiem lewicy, choć nigdy do żadnej partii politycznej nie należał.

Pamiętam, że wielu twórców bardzo dobrze oceniało go jako ministra kultury, nie doprowadzał do konfliktów, z szacunkiem traktował ludzi pióra, malarzy, reżyserów. Zlikwidował podział na literaturę krajową i emigracyjną, nie było autorów zakazanych. Miał oczywiście wpadki, bo któż ich nie ma. Chociażby groteskowa historia ze spowodowaniem z Ukrainy zwłok Stanisława Ignacego Witkiewicza – minister Krawczuk przypuszczał, że w trumnie przekazanej przez Rosjan ▶

Żegnamy Profesora

Aleksandra Krawczuka,

wybitnego historyka starożytności i popularyzatora antyku, autora wielu książek, związanego z Iskrami od kilkudziesięciu lat, przyjaciela naszego wydawnictwa, serdecznego i życzliwego. Zostanie w naszej pamięci jako człowiek niezwykle, mądry, dobry i szlachetny.

Wyrazy szczerzego współczucia składamy
żonie Barbarze
i synom, Wojciechowi i Marcinowi.

Prezes Wydawnictwa Iskry Wiesław Uchański z zespołem

► mogą być zwłoki kogoś innego, ale uroczystości pogrzebowe w Zakopanem były zorganizowane na tak wielką skalę, że nie odważył się odwołać pogrzebu. Potem okazało się, że w trumnie były szczątki młodej Ukrainki, a nie Witkacego.

Wspomniany już Józef Baran napisał w internecie: „Niektórzy uważali, że był ministrem nie wtedy, kiedy należało, ale ja uważam, że w każdych czasach potrzebny jest dobry minister kultury. Był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, czyli kompetentnym ministrem kultury”.

Potem wiele razy Aleksander Krawczuk zabierał głos w ważnych sprawach. Gdy zapytałem go, co sądzi o zawieszeniu krzyża w sali obrad plenarnych Sejmu, odpowiedział: „W Ameryce żadne prawo nie zabrania powieszenia krzyża w sali obrad Kongresu, a jednak nikt nie wpadł na pomysł, aby go tam zawiesić, gdyż szanuje się poglądy wszystkich obywateli, nie tylko katolików. Obrońcom krzyża zasiadającym w ławach sejmowych powiedziałbym, że istota chrześcijaństwa tkwi nie w kulcie symboli, ale

w czynieniu dobra, w wybaczeniu i niepopisywaniu się religijnością” (PRZEGLĄD, nr 46/2011).

Na moje pytanie, dlaczego jako historyk nie poparł grupy opozycjonistów, którzy w czerwcu 2012 r. w krakowskim kościele Salezjanów urządzili głodówkę, domagając się zwiększenia liczby lekcji historii w szkołach, powiedział: „Czy będą tygodniowo dwie, czy nawet cztery godziny więcej, to nic nie da, bo w tych głodówkach chodziło o czasy nam współczesne, a dokładnie o nauczanie »naszej historii«, mówiącej o osiągnięciach solidarnościowej opozycji w walce o demokrację i w obaleniu komunizmu. Jest rzeczą zrozumiałą, że każdy człowiek pragnie, aby o nim uczono w szkołach, ale nauczanie o »naszych bohaterach«, i to bez perspektywy czasowej, nie jest historią. Nauczanie historii polega na tym, że daje się pewną panoramę dziejów ludzkości i umieszcza się swoje czasy w ciągu wydarzeń. Skoro jest to głównie o nas, o naszych osiągnięciach, o naszym bohaterstwie, nie jest to historia, ale zwykła

propaganda lub publicystyka” (PRZEGLĄD, nr 23/2012).

Unia jak Imperium Romanum

Prof. Krawczuk nie pisał książek o czasach nam współczesnych, ale zawsze powtarzał, że Unia Europejska przypomina mu wielkie Imperium Romanum, choć nie możemy zapominać, że Rzymianie do dobrobytu i praworządności doszli poprzez morze przelanej krwi. Rzym upadł i teraz Europa odrodziła się pod postacią Unii Europejskiej.

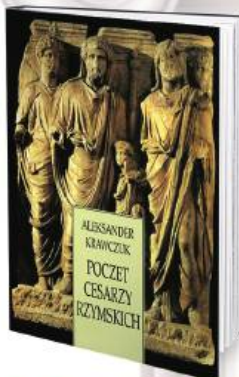
I na koniec ciekawostka. Rok przed wejściem Polski do Unii, w kwietniu 2003 r., mój redakcyjny kolega Robert Walenciak zapytał prof. Krawczuka, jakie ma marzenia. Usłyszał: „Obecnie moim marzeniem jest, bym umarł jako obywatel Unii Europejskiej z euro jako moją monetą w kieszeni” (PRZEGLĄD, nr 17/2003). Minęło 20 lat, a my dalej mamy w portfelach złotówki.

Żegnamy Cię, Profesorze, dużo nas nauczyłeś.

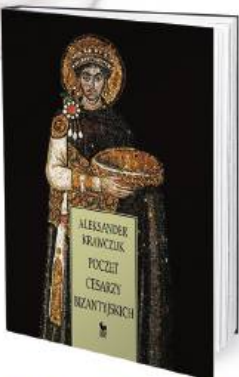
Leszek Konarski

CZYTAJCIE KSIĄŻKI ISKIER





POCZET CESARZY RZYMSKICH
Aleksander Krawczuk



POCZET CESARZY BIZANTYJSKICH
Aleksander Krawczuk



POCZET CESARZOWYCH RZYMU
Aleksander Krawczuk

ZAJRZYJ NA: www.iskry.com.pl

 [Wydawnictwo Iskry](#)

 [wydawnictwoiskry](#)



Szaleni, bezczelni, lekkomyślni

Każdy niemal reżyser
przez całe życie
robi wyłącznie jeden film.
O sobie

VALERIA BRUNI TEDESCHI

– francusko-włoska aktorka filmowa i teatralna, reżyserka

Rozmawia Mariola Wiktor

Kino przyniosło ci międzynarodowy sukces i rozpoznawalność, ale twoją pierwszą miłością pozostaje teatr.

– Nadal regularnie występuję na scenie. Nie ma dnia, w którym nie wspominałabym człowieka, od którego wszystko się zaczęło: francuskiego reżysera teatralnego, operowego i filmowego Patrice’a Chéreau. Był pierwszą osobą, która zobaczyła mnie w sposób, w jaki chciałam być widziana. Odkrył mnie dla mnie samej. Nauczył czerpać radość z porzucenia konwencji. Na planie filmu „Hotel de France” była scena, w której nie mogłam przestać się śmiać. Patrice tego nie przerwał i nie wyciął potem w montażu. To było wyzwalające uczucie i dało mi więcej pewności i wiary w siebie, zaufania moim instynktom.

„Forever Young”, twój najnowszy film, czerpie z osobistej historii. Powracasz w nim do pierwszych doświadczeń zawodowych z połowy lat 80. w legendarnej szkole teatralnej Patrice’a Chéreau i Pierre’a Romansa, Les Amandiers w Nanterre.

– To była bardzo niekonwencjonalna szkoła. Doświadczaliśmy tam przyjemności zacierania granicy między życiem a sceną. Nie było czwartej ściany, mogliśmy swobodnie chodzić, zachowywać się. Chodziło nie o grę, udawanie czegoś, ale o bycie na scenie. Szkoła ta jednak miała też ciemną stronę: wszechobecność narkotyków. Heroina i kokaina krążyły wśród wykładowców i studentów. W tamtym czasie istniało także wiele innych niebezpieczeństw, np. AIDS, ale nie baliśmy się. Byliśmy bardziej szaleni, beczelni, lekkomyślni, mniej przejmowaliśmy się reputacją. Z drugiej strony to była kultowa i elitarna szkoła. My, studenci, spotykaliśmy Michela Piccoliego, Catherine Deneuve, Gérarda Depardieu, Luca Bondy’ego itd. To było ekscytujące! Ta historia jest opowiedziana z punktu widzenia

dziewczyny, Stelli, która jest trochę taka jak ja.

Co dziś pozostało z dziewczyny, która studiowała w Les Amandiers?

– Gdyby nie było luster, nie dostrzegłabym żadnej różnicy! Moje dążenie zawsze było takie samo: najważniejsza jest prawda. Staram się zachować szczerość wobec postaci. Nienawidzę uprzedzeń. Kiedy przychodzę do teatru na próbę lub na plan filmowy, ekscytuje mnie moja niewiedza na temat bohaterów. Chcę je dopiero odkrywać.

Jaki był Chéreau?

– Wnosił niesamowitą energię. Miał określony chód, rytm w sposobie mówienia, który sprawiał, że nawet powietrze się zmieniało. Ale film nie jest biograficzny. Louis Garrel, który gra Chéreau, nie przedstawia go dokładnie takim, jakim był. ▶

Valeria Bruni Tedeschi – ur. w 1964 r. Znana z udziału w takich filmach jak „Królowa Margot”, „Zwariować ze szczęścia”, „Kapitał ludzki”, „Martwe wody”. „Forever Young” to czwarty film, który sama wyreżyserowała i w którym zagrała. Laureatka aktorskich Cezarów z 1997 i 2017 r. Zasiadała w jury konkursu głównego na 54. MFF w Berlinie.

► To raczej moje wspomnienie. Postrzeganie Chéreau lub jego mit, jaki wytworzyliśmy w jego szkole, jako jego uczniowie, zamiast tego, kim był naprawdę.

Czy nie traktujesz swoich młodych aktorów trochę jak swoje dzieci?

– Mam dla nich ocean miłości. Tego uczył nas Patrice. Kocham ich, bo to kruche istoty, bardzo wrażliwe, potrzebujące wsparcia i zaufania. Wstuchuję się w nich, czerpię siłę z ich energii, pomysłów, ale zostawiam sobie prawo do ostatecznych decyzji jako reżyserka.

Pytam o to, ponieważ prywatnie dość późno doświadczyłaś siły instynktu macierzyńskiego.

– Po 40. roku życia razem z moim partnerem zdecydowaliśmy się na adopcję dziewczynki z Senegalu. Dziś ma osiem lat. I młodsze go braciszka, także adoptowanego chłopca z Wietnamu. To były jedne z najwspanialszych decyzji w moim życiu. Wreszcie wydoroślałam... Zyskałam przeciwwagę dla mojej pracy i dystans do niej. Stałam się bardziej kompletną osobą, znalazłam równowagę. Nie uważam, że kobieta musi biologicznie urodzić, by się spełnić. Co więcej, szanuję kobiety, które nie decydują się na posiadanie dzieci. Jestem przeciwna społeczeństwu, które sprawia, że kobiety czują się winne z powodu tego, że nie chcą mieć dzieci.

Spółeczeństwo odwraca się od starszych kobiet. To rażąca niesprawiedliwość.

Jesteś dobrą matką?

– Nie wiem, ale staram się nią być. Wiem, jak ważne jest dla każdego z nas to, czy był w dzieciństwie dostatecznie kochany przez rodziców. To zostawia piętno na całe dorosłe życie.

Jaki powinien być więc świat, w którym chciałabyś, żeby dorastała twoja córka?

– Choć Céline jest jeszcze młoda i niekoniecznie chce zostać aktorką, to wiem, że czarnym aktorkom dużo trudniej jest znaleźć pracę. Mam

znajomą aktorkę, która pochodzi z Senegalu i ma problemy ze znalezieniem pracy. Czarnym kobietom nadal przydziela się stereotypowe „role czarnych kobiet”. To, co mogę zrobić we własnym zakresie, to dać czarnym kobietom lub kobietom z Afryki Północnej niestereotypowe role w moich filmach. Céline zagrała już w „Letnim domu”, dziewczynkę, której rodzice się rozstają. Jednak fakt, że została adoptowana, odnosi się do czegoś, co jest kluczowe dla filmu – poczucia porzucenia.

Co sądzisz o parytecie płci?

– To skomplikowane. Mnie bytoby wstyd, gdyby moje filmy były pokazywane w Wenecji, w Cannes i na innych festiwalach tylko dlatego, że jestem kobietą, a przecież jesteśmy

Różnice płci są w aktorstwie, ale i w życiu, szczególnie wyraźne, jeśli chodzi o wiek.

równie utalentowane jak mężczyźni. Różnice płci są w aktorstwie, ale i w życiu, szczególnie wyraźne, jeśli chodzi o wiek. Mężczyzna, który się starzeje, jest w porządku – jest nawet postrzegany jako atrakcyjny, ale starzejąca się kobieta jest odrzucona. Znajduje to odzwierciedlenie w społeczeństwie, które odwraca się od starszych kobiet. To rażąca niesprawiedliwość.

Doświadczasz niepokojów w związku z upływem czasu?

– W wieku 30 lat byłam niespokojna, podobnie jak w wieku 20 i 40 lat. Zawsze miałam lęki związane z upływającym czasem, nawet wcześniej. Zadawałam sobie tysiące pytań. Nie byłam wcale wolna, nie podążałam za swoimi pragnieniami. Żyłam wiele lat, nie słuchając siebie. Dziś nie mam już nic do stracenia, ale przez bardzo długi czas, z poczucia winy, ze strachu, nie żyłam pełnią życia. Wielu ludzi jest takich jak ja.

Niejedna aktorka marzyłaby o pracy z takimi ikonami kina jak Chéreau, Chabrol, Ozon, Spielberg, Bellocchio, Virzi, Dumont. Tymczasem zdumiało mnie, kiedy powiedziałas w jednym z wywiadów, że brakuje ci pewności siebie.

– Ależ to prawda! To również jeden z powodów, dla których nie próbowałam nigdy przebić się za oceanem. Poza tym nie jestem symbolem seksu i smukłą blond pięknnością o regularnych rysach. A jakby tego było mało, wszyscy ci wspaniali reżyserzy doskonale wiedzą, że trzeba mnie dyscyplinować na planie. Mam trudny do okiełzania temperament. No ale ten brak pewności siebie to także plus. Popycha mnie do większej pracy, sprawia, że nie grozi mi rutyna.

Jesteś przyrodną siostrą Carli Bruni. Czy nadal się wspieracie?

– Im jestem starsza, tym nasza więź staje się mocniejsza. Był taki czas w naszym życiu, że kiedy Carla została francuską pierwszą damą, a jej mąż i mój szwagier Nicolas Sarkozy prezydentem, rozpętało się prawdziwe szaleństwo medialne wokół naszej rodziny. Przy tej okazji ja też zaczęłam budzić większe niż zwykle zainteresowanie prasy i paparazzich. Właściwie

zapomniano, że jestem aktorką i reżyserką, która ma własną pracę, cele, ambicje, sukcesy i życie. Zaczęłam funkcjonować wyłącznie jako siostra Carli. W zasadzie wszystkie moje wywiady zaczynały się od pytań o siostrę. Odmawiałam odpowiedzi, bo uważałam i uważam nadal, że Carla ma prawo do prywatności. Mogę jedynie potwierdzić, że szczerze wspieram ją jako autorkę tekstów piosenek i wokalistkę. Jestem jej fanką, zwłaszcza jeśli chodzi o propagowanie poezji Emily Dickinson. Carla zresztą od dziecka kochała śpiewać, w domu pełno było jej gitar i rozrzuconych wszędzie nut.

Twoje dzieciństwo było niezwykle.

Wychowywałaś się w zamożnej, arystokratycznej rodzinie włosko-francuskich artystów i ludzi biznesu.

Twój debiut filmowy „Łatwiej jest wielbłądowi...” dedykowałaś temu okresowi życia.

– To były magiczne lata. Mieszkaliśmy we Włoszech, w najprawdziwszym zamku. Antyki, stare obrazy, wielkie, kryształowe żyrandole, kamerdynerzy. Godzinami można było bawić się u nas w chowanego. Kiedy odkryłam, że nie wszystkie dzieci tak mieszkają, byłam w szoku. Rodzice



Forever Young

kochali sztukę i nas nią zarażali. Wizyty w teatrze, operze, filharmonii to był cotygodniowy rytuał i przyjemność. Tata był kompozytorem operowym, a mama aktorką. Szybko więc każde z naszej trójki rodzeństwa odkrywało swoje pasje. Gitara to była obsesja Carli, nasz brat Virginio zakochał się w fotografii, a ja całe dnie spędzałam na czytaniu. Pewnie dlatego dość wcześnie zafascynował

mnie teatr. Ten piękny czas zakończył się, kiedy tata zdecydował o przeniesieniu się całej rodziny do Francji. Miałam wtedy dziewięć lat. W latach 70. włoskie Czerwone Brygady rozpoczęły akcję napadów i porwań dla okupu członków zamożnych włoskich rodzin. We Francji było bezpiecznie.

Legenda francuskiego kina Catherine Deneuve ma wizerunek zimnej

gwiazdy, ty raczej udręczonej i kruchej aktorki.

– Catherine Deneuve nosi w sobie chłód pełen obietnic kruchości. Tak bym to ujęła. U mnie natomiast jest odwrotnie. Pod pozorami wrażliwości jestem silna. Tak naprawdę moja kruchosc jest fałszywa.

Masz jakieś zawodowe marzenia?

– Nie jest to nic konkretnego. Chciałabym zagrać w filmie niemym... Dałoby mi to lepszy kontakt z samą sobą. A jako reżyserka? Interesują mnie i pociągają nadal filmy inspirowane moim życiem i życiem moich bliskich, przyjaciół, znajomych. Tutaj nie muszę niczego udawać, wymyślać. To moja przestrzeń, coś, co znam, czuję i rozumiem najlepiej. Tak naprawdę uważam, że niemal każdy reżyser przez całe życie robi wyłącznie jeden film. O sobie. I nie ma przy tym znaczenia, czy sam w nim się pojawia, czy nie. Woody Allen z jego autoironią to najlepszy przykład. Zawsze był, jest i będzie moim nieodcignionym mistrzem. W kinie. Tak jak Patrice Chéreau w teatrze.

Mariola Wiktor

KSIAŻKI

Tadeusz Olszański

Było, minęło, zostało w pamięci

Wydawnictwo Studio Emka, Warszawa 2022

Książka prowadzi przez najciekawsze zdarzenia sportowe, polityczne i kulturalne ostatnich 70 lat. Autor przywołuje postacie z całego świata, z którymi się spotykał i przyjaźnił, oraz niezapomniane wydarzenia, jak wyjazdy na olimpiady, na których był korespondentem.



Wojsko

Historia wojskowa. Bezpieczeństwo Polski

redakcja naukowa Janusz Gmitrut, Tadeusz Skoczek

Wydawnictwo Naukowe Muzeum Niepodległości, Warszawa 2022

Obszerny zbiór studiów ofiarowanych z okazji 70. urodzin prof. Tadeuszowi Paneckimu, pułkownikowi Wojska Polskiego w stanie spoczynku, historykowi wojskowości dziejów najnowszych, szczególnie II wojny światowej.

Michael Farquhar

Się porobiło!

Pechowe dni w historii

przeł. Radosław Kot

Rebis, Poznań 2022

Kłęski, przypadki pecha i katastrofy związane z każdym dniem w roku. Od utraty 30 mld dol. przez udziałowca Apple, przez eksperyment indyjskiego szacha z wczesną formą viagry, po zalanie całej dzielnicy melasą. Autor opisuje ciąg nieszczęść, które po latach jednak bawią.



KURTYNA W GÓRĘ

Psychogra w zabijanego

To nie zabawa towarzyska, ale gra na śmierć i życie. U Albeego przypadkowi młodzi goście stają się początkowo świadkami rozgrywki starszych o pokolenie gospodarzy, potem wciągani są do toksycznej psychogry. W Teatrze Ochoty dwie pary z akademickiego osiedla to młodzi polscy równolatki. Psychodrama wiąże ich od początku. Goście, Skarbie (Irmina Liszkowska) i Mikołaj (Paweł Janyst), najpierw przyglądają się niepewnie, ale szybko wchodzą w tę grę. Spadają maski, wszyscy wszystkich dręczą, trwa psychiczny negliż, w którym rej wodzą gospodarze, Marta (Malwina Laska-Eichmann) i Jerzy (Krzysztof Oleksyn). Trudny do teatralnego opanowania tekst, rzadko sprawdzający się na scenie, dzięki precyzyjnym skrótom i drobnym fastrygom okazuje się idealnym materiałem do ukazania psychicznych udręk ludzi, którzy, wiążąc się ze sobą, nie przewidywali, jak życie może się skomplikować.

Od dawna wiemy, także za sprawą głośnego filmu z udziałem Elizabeth Taylor i Richarda Burtona, że to przede wszystkim walka gospodarzy na przewagi, a tak naprawdę na śmierć i życie. Muszą w niej przegrać, walcząc do upadłego, choć w Teatrze Ochoty na koniec pojawia się isierka nadziei – widać, że ci młodzi naprawdę się kochają.

Tomasz Miłkowski



Edward Albee,
„Kto się boi Virginii Woolf”,
tłumaczenie Jacek Poniedziałek,
reżyseria Anna Skuratowicz,
Teatr Ochoty,
premiera 21 stycznia 2023



W kosmicznym pojeździe

W poszukiwaniu atrakcyjnych tematów teatr coraz częściej wybiera paranaukowe fikcje. W spektaklu z angielskim tytułem „The Employees” (Pracownicy) nie ma naukowców, są tylko zwykli śmiertelnicy i ich biologiczne kopie, czyli inteligentne roboty. Wysłano ich w kosmos, aby badali – co? Oni raczej kłócą się, spiskują, knują i uprawiają seks, choć tego im nie wolno. Ale podglądać astronautów można.

Bronisław Tumitowicz

Olga Ravn, „The Employees”, tłumaczenie Bogusława Sochańska,
reżyseria Łukasz Twarkowski, Teatr Studio, premiera 21 stycznia 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI

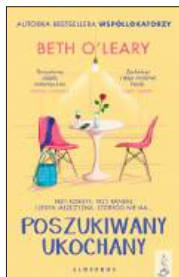
Beth O'Leary
Poszukiwany ukochany

tłum. Małgorzata Stefaniuk
Albatros, Warszawa 2023

Jeśli na widok swojego chłopaka przecinasz linę, na której wisisz, uznaj, że los cię ostrzega. Żadna to przenośnia, jedna z bohaterki uprawia emocjonujący zawód chirurga drzew – ich przycinanie wysokościowe. Związana jest z panem niemal idealnym. Joseph Carter byłby chodzącą doskonałością, gdyby się nie spóźniał. Ale głębszą rysą na tym wizerunku wydaje się jego dość rozciągliwe serce.

Czytadelfo w nastroju walentynkowym, wzruszające i rozbawiające – przy czym jest to humor życzliwy – podkreśla wartość przyjaźni. Ta zresztą i miłości się przysłuży. Zranieni, nieszczęśliwi ludzie, którzy opancerzają się na różne sposoby i ukrywają bólowe miejsca przed innymi i przed sobą, wcale nie stają się przez to silniejsi.

Aleksandra Pańko



NA EKRANACH

Chleb i sól

reż. Damian Kocur,
prod. Polska, już w kinach

Robotnicze miasteczko. Blokowisko. Większość tam została. Żyją na miejscu, pracują w fabrykach, kopalniach. Czasami ktoś stamtąd się wyrwie. Tymoteusz opuścił rodzinne strony, wyjechał na studia do Warszawy. Ma szansę zrobić karierę muzyczną jako pianista klasyczny. Latem wraca, ale zaczyna widzieć, że już tu nie pasuje. Damian Kocur opowiada historię, którą można by odnieść do wielu z nas. Historię ludzi, którzy w jakimś sensie zawsze czuli się niedopasowani; ostatecznie zdecydowali się na wyjazd, ale zarazem uparcie do domu wracają i konfrontują się z tym, czego zawsze tak bardzo się wstydzieli i przed czym uciekali. „Chleb i sól” to jednocześnie opowieść o biernym przyzwoleniu na agresję, która na wielu polskich osiedlach stała się normą i jest wymogiem przynależności do grupy. Warto pamiętać, że brak reakcji na przemoc to zgoda na nią – zdaje się mówić Kocur w swoim przenikliwym i wyrazistym debiucie.

Mateusz Demski



Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Wyrwani z historii

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł Radostawa S. Czarneckiego „Litwiniec i kundlizm” (PRZEGŁĄD, nr 4/2023) przypominający piękną sylwetkę Bogusława Litwińca i oddający mu sprawiedliwość.

Ten syn wołyńskiego leśnika, który jako 14-letni chłopiec trafił do Kłodzka, a następnie na studia do Wrocławia, zapisał ważną kartę w historii polskiej kultury. Wpisał się wyraziście w dzieje polskiego ruchu studenckiego, który po odwilży październikowej 1956 r. stał się zjawiskiem wyjątkowym, i to w wymiarze europejskim. Działające wówczas pod egidą Zrzeszenia Studentów Polskich kluby studenckie w głównych polskich miastach akademickich, takie jak Bim-Bom w Gdańsku, STS, Hybrydy i Stodoła w Warszawie, Pstrąg w Łodzi, Piwnica pod Baranami w Krakowie czy też Pałacyk we Wrocławiu – żeby wymienić tylko te najważniejsze – stały się pepiniarą bardzo oryginalnej kultury studenckiej, która wydała całą plejadę wybitnych indywidualności, i to zarówno artystów, jak i animatorów kultury – od Cybulskiego, Kobieli, Fedorowicza, poprzez Osiecką, Markuszewskiego, Młynarskiego, Koftę, Rosiewicz, Demarczyk, Skrzyneckiego, Dymnego, po Drozdę i Kaczmarka – by nie ciągnąć już dalej tej litanii nazwisk wspaniałych artystów.

W tym ruchu pierwszorzędną postacią był Bogusław Litwiniec we wrocławskim środowisku akademickim, twórca Teatru Kalambur. Miałem przyjemność poznać go w senackiej Komisji Kultury, przyjaźnić się z nim przez lata i poświęcić mu rozdział w jednym z tomów mojej „Kresowej Atlantydy”.

Ale przyszedł czas, że wszystko, co wiąże się z dziejami m.in. ZSP, jest zapomniane, marginalizowane, a zdarza się, że i szkalowane. Proces ten dotknął również pamięć o Bogusławie Litwińcu.

Przed kilku laty poprawiacze historii Polski, na polecenie których burzy się coraz to nowe pomniki, a z budynków zrywa i wyrzuca na



złom tablice pamiątkowe z epoki PRL, uczynili to z tablicą, która była umieszczona w 1979 r. na klubie studenckim Pałacyk we Wrocławiu, gdzie mieściła się pierwsza siedziba legendarnego Teatru Kalambur. Na szczęście syn Bogusława, Michał Litwiniec, uratował tę tablicę i zdołał ją zabezpieczyć przed przetopieniem.

Jak zatrzymać ten proces dewastacji pamięci o ważnych zjawiskach w kulturze i życiu społecznym z okresu PRL oraz o ludziach je tworzących? Ostatnio w Opolu nocą, po kryjomu, na polecenie prokuratora z IPN odcięto w centrum miasta tablicę, która w 1973 r. została

umieszczona na skwerze, upamiętniając 30-lecie Ludowego Wojska Polskiego. Stało się to w dzielnicy Zaodrze, gdzie mieszka przynajmniej kilkuset byłych żołnierzy zawodowych Wojska Polskiego i ich potomków.

W ostatnich miesiącach nasilił się też proces likwidacji pomników żołnierzy Armii Czerwonej. Może nie byłoby to aż tak szokujące, ale jednocześnie trwa proces renowacji, a niekiedy i przystrajania girlandami kwiatów pomników żołnierzy Wehrmachtu, które zachowały się na Opolszczyźnie. Przy obecnym nachalnym fałszowaniu oficjalnej historii Polski można dojść do przekonania, że Opole, Wrocław, Zielona Góra czy Szczecin stały się po 1945 r. miastami polskimi nie dzięki żołnierzom Armii Czerwonej i polskim żołnierzom z armii Berlinga i Świerczewskiego, ale dzięki żołnierzom Wehrmachtu, którzy oddali te miasta „wspaniałomyślnie”, a nie po ciężkich walkach. Z jednej strony, mamy pietyzm odnoszący się do pomników żołnierzy niemieckich, a z drugiej – gruzowiska i puste place po pomnikach żołnierzy radzieckich.

*Stanisław Sławomir Nicieja,
Opole*



www.wydawnictwomg.pl



SOR

– miejsce, które przyciągaśmy

Nasz system ochrony zdrowia dramatycznie trzeszczy
i te trzaski słyszą wyraźnie nawet osoby
zupełnie niezwiązane z branżą

Yanek Świtała

Szpitalny oddział ratunkowy powinien być miejscem, do którego trafiają ludzie w stanie nagłego zagrożenia życia i zdrowia, czyli z urwanymi rękoma czy zatrzymaniem krążenia. W ostateczności, jeśli w okolicy nie ma porodówki, możemy przyjąć na świat nowego obywatela. W założeniu chodzi więc o opiekę nad ludźmi, którzy są już jedną nogą po drugiej stronie, względnie obiema nogami, ale mamy jeszcze

jakikolwiek szanse ich stamtąd wyciągnąć. I – owszem – raz na jakiś czas zdarzał się dyżur, kiedy miałem samych takich pacjentów. Byłem wtedy naprawdę zadowolony, mimo że były to zazwyczaj bardzo ciężkie zmiany. System ochrony zdrowia powinien działać jak lejek, który ma odpowiednie filtry. Jesteś przeziębiony, to w pierwszej kolejności powinieneś trafić do lekarza rodzinnego (a najlepiej wyleczyć się sam). Boli cię kolano – to również idziesz do lekarza rodzinnego i tam dostajesz skierowanie do ortopedy (termin za

kilka miesięcy, ale dostajesz). My, jako SOR, jesteśmy na samym dole, mamy łapać pacjentów, którzy wymknęli się całej reszcie.

To oczywiście tylko teoria – według raportu NIK 60% pacjentów SOR-u nigdy nie powinno do nas trafić. Nie jest to wyłącznie polska specyfika, ale u nas to problem systemu. Załóżmy, że jesteś lekarzem rodzinnym i masz pacjenta, który potrzebuje szybkiej diagnostyki, np. tomografii w ciągu maksymalnie dwóch dni. Nie ma w naszym systemie ochrony zdrowia takiego

miejsca, więc wysyłasz go na SOR, bo wolny termin w poradniach czy przychodniach jest dopiero za pół roku. Żaden lekarz nie będzie ryzykował zdrowiem pacjenta i postępował zgodnie z teoretycznymi założeniami systemu, bo system ma gdzieś zarówno lekarza, jak i chorego. Większość pacjentów nigdy nie powinna dostać skierowania na SOR, ale dostaje i nikt nie ma pomysłu, co z tym zrobić. Jeszcze gorzej, gdy ktoś swoje nagłe zagrożenie zdrowia czy życia diagnozuje sam. (...)

Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale SOR z założenia nie ma być miłym miejscem. My, czyli personel, i cały dostępny sprzęt medyczny – to wszystko powinno być skoncentrowane wyłącznie na ratowaniu życia i zdrowia w ciężkich, nagłych przypadkach. A wygląda to zupełnie inaczej – codziennie w pracy mamy do czynienia z absolutną patologią systemu, co jest efektem wszechobecnej katastrofy w ochronie zdrowia. Istnieje taka dziedzina jak medycyna katastrof – dotyczy wojny, kataklizmu czy klęski żywiołowej albo wypadku komunikacyjnego, w którym mamy dziesiątki ofiar. Tam z góry zakłada się wiele kompromisów, poczynając od tego, że nie uda się wszystkich uratować. O katastrofie mówimy wtedy, kiedy mamy zbyt wielu „ciężkich” pacjentów i zbyt niewielu medyków, żeby realnie można im było pomóc w krótkim czasie. Z góry zakładamy, że sytuacja nas przerasta i kluczowa jest segregacja na tych, których można uratować, którzy rukują, i na tych, których de facto skreślamy.

Problem w tym, że to w Polsce dzieje się na co dzień – taką tezę postawiłem publicznie już kilka lat temu, a kryzys tylko się pogłębia i nie ma żadnej nadziei, że cokolwiek z naszego życia się zmieni, chyba że dojdzie do jakichś poważnych rozruchów społecznych. Dajmy na to, że na jedyny oddział ratunkowy w mieście, z niepełnym personelem, przyjeżdżają dwie osoby

z zatrzymaniem krążenia. Resuscytację robimy wtedy jednocześnie, ale jak wjedzie trzeci taki delikwent, to już brakuje ludzi. Ktoś musi wziąć głęboki oddech i szybko zdecydować, jak to ugryźć. I wtedy np. o tych dwóch najbardziej rukujących biją się doświadczone, trzyosobowe zespoły, a do ratowania osoby z rozsiały procesem nowotworowym woła się jako trzeciego studenta, żeby się uczył. Kiedy zdarzą się trzy udary w tym samym czasie, to przychodzi lekarz neurolog i na podstawie swojej wiedzy, doświadczenia



My, jako SOR, jesteśmy na samym dole, mamy łapać pacjentów, którzy wymknęli się całej reszcie.

oraz wytycznych decyduje, kto na diagnostykę pojedzie pierwszy, kto drugi, a kto ostatni. To znowu zależy od dostępnego personelu i sprzętu. Mówimy tu o opóźnieniu rzędu 20 minut, pozornie niewiele, ale dla tej osoby to może stanowić ogromną różnicę – np. będzie miał później tylko niedowład ręki albo nie będzie już nigdy samodzielnie chodził.

Nasz system ochrony zdrowia dramatycznie trzeszczy i te trzaski słyszą bardzo wyraźnie nawet osoby zupełnie niezwiązane z branżą. Potem dochodzi do takich bulwersujących sytuacji, o których słyszymy w mediach – pacjenci zmarli na izbie przyjęć po wielu godzinach

oczekiwania na badanie. Oczywiście każdy przypadek jest inny, ale znając specyfikę systemu, jestem w stanie sobie wyobrazić, że lekarz miał 10 bardzo potrzebujących i do tego jednego niezdecydowanego, lekceważącego swoje zdrowie i nadużywającego – nie tylko spożywczych – trunków, który chce się leczyć, a za 5 minut już nie chce. W gazetach taki pacjent to zawsze dobry chłopak – przeprowadzał staruszki przez ulicę i nawet do mszy służył. A na SOR-ze widać agresywnego, kompletnie pijanego człowieka, który samodzielnie oddycha i wszystko na niebie, ziemi i kardiomonitorze wskazuje, że personel może zajmować się innymi ludźmi, a potem okazuje się, że jednak miał sepsę. (...)

Jako ratownik zajmowałem się na SOR-ze segregacją ludzi pod kątem pilności ich przypadków, byłem odpowiedzialny za to, żeby mój oddział mógł uratować jak najwięcej ludzi w jak najkrótszym czasie, dając nadzieję przeżytkim. Pomagał mi w tym wewnętrzshpitalny system triaż, oparty na tzw. wytycznych Manchester. Pacjenta zawsze oceniamy, biorąc pod uwagę trzy najważniejsze układy

– oddechowy, nerwowy i sercowo-naczyniowy wraz z mechanizmem urazu lub zachorowania. Do tego dochodzi ocena bólu i gotowe – pacjent zostaje przydzielony do jednej z pięciu grup. Grupa czerwona to pacjenci w stanie bezpośredniego zagrożenia życia – dostaną natychmiastową pomoc albo przepadną. Pomarańczowi to tacy, którzy wymagają pomocy pilnej, na jej udzielenie mamy 10 minut – z otwartym złamaniem albo poważnym urazem. Żółty pacjent to np. taki z bólem w klatce piersiowej od trzech godzin albo ubytkami neurologicznymi – może czekać do godziny. Masz silny ból brzucha, miejscowy obrzęk, ranę do ▶

► szycia – jesteś zielony i pomoc powinnaś otrzymać w ciągu dwóch godzin. I wreszcie status niebieski – to właśnie wtedy, gdy jesteś smutny, boli cię dupa od tygodnia albo noga po niemieckim postrzale z 1943 r. O kolejności przyjęcia do lekarza decyduje stan kliniczny, a nie to, kto pierwszy do nas przyjechał, w jaki sposób (karetką czy prywatnie) i w jakich okolicznościach doszło do urazu. Może więc się zdarzyć, że kibice Legii po „ustawce” z fanami Widzewa albo pijany w sztok kierowca, sprawca śmiertelnego wypadku, będą dla nas priorytetem.

Jeżeli przyjeżdżasz na SOR samodzielnie, najpierw dostrzegasz rejestratorkę – to pierwsza zapora, mająca zatrzymać ludzi zwracających nam dupę. Musisz się zarejestrować, bo każda wizyta musi zostać zapisana w systemie, a żeby nie robili tego

piersiowej, to najczęściej będzie zgaga. Ale może się okazać, że ten chłopak nie zdradzi, że jest po kilku ciągach amfetaminowych i dostanie nagle zawału serca, który nie wyszedł jeszcze w EKG, straci przytomność i zejdzie w tej poczekalni – i to ja mam wtedy problemy.

Długi czas oczekiwania rodzi oczywiście kolejne konflikty. Przyszedł kiedyś do nas koleś z opłikiem w oku. Zająrałem, ale niczego tam nie znalazłem, więc musiał poczekać na okulistę. Dał japę jak opętany, że czeka sześć godzin, a ci, którzy przyszli po nim (ale z innymi problemami!), zostali już przyjęci. Próbowiałem mu wytłumaczyć, że okulista w tej chwili operuje, a zgodnie z segregacją pacjentów on znajduje się w tej kategorii, która może poczekać dłużej. Wydzierał się na mnie i wszystkich dookoła, że segregacja to była

cię pociąg albo jesteś kierowcą kopyarki, w którą pierdolnął pociąg (miałem taki przypadek!), to zbiera się tzw. *trauma team* – konsylium, w skład którego wchodzi anestezjolog, neurochirurg, chirurg i ortopeda. Oni razem podejmują decyzję odnośnie do tego, co będzie dla ciebie najlepsze. Tak to wygląda w teorii, w praktyce panuje istny festiwal psychologii. Najpierw zawsze obrażuje się głowę na tomografii komputerowej i jak tylko są pierwsze skany, to neurochirurdzy mówią albo „uff”, albo „o ja pierdolę”. Potem zaczyna się przepychanka i pierwszy lekarz mówi: „Dobrze, może on ma obrzęk rdzenia kręgowego, ale większym zagrożeniem jest krwawiąca śledzioną”. A chirurg na to: „Śledzionę mu wytniemy i za 15 minut będzie mógł trafić na neurochirurgię”. Ortopeda mówi: „No, może już nie będzie nigdy klęczał, bo ma złamane kolano, ale tym też nie ma się co przejmować, bo jeżeli dojdzie do przerwania albo permanentnego ucisku na rdzeń kręgowy, to i tak nie będzie chodził, nie?”. I tak to działa w większości miejsc. (...)

Idąc na dyżur na SOR, naprawdę nigdy nie wiem, co może się wydarzyć. Nikt z nas nie spodziewa się sytuacji, że autobus spadnie z mostu albo gdzieś wybuchnie bomba czy gaz w bloku. A może to jest właśnie błąd, bo kto inny, jeśli nie my, ma być przygotowany na takie sytuacje? Gdyby doszło do katastrofy tej rangi, to kluczowe byłoby najpierw rozdzielanie pacjentów. Ci ze złamanymi rękami, nogami i innymi takimi pierdołami powinni trafić do najbliższego szpitala. Wszyscy pacjenci w stanie ciężkim, wymagający bloków operacyjnych, powinni być rozrzućeni po szpitalach w okolicy, w zależności od ich specjalizacji. I my na takim konkretnym SOR-ze dostajemy informację, że za pięć minut przyjadą dwie karetki z dwoma rozjebanymi osobami. Tyle jest w stanie realnie przyjąć większość SOR-ów, na więcej nie ma miejsca. Kiedy będziemy się zajmować tymi ludźmi, to staną się nasi i będą w tej chwili najważniejsi. (...)

Paradoksalnie stany najtrudniejsze są najprostsze w tym sensie, że wtedy wszyscy wiedzą, co mają

Większość pacjentów nigdy nie powinna dostać skierowania na SOR, ale dostaje i nikt nie ma pomysłu, co z tym zrobić.

ratownicy – robią to właśnie te panie. Oczywiście jeśli wejdiesz na oddział z własną ręką pod pachą, to będziesz rejestrowany niejako w locie, czyli w trakcie akcji ratunkowej. Ale jeżeli masz obie ręce, to siedzisz i czekasz. Gdy w końcu trafisz do mnie, na podstawie twoich parametrów, stanu zdrowia, twoich obciążeń, ale też korzystając z własnego doświadczenia i poniekąd trochę intuicji, szóstego zmysłu, ustalę, czy możesz dalej czekać kilka godzin, czy nie. W idealnym świecie powinien zostać zbadany od stóp do głów, w praktyce zmierzone zostaną tylko parametry krytyczne (których jest relatywnie niewiele), aby wykluczyć stan bezpośredniego zagrożenia życia. Po selekcji czekasz dalej na wizytę u lekarza, ale ja, oprócz tego, że oceniam stan zdrowia kolejnych pacjentów, powinienem cały czas monitorować zarówno ciebie, jak i wszystkich innych pacjentów znajdujących się na korytarzu, czy nie dzieje się coś niepokojącego. Bo gdy przychodzi do mnie młody łepek i mówi, że go lekko kłuje w klatkę

w Auschwitz i że napisze na mnie skargę. Wziąłem więc kartkę, przybiłem swoją pieczęć i dałem mu, mówiąc: „Proszę, niech pan podpisze, tylko wyraźnie, żebyśmy wiedzieli, z kim mamy później rozmawiać”. Nie podpisał. Z jednej strony rozumiałem go – bolało, a musiał czekać. Ale ani ja, ani inni, którzy przyszli i potrzebowali pomocy, nie byliśmy temu winni.

Jak już odczekasz swoje, to w teorii powinienś trafić do właściwego lekarza. Jeśli po prostu złamałeś kostkę, to nawet średnio ogarnięty internista stwierdzi, czy potrzebujesz prześwietlenia, czy nie, i cię zaopatrzy. Jeżeli masz nasilenie objawów choroby Leśniowskiego-Crohna i dosłownie srasz krwią, to wtedy internista, a nawet lekarz medycyny ratunkowej wezwie na konsultację gastroenterologa, dostaniesz płyny, które delikatnie cię nawodnią, oraz leki przeciwbólowe, a potem zejdzie do ciebie lekarz, konsultant z oddziału, żeby podjąć decyzję, czy wymagasz dalszej hospitalizacji, czy nie. Jeżeli masz urwaną nogę, potrafić



Idąc na dyżur na SOR, naprawdę nigdy nie wiem, co może się wydarzyć.

robić i jakie są dalsze czynności. Jeśli chodzi o personel, to wykorzystujemy maksymalnie to, co mamy. Nigdy w życiu nie spotkałem się z sytuacją, żeby ściągać na SOR dodatkową pomoc. Co z tego, że zadzwonimy po kogoś, jeśli będzie akurat w drugiej pracy? Często zdarzają się sytuacje, że ratownik medyczny przywozi karetką poszkodowanego na SOR na zmianie dziennej, a potem przychodzi do pracy na nocną i dalej się nim opiekuje. Gdyby każdy z nas pracował na etat, to zabrakłoby połowy obsady ratownictwa medycznego w Polsce.

Twoje losy na SOR-ze niestety w niemałej mierze zależą też od szczęścia. Możesz trafić na oddział ze wspaniałymi, kompetentnymi ludźmi, którzy nawet w bardzo trudnej

sytuacji sobie poradzą, ale mogą cię też przywieźć na SOR, na którym nic nie będzie się działo, a i tak trafisz na osoby, które nigdy nie powinny pracować przy żadnym pacjencie. I nie chodzi mi tylko o twoje szanse na przeżycie, ale też o ból, na który pacjent wcale nie musi być skazany. Do tej pory kwestia samodzielnego podawania leków na SOR-ze przez ratowników nie jest uregulowana. Akty prawne w tej materii wzajemnie się wykluczają, do tego dochodzą wewnętrzne regulaminy, które stanowią jeszcze co innego. Może to nie tak, że mam to gdzieś, ale wychodzę z założenia, że pacjenta w XXI w. nie ma prawa boleć, tym bardziej na oddziale, który szczycił się udziałem w słynnym programie „Szpital bez bólu”. Gdy przyjeżdża

do mnie człowiek ze złamaną nogą, która naprawdę go napierdziela, to zgodnie z przepisami najsilniejszym lekiem, jaki mogę mu podać, jest pyralgina – kompletnie nieadekwatna. Taki pacjent powinien być z automatu zaopatrzony opiatami, najlepiej morfiną. Konsekwencje takiej decyzji są takie, że powinien być wówczas pod ciągłą obserwacją, bo mimo że to bezpieczny lek, to w jednym na 10 tysięcy przypadków mogą się zdarzyć silne wymioty albo bezdechy. Powinniśmy go więc posadzić obok na fotelu i cały czas monitorować, ale przecież nie ma takiej możliwości, bo zaraz leciś gdzie indziej. (...) Nie potrafię patrzeć, gdy pacjent cierpi w sytuacji, w której naprawdę nie jest to konieczne. Dlatego podaję mu te leki, żeby złagodzić ból, co pomaga zresztą przy gojeniu, a także sprawia, że człowiek mniej się awanturuje, a to nie jest bez znaczenia.

Kiedyś podałem dziewczynie z kolką nerkową (boli bardziej niż poród) pyralginę i poszedłem na górę do lekarza dyżurnego, ten wyskoczył na mnie z mordą, że mi tego nie podbije i że kim ja jestem, żeby samodzielnie podawać leki. Wiele osób po jednej takiej akcji położyło sobie uszy i już nigdy nie zrobiło nic z własnej inicjatywy, aby ulżyć

pacjentowi podczas oczekiwania. Trochę mnie to ruszyło, ale – prawdę mówiąc –

miałem go w dupie. Było mi już wtedy wszystko jedno, czy ktoś mnie zwolni, czy nie, to był sam środek pandemii. Zresztą zawsze byłem pyśkaty, więc wziąłem dokumentację, wpisałem: „Podano bez zalecenia lekarskiego”, podpisałem własną pieczęcią i gotowe. Potem były przez to jakieś problemy formalne, skończyło się tak, że karta została zniszczona, powstała nowa i tamtą już podpisał inny lekarz, żeby wszystko się zgadzało.

Największym problemem ratownictwa medycznego jest coraz większy rozdźwięk między naszymi ludzkimi możliwościami a nawałem pacjentów, którzy przez ten nieszczelny lejek „wlewają się” tam, gdzie nigdy nie powinni trafić. Pracowałem kiedyś na SOR-ze, który nie może paść ▶

▶ i nigdy nie padnie, bo po prostu w jednym z największych polskich miast zabrakłoby elementarnej opieki. Tylko co z tego, że mój oddział miał niejako specjalny status, skoro w tym samym czasie zamknięto dwa inne SOR-y w okolicy i ludzie walili do nas drzwiami i oknami. (...)

Podczas jednego z takich dyżurów na triażu zaliczyłem wtopę, która mną wstrząsnęła. Z dzikiego tłumu pacjentów wychwyciłem trzech

sińce, których nie widziałem. Zauważyłbym je oczywiście, gdybym zbadał tego człowieka od stóp do głów, tak jak powinienem, tak jak napisano w podręczniku akademickim, a nie rzucił na niego okiem i stwierdził, że wszystkie kończyny są razem, normalnie oddycha, parametry są w normie i nic go nie boli. Tylko że naprawdę nie miałem na to czasu, bo dosłownie latałem pomiędzy piętrami, zajmując się życiem

sprawy, które nie tylko trwają lata, ale też często są odkopywane po latach. Dokumentację medyczną przechowuje się przez trzy dekady, czyli jeszcze w 2052 r. będzie można wyciągnąć moje karty z wczorajszego dyżuru. Naprawdę kiedy pracowałem na SOR-ze, bałem się, że kiedyś pójść siedzieć za to, jak działa, albo raczej nie działa, system ratownictwa medycznego w Polsce i to był jeden z głównych powodów, dla których zrezygnowałem z tej pracy.

Drugi ważny powód stanowiła moja nienawiść do antyszczepionkowców. Te ameby wkurwiają mnie na maksa, za to, co zrobili nam wszystkim, i za to, co ja sam musiałem przez nich przejść. Przed kolejną falą covidu stwierdziłem, że nie będę ryzykował swoim życiem dla ratowania ludzi, którzy są tak głupi, że mają to i tak w dupie. Wtedy naprawdę większość tych ludzi, którzy trafiali do szpitali, to byli foliarze. A głupi człowiek ma często głupią rodzinę. Ktoś mógł się zaszczepić i przejść chorobę ciężko, ale jednak przeżyć, ale się nie zaszczepił, podjął taką decyzję i umarł. Wtedy taka głupia rodzina szuka dziury w całym, bo to przecież my go

Pacjenta w XXI w. nie ma prawa boleć, tym bardziej na oddziale, który szczycił się udziałem w programie „Szpital bez bólu”.

pomarańczowych, ale przegapiłem czwartego. Nie dlatego, że coś spałem, że byłem niedouczony albo na kacu. Po prostu pacjentów było zbyt dużo, ponad siły jednego człowieka, i wtedy stwierdziłem, że to, jak wszystko wygląda w praktyce, nie spełnia już żadnych norm bezpieczeństwa. Skategoryzowałem tego pacjenta jako zielonego, czyli wyszło, że spokojnie mógł czekać jeszcze dwie godziny. Na całe szczęście lekarka wzięła go szybciej z tłumu, bo się wyrobiła, i wszystko potoczyło się tak, jak powinno się potoczyć – nie trafił pod skrzydła lekarza za późno. Ten pan został potem przekazany na salę obserwacyjną i tam jego stan zaczął się bardzo mocno pogarszać, niestety finalnie zmarł na oddziale. Na szczęście (dla mnie!) nie z mojego powodu. Popętniłem błąd, który nie miał konsekwencji, bo pacjent zmarłby nawet po kwalifikacji do pomarańczowych. Nie dało się go uratować. Ale zgodnie z kategorią, którą mu przydzieliłem, był zielony i gdyby zatrzymał się na korytarzu po moim badaniu, a przed badaniem lekarskim, to ja ponosiłbym za to pełną odpowiedzialność – w grę wchodziły sankcje zarówno zawodowe, jak i karne. Wtedy nikogo by nie obchodziło, że miałem kosmiczną liczbę pacjentów podczas tego dyżuru, że nie dawałem rady. To, że nie zrobiłem właściwego rozpoznania, według przepisów mnie nie usprawiedliwia. Przecież powinienem był zauważyć

i zdrowiem osób będących ewidentnie w stanie zagrożenia życia.

Co by było, gdyby mi zszedł w poczekalni? Oczywiście jeden prawnik powie tak, a drugi coś całkiem innego. Żyjemy w państwie, w którym jak będzie przykaz, żeby dołożyć medykum (bo np. strajkują), to dla władzy sytuacja, by rzucić pospólstwu kogoś na pożarcie, będzie wymarzona. Ale kiedy będzie taka narracja, jak na początku pandemii, że medycy to bohaterowie,

O kolejności przyjęcia do lekarza decyduje stan kliniczny, a nie to, kto pierwszy do nas przyjechał, w jaki sposób i w jakich okolicznościach doszło do urazu.

to choćby wyrzucił czterolatka z balkonu – i tak zostaniesz uniewinniony. Tak czy inaczej to są długie procesy, które obciążają psychicznie, mimo że dobrze wiesz, że to nie było morderstwo, tylko błąd. Na koniec wypłaca się odszkodowanie, sporadycznie orzeka zakaz wykonywania zawodu, ale to musiałaby być jakaś kardynalna pomyłka, coś w stylu pomylenia pavalonu z pyralginą. Najgorsze jest to, że większość z nas jest na śmieciówkach albo jednoosobowej działalności gospodarczej, a kiedy nie pracujesz, bo jesteś ciągnany po sądach, to nie zarabiasz. A to są

na pewno zabiłszy. I zaczynają się pytania: dlaczego lek został podany w pierwszej dobie, a nie w drugiej, albo dlaczego w drugiej, a nie w pierwszej, albo dlaczego pyralgina dożylnie, a nie w tabletkach itd. (...) Teraz, kiedy jeżdżę w karetce i słyszę, że wieziemy foliarza, zamykam mordę, nie odzywam się, nawet się odwracam, bo nie chce mi się już nikomu tłumaczyć. To są głupi ludzie, widocznie też są potrzebni, choćby po to, żeby student miał się na kim uczyć. (...)

Fragmety książki Yanka Świtaly *Polski SOR. Uwaga, będzie bolało*, Wydawnictwo WAM, Kraków 2022





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Życie jako przeżywanie strat

UWernera Herzoga, którego mam za jednego z największych geniuszy w historii kina, nawet w mniej udanych filmach zdarzały się sceny, by tak rzec, wiekopomne, z niegasnącą żywotnością powracające w pamięci, w przeciwieństwie do wielu krynicznych arcydzieł innych twórców, które zdarza nam się zapamiętywać tylko w ogólnym zarysie. Herzog umie się wwiercać w duszę, nie robił nigdy *feel good movies*, a nawet w tych z pozoru najpogodniejszych dawał do wiwatu scenami cokolwiek dokuczliwymi, jak choćby obraz drepącego ku śmierci pingwina samobójcy w „Spotkaniach na krańcach świata”. W mniej znanej fabule „Tam, gdzie śnią zielone mrówki” opowiada o Aborygenach bezskutecznie próbujących obronić w sądzie kawałek swojej świętej pustyni przed zakusami koncernu górniczego. Podczas procesu jeden z autochtonów zostaje co prawda wysłuchany, ale nie sposób zaprotokołować jego zeznań, dlatego że nikt go nie może zrozumieć. Nikt na całym świecie. Starzec jest ostatnim żyjącym przedstawicielem swojego języka, innym zaś nie włada. Trudno o bardziej dojmujący obraz samotności, a zarazem nieuchronnej i bezpowrotnej straty. Człowiek żyje jeszcze w pamięci swoich bliskich, ale język, którego nie utrwalono w piśmie, umiera całkowicie i ostatecznie. Wedle naukowców co dwa tygodnie ginie jeden z 7 tys. istniejących języków, a połowa z nich jest wyginięciem zagrożona. Lista bezpowrotnych strat ludzkości nie ogranicza się jednak do dziedzictwa niematerialnego. Rozpamiętywanie utraty jest perpetuum mobile melancholików. Niektórym udaje się częściowo powetować to, co utracone, mocą pióra.

Żyć, znaczy przeżywać straty – z tą wiedzą rozpoczęła pracę nad niezwykłym i znakomitą „Spisem paru strat” Judith Schalansky. Książka ukazała się całkiem niedawno w tłumaczeniu Kamila Idzikowskiego nakładem wydawnictwa Ha!art. Niemiecką autorkę nominowano za ten tom esejowatych próz do Nagrody Bookera, co należy uznać za wydarzenie zgoła alchemiczne – suma strat przyniosła czysty zysk. Schalansky występuje uwodzić już słowem wstępnym, krótko katalogując to, co definitywnie przepadło, jak i to, co niespodziewanie zyskał świat w czasie jej pracy nad książką. Od powszechnie znanych

i spektakularnych zniknięć, takich jak zawalenie się Lazurowego Okna u wybrzeży Malty, po mniej znane, lecz niezmiennie przykre wymarcia gatunków (np. ze śmiercią ostatniego samca nadszedł kres nosorożców białych). W tym samym roku naukowcy zaobserwowali jednak na sawannie kilka okazów gołąbeczka białego, od 80 lat uważanego za gatunek wymarły, a także odkryli istnienie osy o szczególnym modus operandi: żądli pająki, aby w ich sparaliżowanych ciałach składać jaja, mrówki zaś masowo zabija po to, by ich zwłokami zaślaniać wejścia do gniazd. Osę nazwano z wyrafinowanym poczuciem humoru *Deutragenia*, bohaterką drugoplanową.

Schalansky wybrała 12 istotnych dla świata zniknięć i wzięła je na prozatorski warsztat, z werwą i dbałością o szczegóły je odtwarzając lub wręcz odbudowując (jak berliński „Czerwony Pałac”, warownię Honeckera – ten konkretny przypadek zresztą dowodzi, że autorka nie opisała wyłącznie strat z perspektywy żałobnej). Z mistrzowską zręcznością wciela się w tygrysa kapijskiego podczas walki na rzymskiej arenie, w przedstawicieli ludu z zatopionego atolu Tuanaki, którzy „nie potrafili zabijać, umieli tylko tańczyć”, w Gretę Garbo po jej dobrowolnym i ostatecznym zniknięciu z ekranów (niepowetowana strata dla kina), ze swadą i swobodą spisuje glosy do zaginionego debiutu Friedricha Murnaua (którego głowa notabene również zaginęła, wykradziona kilka lat temu przez nieznaną sprawcę z grobowca), a także do przepadłych pieśni miłosnych Safony.

Książka jest zarazem nadzwyczaj atrakcyjna jako artefakt, zmyślnie umajona ledwie czytelnymi ilustracjami – ciemnymi na czarnym tle, będącymi jakby powidokami rzeczy utraconych. Schalansky sama projektuje swoje tomy, a czyni to z maestrią równą talentowi literackiemu; jej wydany także u nas „Atlas wysp odległych” został uznany w Niemczech za najpiękniejszą książkę roku. Literatura Schalansky to bez wątpienia czas uzyskany. ■

Co dwa tygodnie ginie jeden z 7 tys. istniejących języków.



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTube i LinkedIn



DEPRESJA

– bunt przeciw neoliberalizmowi

Trudno szukać oparcia w innych ludziach, ponieważ pogłębiają się rozmaite podziały i antagonizmy

Rozmawia Dominika Tworek

Według WHO w 2030 r. depresja będzie najczęściej diagnozowaną chorobą na świecie. Jak należy patrzeć na tę prognozę?

– Mówiąc o prognozach WHO, myślimy o depresji jako o przypadłości, z którą przyjdzie nam się mierzyć w wymiarze medycznym. Przez ostatnie dekady podążamy w kierunku myślenia, że jest to choroba podobna do schorzeń somatycznych. Natomiast w mojej opinii depresja – choć znajduje odzwierciedlenie w procesach biochemicznych i można o niej myśleć w kategoriach choroby – jest zarazem czymś, co mieści w sobie tak wiele znaczeń i doświadczeń natury psychologicznej, że bardzo trudno zredukować ją tylko do takiej dolegliwości jak grypa. Depresja charakteryzuje się zestawem różnych przeżyć. Jest to także szczególny sposób doświadczania rzeczywistości, a więc nie tylko choroba rozumiana jako coś, co przychodzi z zewnątrz.

Gdzie możemy szukać przyczyn powszechności występowania depresji?

– Upatrywałabym ich nie tylko w procesach wewnątrzpsychicznych, ale także w sposobie, w jaki urządziłmy sobie świat – m.in. w rozwoju kapitalizmu, przede wszystkim jego ekstremalnej wersji, jaką jest neoliberalizm. Chodzi o towarzyszącą mu nasilającą się indywidualizację, poczucie braku oparcia w systemach społecznych, pogłębiające się nierówności. Nie do pominięcia jest też kontekst bardzo daleko posuniętej



CVETA DIMITROVA

– filozofka i psychoterapeutka z ośrodka „Znaczenia. Psychoterapia”, współautorka podcastu „Nasze wewnętrzne konflikty”

niepewności, dotyczącej chociażby kryzysu klimatycznego. Depresyjne społeczeństwo jest więc bardziej symptomem tego, co się z nami dzieje na poziomie społecznym, niż zjawiskiem, o którym możemy myśleć w sposób odseparowany.

Coraz gorzej sobie radzimy czy coraz lepiej rozpoznaje się depresję?

– Te dwie rzeczy idą w parze. Faktem jest, że świat psychoterapeutyczno-psychiatryczny posługuje się różnymi narzędziami do diagnozowania depresji. Kryteria te ujęte są głównie w amerykańskiej

„biblii diagnostycznej”, czyli DSM, i zmieniają się z upływem czasu. Przez to, że dziś mamy instrumenty medyczne (które też czemuś służą, bo psychiatra musi się posługiwać jakimiś narzędziami), zarazem zetraca się całe kontinuum, na jakim leży to bardzo jednostkowe doświadczenie. Bo możemy mieć do czynienia z różnymi łagodnymi formami depresji, czasem kojarzonymi z melancholią, przejściowymi i okresowymi spadkami nastroju, ale też z bardzo zaawansowaną i pogłębioną formą choroby, która może

prowadzić do samobójstwa. Proszę zwrócić uwagę, że choć jest wciąż tym samym zjawiskiem, to jego manifestacje i konsekwencje mogą być skrajnie różne.

Jako jedną z przyczyn pogłębiającej się depresyjności społeczeństwa wymieniła pani niepewność.

Dlaczego to tak ważny aspekt?

– Żyjemy w skrajnie niestabilnym świecie, w którym nagromadziło się tak dużo zagrożeń, że jest to trudne do objęcia i przepracowania przez ludzki umysł. Jeżeli dodamy do tego ciężar przekonania, że to od nas całkowicie zależy, czy sobie radzimy, czy nie (na przykład społecznie czy ekonomicznie) i że to na nas spoczywa odpowiedzialność za kryzys klimatyczny, przestajemy szukać sensu tego, co stoi za naszym psychicznym cierpieniem.

Co jeszcze wpływa na naszą skłonność do depresji?

– Niemalże znaczenie ma kwestia atomizacji, czyli rozpadu więzi międzyludzkich wskutek procesów prowadzących do erozji zaufania społecznego, także kładzenie nacisku na rywalizację, konkurencję, która wytwarza potworną presję. Współcześnie bardzo trudno jest szukać oparcia w innych ludziach czy w różnych formach wspólnotowości, ponieważ pogłębiają się rozmaite podziały i antagonizmy. To powoduje nasilające się poczucie izolacji. A im więcej izolacji, tym więcej depresji. W doświadczeniu depresyjnym bardzo mocno obecne jest nie tylko poczucie osamotnienia, ale też głęboki samokrytycyzm – pretensja do siebie, że nie daję rady, że nie jestem w stanie obracać się w kołowrotku, w jakim kręci się świat.

**Żyjemy w kulturze, w którą wpisa-
ne jest przekonanie, że każdy jest
kowalem własnego losu.**

– Należy zadać pytanie, czy „coś jest nie tak” jest z osobą, która cierpi, czy może ze sposobem, w jakim zorganizowane są nasze życia. A może wyznaczone przez nas standardy są czymś skrajnie nieadekwatnym, ponieważ człowiek nie jest istotą całkowicie niezależną od innych. A to „bycie kowalem własnego losu” przekonuje nas, że zależność od innych jest zbyt niebezpieczna.

Czy do prognozy WHO przyczyniają się również globalne zjawiska, które nas wszystkich dotyczą w mniejszym lub większym stopniu?

Mam na myśli pandemię oraz katastrofę klimatyczną.

– To prawda, że niestabilność, w której trudno jest projektować swoją przyszłość, pogłębia doświadczenie depresyjne. Ono charakteryzuje się także pewnym rodzajem niemocy, dotyczącym właśnie braku możliwości myślenia o przyszłości. A właśnie w tym momencie świat jawi się jako miejsce, w którym wcale nie ma bezpiecznej bazy. Pandemia zetknęła nas z poczuciem totalnego braku wpływu, bezradności wobec zagrożenia, które przychodzi z zewnątrz. Zwykliśmy myśleć o sobie jako o osobach sprawczych, a nagle okazało się, że jednostka wcale nie może się oprzeć na sobie. Że są sprawy, z którymi nie można sobie indywidualnie poradzić. Że potrzebny jest cały system społeczny,

raportów, zamieniliśmy je w statystykę.

– Przeżywanie tego jako statystyki może być próbą poradzenia sobie z różnymi trudnymi uczuciami związanymi z utratą, żałobą czy szeroko rozumianym smutkiem, na które nie było miejsca we wspólnej przestrzeni.

Jakie społeczne konsekwencje przyniesie to, że zamietliśmy te trudne emocje pod dywan?

– Może pogłębić różne antagonizmy, które już od dawna w Polsce funkcjonują, nasilić społeczną polaryzację. Jeżeli udajemy, że czegoś nie ma, to prędzej czy później gdzieś się to odzywa. Może być zarzewiem stanów depresyjnych albo prowadzić w stronę odeagowania, czyli różnych form przemocy. Jeśli nie mamy narzędzi do tego, żeby z tą żałobą wspólnie się mierzyć, być może oznacza to, że jest ona dla nas czymś zbyt trudnym. A jeśli tak jest, prawdopodobnie zamieni się w coś,

W 2030 r. depresja będzie najczęściej diagnozowaną chorobą na świecie.

żeby na ten kryzys odpowiedzieć. Ten trudny i często nieakceptowany przez nas samych aspekt siebie stworzył grunt pod to, żeby konstruować sobie różne sposoby radzenia, czego przykładem jest wiara w teorie spiskowe.

Pandemia to również zmierzenie się z ogromem ludzkiego cierpienia.

WHO podaje, że do końca 2021 r. z powodu koronawirusa zmarło na świecie 15 mln osób.

– Ona zetknęła nas z poczuciem utraty. Nie tylko indywidualnej, bo zmarł nam ktoś bliski. My, na szerszą skalę, zderzyliśmy się ze śmiercią. W Polsce – niestety – systemowo nie byliśmy w stanie stworzyć przestrzeni na wspólnotowe doświadczenie żałoby. Mimo że publicznie pojawiały się głosy, aby w jakiś sposób upamiętnić zmarłych, stworzyć symboliczne gesty, które gospodarowałyby zbiorowe emocje, my poszliśmy dalej, jak gdyby nigdy nic.

Mało tego, postrzegaliśmy te śmierci przez pryzmat liczb z rządowych

co przybiera różne formy agresji, także autoagresji. Depresję można również interpretować jako agresję – agresję kierowaną do siebie. Nie zapominajmy, że do tego dołożył się wstrząs w wyniku wybuchu wojny w Ukrainie i napływ uchodźców z Ukrainy, co również może nasilać rozmaite niepokoje.

Żyjemy również w dobie kryzysu klimatycznego. Czy jego świadomość znacząco na nas oddziałuje?

– Bardzo trudno żyć w świecie, w którym jest tak dużo niepewności. Człowiek czuje się szalenie mały i nieistotny w zderzeniu z czymś tak ogromnym jak katastrofa klimatyczna, a zarazem – jako społeczeństwo – zawodzimy, jeśli chodzi o próbę konstruowania narracji wspólnotowych. I nie mówię o tym, żeby one wszystkim odpowiadały, żeby nie było w nich różnic czy dyskusji. Ale o tym, żeby one były i w jakiś sposób opowiadały nam świat. Natomiast my – z powodu olbrzymiego lęku i niepokoju – idziemy w stronę ▶

► konstruowania sobie wąskich, plemiennych opowieści, które w głębokim sensie izolują, dając nam jedynie pozory poczucia schronienia czy bezpieczeństwa. Nie dziwię się, że jest na nie zapotrzebowanie, ale sama zadaję sobie pytania o to, dlaczego tak wielkim wyzwaniem jest dla nas zabieganie o więzi z innymi i co zawiodło, że jesteśmy tak skrajnie osamotnieni.

To, co kiedyś mieściło się w kategoriach „normalnego przeżywania”, coraz częściej postrzegane jest dziś jako jednostka chorobowa.

O co więc powinniśmy zadbać, aby przeciwdziałać temu osamotnieniu?

– Można odbudowywać instytucje, które są źródłem oparcia dla osób zmagających się z cierpieniem psychicznym. W Polsce nieodpłatna czy niskopłatna terapia jest dziś dostępna w bardzo ograniczonym zakresie. To szalenie zaniedbany obszar. Ważne jest też, jak funkcjonują różne inne instytucje, na co kładzione są akcenty w przekazie na poziomie szkolnym. Na ile dajemy dzieciom przestrzeń na wyrażanie ich doświadczeń i uczuć, dostarczając im tym samym poczucia bezpieczeństwa. Dziś nie zastanawiamy się nad tym, czego dana osoba doświadcza lub potrzebuje, a kryterium tego, czy jest z nią dobrze, czy nie, jest to, jakie ma wyniki. Ta koncentracja na wynikach i osiągnięciach – co w ogromnej mierze dotyczy również dorosłych – jest głęboko destrukcyjna, bo siłą rzeczy nie pozwala na doświadczenie różnych stanów, które w efekcie prowadzą do depresji.

Co jeszcze pozwoli nam odbudowywać tę wspólnotowość?

– Powinniśmy tworzyć przestrzenie – dosłownie – gdzie można po coś się zwrócić czy doświadczać przynależności. Dzisiaj bardzo trudno jest o jakiś rodzaj autodefinicji, która dawałaby poczucie bezpieczeństwa czy osadzenia w świecie. Chodzi o przekonanie, że w ramach systemu społecznego spełniam pewną rolę. Że jestem częścią większej wspólnoty. To przyczynia się do tworzenia

stabilnego obrazu tego, kim jestem. Natomiast jeśli tego systemu brakuje, cały obraz mojej pozycji i mojego bezpieczeństwa zależy od tego, co ja sobie zbuduję, a z tym wiąże się ogromne cierpienie.

W budowaniu siebie nie pomaga to, że dziś mamy wręcz nieograniczone możliwości wyboru.

– To ogromne brzemie odpowiedzialności, które polega nie tylko

na tym, że trzeba wybrać, ale że trzeba wybrać najlepiej. To obciążenie może również doprowadzić do stanów depresyjnych, gdyż można chcieć się z tego wylogować. Wycofać z tej konieczności wybierania. W tym kontekście depresję można rozumieć również jako rodzaj sprzeciwu i buntu.

Badania Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego wskazują, że w Polsce na depresję choruje dziś co czwarty nastolatek. Czy winne temu są przyczyny cywilizacyjne, czy jednak większą odpowiedzialność za nie-szczęście swoich dzieci ponoszą

W depresji bardzo mocno obecne jest nie tylko poczucie osamotnienia, ale też głęboki samokrytycyzm – pretensja do siebie, że nie daję rady.

wiecznie zabiegani, obciążeni wy-maganiami wobec siebie, zaniedbujący nastolatów rodzice?

– W tak trudnym świecie bardzo potrzebny jest element nadziei. Stanowi ważny punkt odniesienia. Młodsze pokolenia mogą czuć ogromną dezorientację. Rzeczywistość dorosłych i rzeczywistość dzieci czy nastolatków to są dwa różne światy myślenia o przyszłości. Mam poczucie, że starsze pokolenie było bardzo skupione na tym, żeby w jak najlepszej wierze zagospodarować rzeczywistość ze względu na potrzeby swoich dzieci, a teraz również doświadcza rozczarowania, że jest to niewystarczające, bo kolejne

pokolenie mierzy się już z innego rodzaju problemami.

Czyli o psychiczne problemy młodzieży nie obwiniałyby pani rodziców?

– To, że sygnały o cierpieniu dzieci docierają w sytuacjach, w których jest ono już bardzo zaawansowane, świadczy o tym, że młodszemu pokoleniu trudno jest wyrażać swoje uczucia inaczej. A dla rodziców uważność na to, co te młode osoby czują, jest trudnym zadaniem. Pamiętajmy też, że dorośli także mierzą się z własnymi trudnymi emocjami: lękiem, dezorientacją, przytłoczeniem.

Poza tym młode pokolenie dorasta w zupełnie innym uniwersum. Punktem odniesienia młodych nie jest wąska grupa rówieśnicza, ale cały świat. Do tego z mediów społecznościowych płynie narracja, w której poziom emocji jest bardzo wysoki, a brakuje przestrzeni i czasu na refleksję. W gruncie rzeczy jest to świat, w którym nie można ani popełniać błędów, ani mieć poczucia, że się odstaje. A właściwie jak się jest nastolatkiem, to trudno nie mieć tego doświadczenia. Mam wrażenie, że współcześnie bardzo mało jest źródeł oparcia dla tego pokolenia. Naprawdę trudno jest czegoś się chwycić. Nie ma kanału, w jakim

można dać upust lękowi, przerażeniu, smutkowi czy rozpacz, które mogą być przeżywane.

Z doświadczeniem depresji mierzy się dziś cały świat. Gdzie jest go najwięcej?

– Badania brytyjskiego małżeństwa Kate Pickett i Richarda Wilkinsona pokazują, że najwięcej problemów psychicznych – a depresja wysuwa się tu na pierwszy plan – występuje w krajach, w których są największe nierówności społeczne. Oczywiście nierówności na całym świecie narastają, więc z pogarszającą się tendencją mamy do czynienia w zasadzie wszędzie.

Dominika Tworek

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Dziesiątka kier

Dobrze rozpoznane osiedle to takie, na którym zna się imię każdego psa. Dopiero wtedy osiedle otwiera się jak pudełko. Chyba poznałam imię ostatniego psa, bo osiedle stało się dziwnie ciepłe, jakby zapanował tu mikroklimat. Ale nawet gdyby naraz wyszło 200 psów ze swoich mieszkań, 200 świnek morskich i 50 kilo chomików – i tak nie zrobiłoby się od tego gorąco. I przecież nie dlatego znalazłam ostatnio w nocy dziesiątkę kier – wklejoną w chodnik jak w ramkę.

„Gdzieś musi być pieprzony król!”, pomyślałam. Do szukania przytoczył się sąsiad, który wychodzi ze swoim rysunkowym psem (na jego sierść składa się chaos białych i czarnych kresek). Była godz. 1, nie spodziewałam się towarzystwa. A tu – kolejny pan, majątny terapeuta koni. Z jakąś jakby pianką na smyczy. Pianka piszczy, tak okazuje radość. Chodzimy po błocie. Króla nie ma, ale jest sytuacja. „Czy konie opowiadają panu swoje sny?”, pytam. Terapeuta jest jak pruski żołnierz, mierzy mnie surowo wzrokiem i mówi: „Tak, na swój sposób”.

Wokół nie ma już żadnych kart. Partię uznajemy za nierozegraną. Psy znów dzielą się na trzy i każdy idzie w stronę swojego mieszkania. Mój korytarz pachnie ziołem. Ktoś tu namiennie kopci, czuję się jak w londyńskim bloku, gdzie koleżanka z Polski zamieszkała z muzykiem. Mieli niezłą plantację na balkonie. Thomas czule podlewał swoje drzewka, dzwoniąc jak wielebny złotymi bransoletami, które zaciskały mu się na przegubach. Każdy ma jakiś zapach, który kojarzy mu się z domem.

Przechodzimy z psem przez korytarz i widzę, że naprzeciwko mojego mieszkania wisi karteczka, której tu wcześniej nie było. Właściwie to spora karta, prawie plakat. Napisano na nim brązową kredką wielkimi, koślawymi literami: „Pizzeria Jurka. Wkrótce otwarcie”. Po wejściu do mieszkania daję psu bizona, on je, a ja wracam na klatkę schodową i dopisuję do ogłoszenia zamówienie i swój numer telefonu. Proszę o pizzę ze szpinakiem. Śmieję się zadowolona z siebie. Jest 1.30; włączam w kuchni muzykę, nastawiam wodę na herbatę, opanowuje mnie nocne bezmózgowie. Pływam sobie we własnej głowie, patrzę na

pomarańczowe lampy przy parkingu. W radiu ktoś kogoś kocha, coś tam, coś tam, szklana pogoda, szyby niebieskie, nigdy więcej nie tańcz ze mną i *kiss my neck*. I nagle pukanie.

Otwieram drzwi, a tam zupełnie niezaspany ośmiolatek z białymi loczkami, znaczy sąsiadek z naprzeciwka. W czerwonym fartuszu obsypanym mąką. „Czy zamawiała pani pizzę?”, pyta. „Zamawiałam”, odpowiadam zdumiona. „Z czerwonymi czy zielonymi papryczkami?”. „Z zielonymi”. „Za 40 minut dostawa”.

Jest 1.45. Robię się bardzo głodna. „Co za historia! – myślę. – Prawie stoliczku nakryj się”. Może to przez to zioło? Sąsiad non stop zapewnia mikrodawkowanie, może stąd ten głód? Tymczasem zabieram się do czytania wierszy z nowej książki Miłosza Biedrzyckiego, czas mija szybko, wkrótce pukanie powtarza się i odbieram pizzę. Płacę i daję napiwek za dostawę do domu, zwłaszcza że

cena jest czuła i pełna litości dla osoby piszącej. Sąsiadek żegna się z poważną miną. Pizza ma kształt wielkiego, rozlanego serca i jest doskonała. Takich nocy nie było wcześniej

na tym osiedlu, nawet latem. To tylko dowód na to, że zawsze trzeba poznać imiona – do ostatniego psa. Wtedy dopiero osiedle się otwiera.

Drugiego wieczoru, po dniu ciężkim od trudnych zdań, udaję się do Żabki po makaron. Wchodzę i widzę poruszenie – zarumieniona córka właścicielki i dwie sprzedawczynie rozkładają na półkach towar, są dziwnie podekscytowane. „Ale temu tysemu to chyba paznokcie wyrwałam – śmieje się jedna. – Widziałas ich miny? Ha, ha! Już tu nie wrócą. Aha, i ostrzegłam inne Żabki”. Pytam, o czym mówią, bo się znamy, lubimy. A one, że przegoniły trzech chłopaków, co nabrali se piwa za darmo i wafelków dla smaku. Jeden dostał kopa w dupę, drugi stracił kępkę włosów, trzeci paznokcie. „To straszne! – mówię. – Dzwoniliście na policję?”. „A nie – mówi ta pierwsza. – Nie, oni tu już nie przyjdą”.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY

NEWSLETTER



ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Można to zrobić na stronie tygodnikprzeglad.pl, podając swój adres e-mail, lub dzwoniąc do redakcji, tel.: 22 635 84 10.

Dostając newsletter, co tydzień otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGŁADU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

**BĄDŹMY
W KONTAKCIE!**





Dobrze to zaplanuj

Okolo 20% tego, co jemy, umyka naszej uwadze

Elżbieta Lange

„Co by tu dzisiaj zjeść?”. Stajesz przed lodówką i co zwykle wybierasz? Niekoniecznie to, co zdrowe i dobre dla twojego ciała. Aby wyeliminować jedzenie pod wpływem impulsu, musisz nauczyć się planować zakupy i posiłki na następny dzień. Około 20% tego, co jemy, zwykle umyka naszej uwadze. Mamy tendencję do rejestrowania w swoim umyśle jedynie głównych posiłków. Podjadanie z garnka podczas przygotowywania obiadu, wypita słodka kawa z syropem waniliowym, ciastko w biegu na pocieszenie czy dodanie po dzieciach zupełnie nam umykają. Nie wierzysz? Spróbuj sobie przypomnieć bardzo dokładnie wszystko, co zjadłeś dwa dni temu. Planowanie i zapisywanie pomoże ci podejmować decyzje dotyczące jedzenia, zanim dopadną cię zachcianki. Planowanie da ci wpływ na to, co jesz, zabezpieczysz się dzięki niemu przed nieprzewidywanymi sytuacjami. Planując posiłki, zazwyczaj zaczynasz jeść zdrowiej.

Regularność dostarczanego pokarmu pomoże ci znosić chwilowy głód, dzięki temu przekonasz się, że potrafisz mu się oprzeć. Jeśli masz plan, łatwiej się oprzeć niezdrowym pokusom. Nawet w sytuacji stresowej masz przygotowane jedzenie, nie omijasz śniadania i nie spożywasz śmieciowej żywności, bo umierasz z głodu w przerwie w pracy. Dzięki temu przejmujesz kontrolę nad przebiegiem całego dnia. Skup się na prostych rozwiązaniach. Nie podchodź do planu zbyt ambitnie. Poszukaj prostych, zdrowych inspiracji dla siebie. Miej zawsze pod ręką drobne zdrowe przekąski, takie, które będzie można zjeść w każdej chwili, np. w drodze z pracy, tak by nie wracać do domu na wilczym głodzie.

Pomocne propozycje drobnych przekąsek: garść orzechów lub migdałów, awokado, banan, jajko na twardo, wafle ryżowe, baton z ziaren, pokrojone marchewki, pomidorki koktajlowe, kawałek gorzkiej czekolady minimum 70-procentowej.

Pamiętaj, że porażki determinują dwa czynniki: planowanie

bez działania oraz działanie bez planowania.

REGULARNIE I W RÓWNOWADZE

Sekretem osiągnięcia równowagi i nasycenia jest pilnowanie, aby poziom cukru był zawsze równy, bez wahań w dół i w górę. Co może go zapewnić? Regularne posiłki. Dzięki nim nie będziemy odczuwać napadów głodu czy osłabienia. Większość z nas nie jada w równych odstępach czasu. Zazwyczaj wypijamy jedynie kawę i wychodzimy z domu bez śniadania. Następnie wpadamy w wir pracy i dopiero po południu przypominamy sobie o tym, że nic nie jedliśmy. Organizm zaczyna się domagać składników odżywczych niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania, a ponieważ jesteśmy już bardzo głodni, zjemy o wiele więcej, niż potrzebujemy. Braki energetyczne na pewno nadrobimy z nawiązką. A co się dzieje z poziomem cukru, kiedy po całym dniu głodówki serwujemy ciału wieczorną ucztę?

Zaczynasz jeść. Kiedy już jesteś syty i zadowolony, odczuwasz spokój, mięśnie się rozprężają. Ciało przedstawia się na odpoczynek. Hormony głodu są zastępowane hormonami sytości. Stężenie cukru we krwi szybko rośnie, a ty zaczynasz odczuwać zadowolenie. Niestety, po około godzinie robisz się senny. Dlaczego? Bo cukier zaczyna gwałtownie spadać, najczęściej poniżej optymalnego poziomu, a ty nagle odczuwasz ogromną ochotę na coś słodkiego. Masz poczucie, że jeśli natychmiast nie zjesz czekolady, to się rozpadniesz na kawałki. Co robisz? Oczywiście ulegasz, ponieważ potrzeba natychmiastowego dostarczenia organizmowi cukru jest nieznosna. Uff, działa! Tyle że po godzinie przychodzi kolejny dołek. Nieregularne jedzenie jest bardzo często przyczyną niepohamowanej ochoty na coś słodkiego. Codzienne wahania cukru z czasem prowadzą do nadwagi i cukrzycy typu 2. Jeśli chcesz, aby twój poziom cukru był stabilny, musisz pamiętać, żeby jeść w regularnych odstępach czasu. Do każdego posiłku dodawaj białko i tłuszcz oraz węglowodany złożone, które dają mózgowi energię w trochę wolniejszym tempie, ponieważ są dłużej trawione w układzie pokarmowym.

Większość zdrowych produktów zawiera konkretne witaminy i składniki odżywcze, które znane są z tego, że pomagają zapobiegać spadkom nastroju lub łagodzą ich przebieg.

Nastrój i poziom szczęścia zależą także od kondycji naszych jelit.

Oczywiście to nie oznacza, że są w stanie rozwiązać wszystkie nasze problemy. Czasami musimy przyrzec się bliżej naszym zranieniom i wykonać świadomy wysiłek, aby je zaleczyć. Emocjonalne rany nie zablźnią się za sprawą jarmużu czy awokado. Uważam jednak, że warto również zadbać o odpowiednie odżywianie i wspomagać się tym, czego naprawdę nasze ciało potrzebuje w smutku, stresie czy kiedy jest zmęczone. Oto najważniejsze witaminy i składniki

mineralne, które warto wziąć pod uwagę.

Witamina B

Witaminy z grupy B, w szczególności B₅, B₆ i B₁₂. W połączeniu w kwasem foliowym pomagają regulować nastrój i łagodzić stany

Sekretem osiągnięcia równowagi i nasycenia jest pilnowanie, aby poziom cukru był zawsze równy, bez wahań w dół i w górę.

depresyjne. Jakie produkty je zawierają? Płatki owsiane, szpinak, ryby, jajka, wątróbka, indyk, fasola, orzechy i pestki, drożdże, kielki pszenicy, kasza gryczana, groch, razowe pieczywo, ziemniaki, banany, brązowy ryż, grzyby, natka pietruszki, brokuły.

Kwasy tłuszczowe omega-3

To rodzaj zdrowych tłuszczów nienasyconych, które wspomagają funkcjonowanie mózgu, przyczyniają się do wzrostu nowych komórek nerwowych i pomagają zwalczać uczucie smutku. Jakie produkty je zawierają? Oliwa z oliwek, olej lniany, orzechy włoskie, tłuste ryby pochodzące z zimnych wód, jak łosoś, halibut, śledź, dorsz, makrela, sardynki, oraz owoce morza.

Tryptofan

Aminokwas, który nie jest wytwarzany w organizmie ludzkim, dlatego należy dostarczyć go razem z pożywieniem. Odpowiada za funkcjonowanie układu nerwowego. Pomaga pobudzać wydzielanie serotoniny, neuroprzekaznika zwanego „hormonem szczęścia”. Dzięki niemu łatwiej uwolnić się od chandry w deszczowy dzień. Niedobór powoduje zaburzenia depresyjne, lękowe oraz bezsenność. Jakie produkty go zawierają? Jaja, nabiał, chude mięsa, rośliny strączkowe, banany, wiśnie, awokado, nasiona, orzechy, migdały, otręby, spirulina, drożdże.

Magnez

Magnez jest pierwiastkiem, którego wchłanianie może być utrudniane przez bardzo wiele czynników, w większości cywilizacyjnych, np. stres.

Słabą przyswajalność magnezu mogą powodować także: za mała ilość snu, częste odchudzanie, nadużywanie tabletek przeciwbólowych, antybiotykoterapia, a nawet życie w dużym mieście, gdzie stężenie smogu przekracza normy. Ten makroelement wzmacnia serce

i układ krwionośny, ale działa również uspokajająco oraz wpływa korzystnie na przyswajanie adrenaliny i prawidłowe działanie hormonów odpowiedzialnych za poziom stresu w ludzkim organizmie. Skutecznie zmniejsza dolegliwości z nim związane. Ogranicza nerwowość, co więcej, pomaga ustrzec się przed depresją. Jakie produkty go zawierają? Produkty zbożowe z pełnego ziarna, brązowy ryż, kasze, warzywa liściaste, orzechy, kakao, nasiona i otręby.

PRODUKTY WSPOMAGAJĄCE PRACĘ JELIT

Nastrój i poziom szczęścia zależą też od kondycji naszych jelit. Wpływa ona znacząco na codzienny nastrój, nawet jeżeli jesteśmy zupełnie zdrowi. Duża część emocji jest związana z pracą nerwów w jelitach. Okazuje się bowiem, że ponad 80% serotoniny, hormonu szczęścia produkowanego przez ludzki organizm, powstaje właśnie w komórkach jelit. Dlatego warto spożywać produkty fermentowane, czyli kiszonki, kefiry, jogurty i kombuchę, zawierające probiotyki, które pozytywnie wpłyną na nasz układ trawieny – i w konsekwencji także na nastrój. Poza całą gamą witamin i substancji mineralnych zawierają one także fitochemikalia działające antybiotycznie i przeciwnowotworowo. Ale najważniejszym skarbem jest kwas mlekowy, który wraz z witaminami z grupy B odnawia uszkodzoną błonę śluzową jelit. Działa jak naturalny środek konserwujący jelita. Sok z kiszonej kapusty zawiera bakterie probiotyczne hamujące rozmnażanie bakterii chorobotwórczych i gnilnych w jelitach. ▶

► RÓŻNE PRODUKTY NA RÓŻNE NASTROJE

Produkty kojące smutek

Nie biegnij od razu po czekoladę. Spróbuj zdrowych produktów, które pomagają zapobiegać spadkom nastroju i łagodzą ich przebieg:

Awokado, szparagi, banan, jagody, fasole, kapusta, zielone warzywa,

pieczywo, brązowy ryż, kasze, migdały, kokos, rumianek, rzepa, szparagi, bataty, cebula, czarna fasola, dynia, figi, grzyby.

Produkty redukujące zmęczenie i podnoszące poziom energii

Dla właściwego poziomu energii w naszym ciele bardzo duże znaczenie ma odpowiednie nawodnienie.

dojdzie do ponownego obniżenia po chwilowym wzroście. Irytacja z powodu wilczego głodu może zostać zahamowana dzięki przekąskom, które zawierają węglowodany złożone:

Komosa ryżowa, orzechy, jajka, produkty zbożowe, jak: ciemne pieczywo, kasze, ciemny makaron, płatki owsiane, brązowy ryż; migdały, awokado, jabłko, banan, marchewka, kalafior, gruszka, kapusta, brukiew, woda.

Produkty kojące uczucie nudy

Kiedy się nudzisz, dostarcz swojemu organizmowi takie produkty, które rozbudzą w nim potrzebę działania:

Daktyle, orzechy pekan, pomidory, szpinak, jabłko, bakłażan, ciecierzycy, ogórki, mandarynki, kukinia, ryby, kakao.

nektarynki, płatki owsiane, pomarańcze, naturalne kakao, pomidory, kurkuma, orzechy włoskie, komosa ryżowa, pomidory.

Produkty kojące stres

W tej sytuacji bardzo potrzebujesz witamin i składników mineralnych, które ukoją twoje napięcie:

Buraki, jajka, orzechy, masło orzechowe, owsianka, papryka, por, rukola, ryby, szpinak, ziemniaki, marchewka, komosa ryżowa, ciemne

Dlatego idealnym rozwiązaniem oprócz wody są warzywa i owoce:

Ananas, awokado, imbir, cytryna, ciemnozielone warzywa liściaste, brokuły, jabłko, kalarepa, oliwki, orzechy i nasiona, owoce jagodowe, mango, kakao, woda.

Produkty łagodzące napady głodu

Dzięki tym produktom poziom cukru w organizmie podniesie się do stabilnego i nie



Fragment książki Elżbiety Lange *Emocje na talerzu. Jak odbudować zdrową relację z jedzeniem*, Wydawnictwo Słowne, Warszawa 2021

**Polska Misja
Medyczna**

By rodzić bezpiecznie.
Na całym świecie.

przeznacz 1,5% wpisując **KRS 0000162022**

www.pmm.org.pl

Oto zmora konsula

To zbliża się nieubłagane. To – czyli najważniejsze dla MSZ wydarzenie w roku 2023, wymagające potężnego wysiłku organizacyjnego. Choć, oto paradoks, im gorzej zadanie owo zostanie wykonane, tym bardziej premier, czy też nadpremier Kaczyński, będzie zadowolony. Chodzi oczywiście o organizację wyborów parlamentarnych na przełomie października i listopada.

Tak bowiem jest, że za wybory za granicą odpowiada MSZ. A konkretnie szefowie placówek konsularnych. Czas wyborów to dla nich katanga – organizują komisje wyborcze, muszą zapewnić lokale (nie zawsze jest to konsulat), znaleźć pieniądze na ich działanie, ale przede wszystkim ludzi, którzy w tych komisjach będą zasiadać, co zresztą okazuje się najtrudniejsze. A potem wszystkiego dopilnować.

Jak to się udawało – wszyscy dobrze pamiętamy; te kilometrowe (czyli wielogodzinne) kolejki przed konsulatami czy awantury, że jakieś głosy nie zostały policzone. A będzie jeszcze gorzej.

Z wyborów na wybory rośnie bowiem liczba głosujących za granicą, a obsługujące to wydarzenie siły konsularne się nie zmieniają. W 2019 r. głosowało za granicą 315 tys. Polaków z 350 tys. uprawnionych do wrzucenia karty do urny. MSZ co prawda mówi, że szykuje się na 300-400 tys. głosujących, ale milczy o tym, jak to robi.

Czyżby więc czekała nas powtórka z poprzednich wyborów? I dramatyczne informacje, że tysiące Polaków nie mogły oddać głosu? W 2020 r. były w Wielkiej Brytanii komisje, w których zarejestrowano 18-20 tys. wyborców. W niektórych oddane w niedzielę głosy

liczono do wtorku rano. A były to, dodajmy, wybory prezydenckie, w których liczy się głosy najszybciej.

Pamiętajmy też, że przepisy regulują liczbę członków komisji, określają, że liczyć głosy mogą tylko jej członkowie, i narzucają czas, w którym głosy powinny zostać przeliczone. Już dziś można więc powiedzieć, że taka komisja zwyczajnie nie zdąży.

Może warto pomyśleć o rozpowszechnieniu głosowania korespondencyjnego lub elektronicznego, np. przez profil zaufany? W wielu krajach już tak jest, ale nie w Polsce. Tu PiS ograniczyło możliwość głosowania korespondencyjnego do osób powyżej 60. roku życia lub przebywających na kwarantannie. To oznacza, że tysiące Polaków mieszkających np. w USA, Kanadzie czy Australii nie zagłosują, bo nie pojadą samochodem 1,2 tys. km do punktu wyborczego.

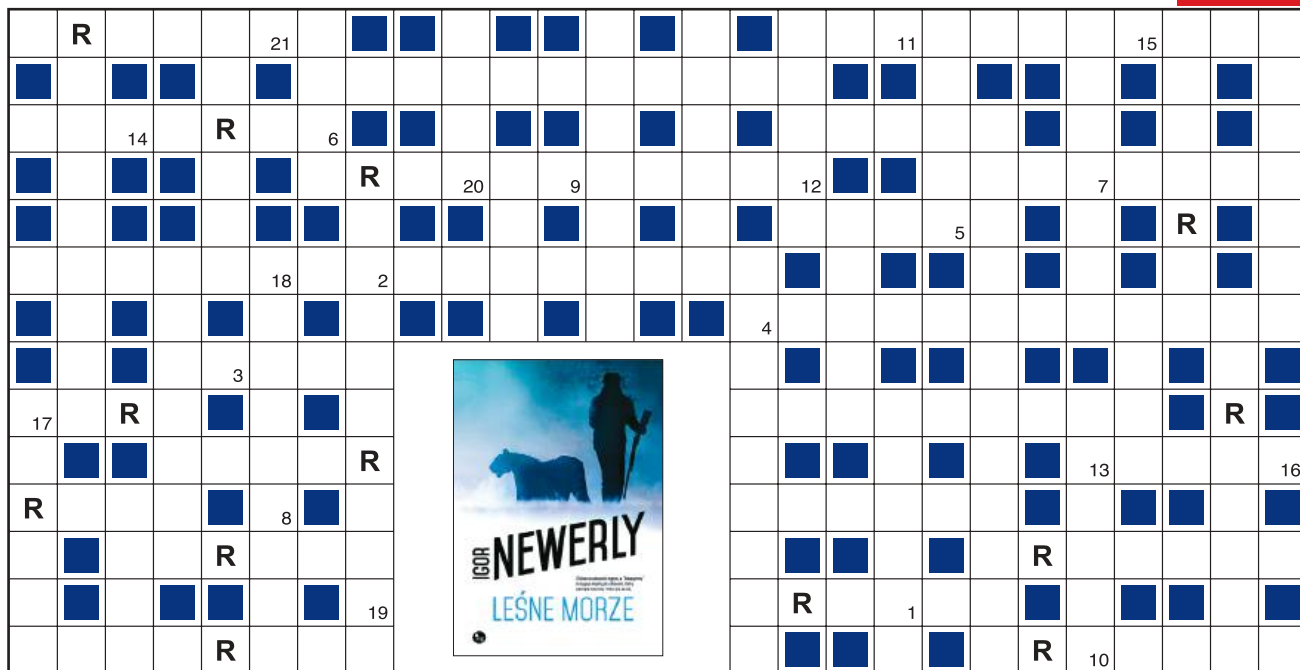
Wszystko zmierza zatem do tego, by ograniczyć możliwości głosowania rodakom, którzy będą za granicą. I MSZ ma do tego przyłożyć rękę.

Powód jest chyba oczywisty – Polacy przebywający za granicą głosują na opozycję. Widać to było w wyborach prezydenckich. W II turze Rafał Trzaskowski zdobył za granicą 308 tys. głosów, Andrzej Duda – 107 tys., wynik brzmiał więc: 74:26. Nawet jeżeli wynik wyborów prezydenckich nie przełoży się na wybory parlamentarne, to i tak wygrana opozycji jest tu pewna. Im mniej będzie więc oddanych głosów z zagranicy, tym lepiej dla władzy. I to jest ten dylemat szefa MSZ i organizujących wybory konsułów – jak zrobić coś, co ma słabo działać, ale tak, żeby nikt nie mógł się przyczepić.

Attaché

Papież Franciszek i prezydent Demokratycznej Republiki Konga Félix Tshisekedi w Pałacu Narodów w Kinszasie, 31 stycznia 2023 r. Następnym etapem papierskiej podróży to sąsiedni Sudan Południowy.





1 2 3 4 5 6 7 8

9 10 11 12 13 14

15 16 17 18 19 20 21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- imię wokalistki jazzowej O'Day
- zaburzenie miarowości pracy serca
- beri-beri albo szkorbut
- rozbić go – wygrać całą pulę
- zagroda dla krowiego przychówku
- przy złej wentylacji zatrucie nim grozi
- jego smokiem Szczerbatek
- ...wojskowe – na poligonie
- waluta Algierii, Serbii
- kraj opływający w bogactwa, raj

- bywa, że biorą górę nad rozsądkiem
- poeta Tadeusz z pokolenia Kolumbów
- ...Wielkopolski, ale w Lubuskiem
- Daszyński, Domeyko lub Gogolewski
- państwo nie tylko na Jawie
- sprawa do załatwienia, przedsięwzięcie
- ważny węzeł Kolei Transsyberyjskiej
- ...jedna miała chłopca z drewna
- pieczone na rożnie
- sprinterka, miotaczka lub tyczkarka

- ucznim ...Krzemieńskiego był Słowacki
- puste miejsce, brak
- dandys, strojniś
- mocowana do niej stalówka
- można kogoś do niej pociągnąć
- ...domowe – życie rodzinne
- przywidzenie, złudzenie
- nadgarstek, kiść
- ulubiony zwierzak
- ciało niebieskie emitujące silne promieniowanie radiowe
- muzyka Floydów i Stonesów
- stadło mu się rozpadło
- zwierzęca tkanka tłuszczowa
- szron na głowie

- „krótsza” drobina ognia
- wypożyczalnie oferują ...karnawałowe
- ...puk
- krokus i przyprawa z niego
- dziobie wiśnie i czeresnie
- opiekunka Zosi w „Panu Tadeuszu”
- dziwiątko z motorniczym
- z Gnieznem, Poznaniem, Kaliszem
- Ignacy Hryniewiecki, a Kordian – niedoszły
- pas materiału u dołu i w szwach ubrania
- komisaryczny lub wspólnoty mieszkaniowej
- ...świętojańskie – dziurawiec

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1103”. Do rozlosowania książki „Leśne morze” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 lutego 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1100” z nr. 3: Miłość ma bystre oczy.

Nagrody otrzymują: Emilia Chołody ze Strzyżowa, Jadwiga Cieślak-Radlicka z Kalisza, Bogusław Nowak z Kłodawy.

PENETRACJE

trybuna

**PROF. TADEUSZ
KLEMENTEWICZ,**
POLITOLOG

Co roku w zimowej scenerii Davos zbiera się Międzynarodówka oligarchii świata i jej politycznych marionetek. Można się zastanawiać, które góry są wyższe: czy majestatyczne alpejskie szczyty, czy góry hipokryzji i zakłamania. Tu się rodzą bajki dla dorosłych o Ludzkości+, zielonym i cyfrowym kapitalizmie. Zawody polegają na tym, by szerokim łukiem ominąć główny problem – problem nieusuwalnej strukturalnej sprzeczności gospodarki kapitalistycznej w obecnej fazie niekompletnej globalizacji.

PANI **AGNIESZKA
GROCHOWSKA,**
AKTORKA FILMOWA
I TEATRALNA

Przez lata jeździłam na wieś i dopiero niedawno zorientowałam się, że chodzę tam zupełnie inaczej ubrana. Kiedy dość dawno temu kręciłam w Kazachstanie film „Stepy”, przywiozłam sobie coś, co nazywa się czepan. To bardzo kolorowe wdzianko, które wygląda trochę jak staropolski żupan i trochę jak japońskie kimono. W restauracjach w Almaty czepany wiszą na wieszaku i można je włożyć, kiedy chce się usiąść na zewnątrz, a jest chłodno. Gdy to zakładasz, czujesz się jak twardy człowiek ze stepu, który wsiądzie na swojego małego konika kazachskiego i pogna przez step. Często na wsi noszę czepan.

VIVA!

MICHAŁ BAJOR,
ŚPIEWAJĄCY ARTYSTA

Nie ma już rewolucyjnych zmian w moim życiu i w dodatku wcale ich nie oczekuję. Jestem zadowolony, bo wiem, że już nic się nie zmieni. Jestem na to za dojrzały. I coraz więcej piosenek, które śpiewam, w końcu rozumiem. Jeśli coś mi się nie podoba, denerwuję się. Kiedyś byłem bardziej choleryczny i potrafiłem się wydrzeć od razu. Teraz nie krzyczę, bo się boję o gardło, że zachrypnę. Wiem, że to jest we mnie niedobre, i tego nie lubię, bo jeżeli ktoś mnie nie uspokoi, lub ja sam siebie, to mój gniew tylko rośnie. Potrafię nagle szurnąć talerzem przy stole. Teraz rzadko, choć kiedyś zdarzało się częściej. Mam to po mamie.

zwierciadło **DAWID PODSIADŁO,**
PIOSENKARZ I AUTOR
TEKSTÓW

Potrzebuję momentów, kiedy nie mówię, tylko słucham. Generalnie mam dwa tryby: pierwszy to stonowany i spokojny tryb samotnika, w którym mogę długo wytrzymać, i drugi – towarzyski entuzjasta. Bo kiedy mam potrzebę spotkania z drugim człowiekiem, to jest ona bardzo silna. Uwielbiam ludzi, uwielbiam rozkminiać, jak są skonstruowani. Dla mnie miłość jest najważniejszą siłą. Każde przeżycie, które mogę dzielić z kimś, ma sto razy większą moc. Z tej perspektywy nie mogę nie powiedzieć, że miłość jest tym, co uratuje nas wszystkich.

Aby język giętki...

JAN KLATA O HAŚLE PIŚ

Słynne hasło „Polska w ruinie” wypełniło się co do joty. Można powiedzieć, że zjednoczony obóz prawicy dotrzymuje słowa.

OLGA LIPIŃSKA O SOLIDARNOŚCI

Tak się złożyło, że w naszym teatrze miałam w Solidarności samych złych aktorów.

MAREK KONDRAT O WOLNOŚCI

Pojawia się wtedy, kiedy przestajemy być zależni od sądów różnych środowisk.

**MONIKA STRZĘPKA
O TEATRZE DRAMATYCZNYM**

Nikt nas nie wsadzi w łufę politycznej armaty i nie będzie nami strzelał do wroga.

**JERZY SKOLIMOWSKI
O PRACY Z OSŁEM**

Zwierzęta nie zadają pytań, nie mają pretensji, nie oczekują pochwał.

**WOJCIECH MALAJKAT
O MARZENIACH**

Marzenia o czymś, czego się nie ma i nie może mieć, są paraliżujące. Są zakładaniem sobie kajdan.

MARIA PAKULNIS O WZORCACH

Jak się wychodzi z zimnego domu, to jest się naiwnym i tak nie się ciepła za wszelką cenę.

JAN HOLOUBEK O PRACOWITOŚCI

Nie daję sobie zbyt wiele wolnego czasu. Późno zacząłem przygodę z reżyserią, musiałem więc docisnąć, żeby nadgonić.

HELENA ENGLERT O WIZERUNKU

Każda zmiana wizerunku jest ryzykowna, nie tylko dla aktora. Gdy kupowałam sałatkę, sprzedawca powiedział do mnie: „Przepraszam, kolego”.

**IWONA PAVLOVIĆ
O POLECANYM NAPOJU**

W naszym domu pijemy kisiel żurawinowy. Bardzo tani i bardzo sycący.



Dwie strusice pokazują swoim pisklętom, jak walczyć. Tę scenę uchwycił fotograf Jannes Drotsky w Parku Narodowym Nxai Pan w Botswanie.



Ktoś na cię dybie, wielorybie

W Japonii spore kontrowersje wywołuje działalność firmy Kyodo Senpaku, która w kolejnych metropoliach stawia... wielorybomaty. Przedsiębiorstwo, zajmujące się połowem tych morskich ssaków oraz przetwórstwem i hurtową sprzedażą mięsa i jego pochodnych, postawiło swoje maszyny w Tokio i Jokohamie, następna ma się pojawić w Osace, a to dopiero początek. W automatach kupić można m.in. surowe mięso do sashimi, steki i bekon z waleni. Moby Dicku, widzisz i nie grzmisz?

Piszczek czy Piszczyk?

Niemale szanse w ewentualnym plebiscycie na Przegranego Roku wydaje się mieć Carlos Clerc, piłkarz hiszpańskiego klubu Elche CF, który nie zaznał smaku ligowego zwycięstwa od 10 kwietnia 2021 r., kiedy jeszcze był zawodnikiem Levante UD. Gdy zdarzało się – rzadko – że jego drużyna wygrywała, on akurat leczył kontuzje. W efekcie zbierał serię 39 niewygranych spotkań w LaLiga z rzędu, bijąc dotychczasowy rekord aż o osiem meczów. Trener znany swego czasu jako Janusz W. pewnie by życzliwie podpowiedział, że tu nie ma co trenować, tu trzeba dzwonić.

Ta karczmą XXX się nazywa

Za pechowca można także uznać programistę Tomasza Stachewicza, który zdecydował się na założenie jednoosobowej działalności gospodarczej. Jej nazwa okazała się podobna do nazwy pewnego klubu wyłącznie dla panów, czego efektem są nieadekwatne i nieraz krępujące uwagi w internecie. Informatyk poinformował na Facebooku, że na portalu z opiniami o pracodawcach znalazł komentarze, że w jego firmie „piwo drogie, bywalcy to stare ciotki, a kanapa w dark roomie się zapada”. Współczujemy, bo z takimi rekomendacjami daleko w IT się nie zajędzie.

Zabawa, że berek się chowa

Naszą galerię ludzi bez furtki domyka 15-letni mieszkaniec Bangladeszu, który bawił się w chowanego i został znaleziony 3,6 tys. km dalej. Fahim ukrył się w kontenerze i na swoje nieszczęście przez przypadek zamknął się w środku, co skończyło się dla niego nieplanowaną i mało komfortową podróżą morską do Kuala Lumpur. Strach myśleć, co mogłoby mu się stać, gdyby zamiast chowanego wybrał pikuty.



CYTATY

KATARZYNA MILLER, psycholożka, psychoterapeutka
Życie to nie szkoła ani fabryka. Nie można ciągle się uczyć, pracować, nawet nad sobą. Rozluźnij się, zrób coś głupiego.
„Wysokie Obcasy”

WOJCIECH MANN, radiowiec
Miałem wrodzoną chęć rozcieńczania głupich lub trudnych sytuacji dystansem i żartem.
„Viva!”

GUSTAVO DUDAMEL, dyrygent wenezuelski
Kultura dla ubogich nie powinna być kulturą ubogą.
„Forum”



Kto mieczem wojuje, bez miecza zginie?

Sąd Apelacyjny w Krakowie orzekł, że entuzjasta starożytnej Japonii, który ranił mieczem swojego krewnego, zbrukał kodeks etyczny samurajów. Mężczyzna, który deklaruje, że żyje zgodnie z bushidō, twierdzi, że działał w obronie własnej, ale nie przekonało to Temidy. Wyrok dla samozwańczego rycerza to półtora roku więzienia w zawieszeniu na trzy lata, 1 tys. zł grzywny i konfiskata broni. Chyba ta ostatnia kara zabolęła go najbardziej, gdyż bushidō nakazuje wręcz obsesyjną troskę o oręż. „Robert B. sam się zhańbił, bo prawdziwy samuraj okazuje miłosierdzie, którego oskarżony nie okazał, atakując kuzyna mieczem. Nie był ani mężny, ani powściągliwy, ani godny, by być prawdziwym wojownikiem, i dlatego miecza z powrotem nie dostanie”, uznał sąd. Żeby to się nie skończyło harakiri.



FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), MEMY GORSZEGO SORTU, POLSKA ORKA POLITYCZNA



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,
Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Władki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: W BKPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Kielich wina, 1658-1662



Mleczarka, 1658-1661



Vermeer w Amsterdamie

Jan Vermeer (1632-1675) mieszkał i pracował w Delft. Jego najbardziej znane prace to spokojne, introwertyczne sceny we wnętrzach, w przesyconej światłem przestrzeni, z postaciami młodych kobiet. W przeciwieństwie do Rembrandta pozostawił niewielki dorobek – ok. 35 obrazów. Ponieważ uważane są za najcenniejsze skarby każdej kolekcji muzealnej, rzadko są wypożyczane.

Nigdy wcześniej nie było tak wielu dzieł Jana Vermeera w jednym miejscu. Na wystawie w amsterdamskim Rijksmuseum będzie można zobaczyć większość jego obrazów z całego świata.

Kobieta z wagą lub Kobieta ważąca perły, 1662-1663



List miłosny, 1665-1670



Rijksmuseum
Amsterdam, Museumstraat 1
od 10 lutego do 4 czerwca



DARIA
Dawczyni szpiku

Zrób to na 1,5%

Pomóż w stu procentach walczyć z nowotworami krwi!

1,5% podatku. Tyle wystarczy, aby wspierać Pacjentów chorych na nowotwory krwi.

Wpisz w formularzu PIT numer **KRS 0000 318 602**

lub pobierz darmowy program do rozliczeń na dkms.pl/1.5procent

Otrzymane fundusze przeznaczymy na wsparcie Pacjentów hematologicznych na każdym etapie leczenia oraz sfinansowanie specjalistycznego sprzętu dla wielu szpitali i klinik hematologicznych w Polsce.

Wspierając nas, przyczyniasz się do ratowania życia!

Rozlicz PIT na
dkms.pl/1.5procent



Fundacja **DKMS**

ul. Altowa 6/9, 02-386 Warszawa

T +48 22 882 94 36 • F +48 22 882 94 02

darowizny@dkms.pl • dkms.pl





Twoje **1,5%**
daje siłę i nadzieję
ciężko chorym dzieciom

KRS 0000168783